

WOLNOŚĆ NA KÓŁKACH
Jaką Polskę widać
z roweru

HAMLET W WATYKANIE
Zapomniany papież.
Co wiemy o Pawle VI

POŻEGNANIE
Mówiło się Korą,
myślało i czuło się Korą

**JUŻ
W SPRZEDAŻY
WYDANIE
SPECJALNE**



Kraków 5 sierpnia 2018 nr 32 (3604)

cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

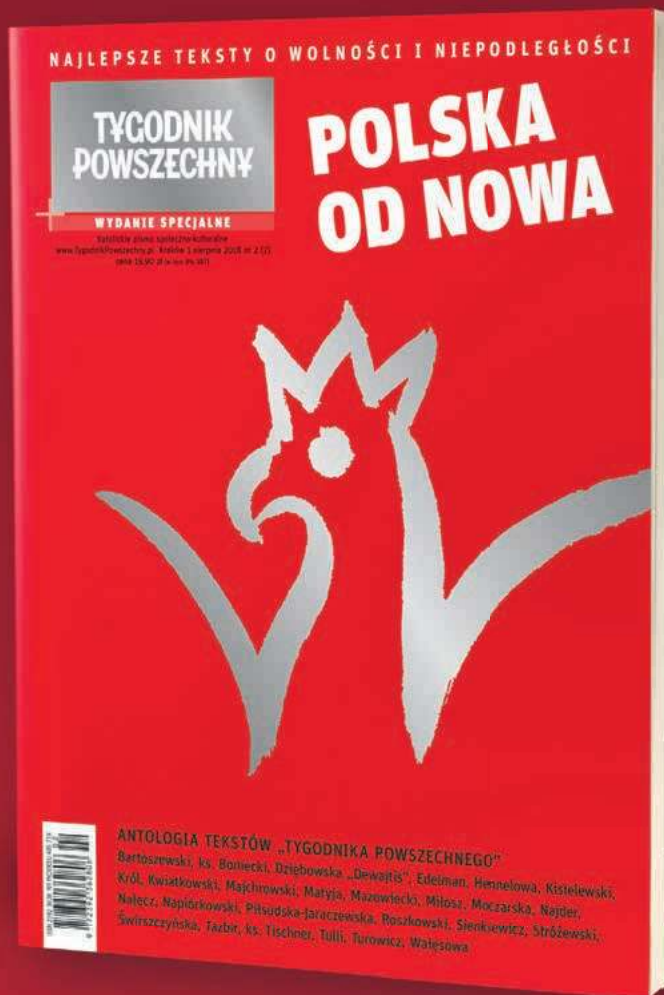
Pogoda na populizm

**Dariusz Rosiak
Jarosław Flis
o naszej
przyszłości**



PREMIERA

**Już w sprzedaży
kolejne wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”**



„POLSKA OD NOWA” to wybór najlepszych tekstów z ponad 70-letniej historii „TP”, poświęconych niepodległości, wolności i ojczyźnie.

Piszą i opowiadają m.in.:

- budowniczy Gdyni Eugeniusz Kwiatkowski
- córka Józefa Piłsudskiego Jadwiga Jaraczewska
- noblista Czesław Miłosz
- pierwszy naczelny „TP” Jerzy Turowicz
- kapelan Solidarności ks. Józef Tischner
- minister spraw zagranicznych III RP Władysław Bartoszewski

Na wydarzenia lat 1918, 1945, 1989, 2004 i 2018 patrzą historycy, politycy, pisarze, filozofowie i reporterzy, ale jest jeszcze jedna, przekraczająca kategorie zawodowe, perspektywa.

W dziale „Polska jest kobietą” oddajemy głos tym, których rolę często pomija historia, choć dzięki ich mocy i niezłomności nasze stanowienie Niepodległej mogło stać się faktem.

Niezastąpiona lektura podczas Roku Niepodległości. Już w salonach prasowych oraz w e-wydaniu



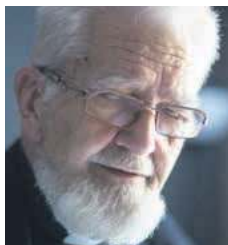
KS. ADAM

Boniecki: Nikt nam dziś nie zabroni

NIEKTÓRE STRONICE HISTORII KOŚCIOŁA, DODAM: Kościoła jako ziemskiej instytucji – mogą doprowadzić do załamania. Nie chodzi mi nawet o wyprawy krzyżowe, inkwizycję, proces Galileusza, ale o historię marginalną i niiby śmieszną, lecz w gruncie rzeczy dramatyczną: kościelną historię księdza na rowerze. Alejandro Mario Dieguez w dobrze udokumentowanym esej, „Rower, społeczeństwo i kler w czasach Piusa X” opisał trwającą w latach 1894–1920 desperacką walkę hierarchów (z papieżem włącznie) z księżmi dosiadającymi „stalowych koni”.

Rok 1894: Leon XIII zalecił swojej gwardii ćwiczenia rowerowe, arcybiskup Mediolanu przychylnie się odnosił do księży-cyklistów, arcybiskup Rennes Guillaume Labouré jeździ dla odprężenia po parku rezydencji na rowerze. Działają kółka księży-cyklistów z własnym pismem.

Pierwsze ostrzeżenie: „L'Osservatore Romano” w sierpniu 1894 r. zamieszcza artykuł wskazujący na związki cyklistów z anarchią: „Welocypedysta nie jest ani pieszym, ani woźnicą, nie jest maszynistą ani zwierzęciem pociągowym, jest nieokreślonym hermafrodytą, który się wymyka wszelkim prawom ruchu drogowego, a cyklizm to kompletna anarchia”. W lipcu wybucha bomba: najpierw jest propagująca rower wśród kleru wiejskiego broszura autorstwa kilku księży z Mediolanu i zaraz potem kardynał Giuseppe Sarto (późniejszy Pius X), już mianowany patriarchą Wenecji i jeszcze administrator apostolski Mantui, 25 sierpnia ogłasza – jako pierwszy w historii hierarcha – dokument, w którym zabrania klerowi używania roweru. Uzasadnia to ochroną powagi i godności kleru, potępia „światowość”, naśladowanie przez duchownych mód świeckich, a na ewentualny zarzut, że sprawa nie jest warta aż takiego zaangażowania, odpowiada, że o tym, co jest dla Kościoła ważne, decydują biskupi, którzy rządzą prowadzeni przez Ducha Świętego. Nieposłusznym grozi (z przykrością, lecz stanowczo) karami kościelnymi. Miesiąc później węgierski biskup Gyula Mészlényi prosi Kongregację do spraw Biskupów i Zakonników o wskazanie, jak postępować z księżmi, którym zabronił używania roweru w celach rekreacyjnych w miejscach publicznych bez odpowiedniego stroju. Kongregacja pochwała



wydanie zakazu, nie wspominając o charakterze rozrywkowym i stroju. Odpowiedź ta długo będzie traktowana jako precedens.

Tak się rozpoczyna, wydobyta przez autora z kościelnych archiwów, zdumiewająca historia księży-cyklistów. Mamy więc zakazy kolejnych biskupów, synodów diecezjalnych i regionalnych, kierowane do Stolicy Apostolskiej wyjaśnienia niektórych hierarchów, wśród których ważną rolę odegra arcybiskup Bolonii Giacomo Della Chiesa, przyszły papież Benedykt XV. Księżę cyklistów oskarża się o modernizm, płytkie życie duchowe itp. Nieposłuszni zaś odwołują się do zasady, że prawo ustanowione przez Kościół nie obowiązuje w przypadkach poważnej trudności, jeśli zakazana rzecz nie jest sama w sobie grzeszna. Biskupowi pytającemu, co ma zrobić z księżmi, którzy na synod diecezjalny przyjadą na rowerach, Pius X poleca z miłością ich upomnieć, a jeśli nie usłuchają, to z bólem ukarać okresową suspensą. W czasie pontyfikatu Piusa X w sprawach używania przez księży rowerów wydano o wiele więcej decyzji negatywnych niż zezwoleń. Zwalczanie księży-cyklistów dobiegło końca koło roku 1915, gdy zaczęły się pojawiać motocykle. Przy nich rower jawił się jako środek mniej kosztowny. Cofnięto zakazy. Pozwolenia jeszcze obwarowuje się warunkami, np. wykupieniem w kurii specjalnej karty, notowaniem na niej wszystkich przejechanych tras. W czasie jazdy ksiądz ma się trzymać prosto, nie pochylać jak cykliści na wyścigach, ma pedałowac powoli. Do chorego może jechać tylko w towarzystwie drugiego rowerzysty. Obowiązuje strój duchowny: sutanna i kapelusz...

Ten względnie krótki i marginalny epizod historii Kościoła trudno zrozumieć. O jaką „powagę stanu kapłańskiego” chodziło? Przed jaką „światowością” zakazy miały chronić księży? Co myśleli o zwykłych duszpasterzach wysocy urzędnicy Kurii Rzymskiej? Chociaż nie wydano w tym względzie żadnych kanonicznych ustaw ogólnokościelnych, to nacisk Watykanu na biskupów musiał być duży.

Jedyna pociecha, że czytając o tych nie tak dawnych wydarzeniach, wiemy, że dziś nikt księżom nie zabroni... jeździć na rowerze.

© P

TP

Ważny komunikat dla Czytelników!

W związku z podwyżką cen papieru gazetowego, a co za tym idzie kosztów druku, od 1 sierpnia 2018 r. zaokrągliśmy cenę drukowanego wydania „Tygodnika Powszechnego” do 8 zł za egzemplarz.

Pozostałe ceny, w tym prenumeraty papierowej czy wydań cyfrowych, nie ulegają zmianie.

Mamy nadzieję, że różnica 10 groszy w cenie będzie dla Państwa niezauważalna – nam pozwoli ona utrzymać objętość oraz dostępność pisma na dotychczasowym poziomie.

WYDAWCA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Gwarancja lojalnego autografu
ANDRZEJ STANKIEWICZ

6–11 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Państwo z głową prezesa
JAROSŁAW FLIS

26 Armia w potrzebie
RAFAŁ ZYCHAŁ: *Czystki na szczytach armii skutecznie przesłaniają jej największy problem – stan techniczny*

28 Przeżuj to sam
ROZMOWA Z NGO VAN TUONGIEM: *Nie tyle Polacy rozsmakowali się w kuchni wietnamskiej, co kuchnia wietnamska dopasowała się do Polaków*

■ ■ OPINIE

32 Już tak nie będzie
DARIUSZ ROSIAK o populizmie

■ ■ WIARA

36 Hamlet z Mediolanu
EDWARD AUGUSTYN: *Papież, który wątpi. 40 lat temu zmarł Paweł VI*

40 Teologia na przyszłość
KS. JACEK PRUSAK SJ

43 Portfolio niechcianego
ŁUKASZ WOJTUSIK o podopiecznych i opiekunach z Domu Chłopaków w Broniszewicach

■ ■ ŚWIAT

46 Kiedyś będziemy szczęśliwi
MICHAŁ ZIELIŃSKI: *Do zrujnowanej Rakki – niedawnej stolicy tzw. Państwa Islamskiego – wraca życie*

50 Człowiek, który zmienił Waszyngton
JAN SMOLEŃSKI: *Paul Manafort, jeden z najbardziej wpływowych lobbystów*



MARIUSZ GACZYŃSKI / EAST NEWS

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■ ■

12 Z drogi

MICHAŁ KUZIŃSKI

Z roweru dobrze widać Polskę.
Nie ustępujemy sobie, nie współpracujemy,
obwiniamy innych, choć wszystkich obowiązują
te same przepisy.

16 Mechaniczna doskonałość

ROZMOWA Z IRENEUSZEM KANIĄ, TŁUMACZEM:

Moda na rower cieszy mnie ogromnie
– to jedna z niewielu dobrych mód,
które się w Polsce przyjęły. Bo my najchętniej
kopiujemy mody najgorsze.

■ ■ FELIETONY ■ ■

31 ANNA DZIEWIT-MELLER

45 SZYMON HOŁOWNIA

55 WOJCIECH BONOWICZ

76 JAN KLATA

77 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: pomysł PIOTR MUCHARSKI,

fotografia GRAŻYNA MAKARA

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

52 Zaprzysiężone dziewice
trzymają się mocno

AGNIESZKA ROSTKOWSKA: *Na Bałkanach wciąż żyją kobiety, które złożyły przysięgę, że będą wyglądać i zachowywać się jak mężczyźni*

■ ■ NAUKA

56 Okrucy cywilizacji
MICHAŁ KUZIŃSKI: *Rola chleba w historii ludzkości jest jeszcze większa, niż sądziliśmy*

59 Ledwie płyn, ale płyn
ŁUKASZ ŁAMŻA: *Na Marsie odkryto wodę w stanie ciekłym*

■ ■ HISTORIA

60 Imię z inicjałów
PATRYCJA BUKALSKA: *Willenbergowie, życie po Treblince*

■ ■ KULTURA

64 Błękitne laguny
PIOTR SIKORA: *Gotowość do poszukiwania raju na ziemi mówi o nas wiele. Są książki, które to uprzytomniają*

68 Wilczyca prowadzi
ROBERT KASPRZYCKI: *Pozegnanie Kory Jackowskiej*

72 Protest pop
JAN BŁASZCZAK: *M.I.A. jest Brytyjką o tamilijskich korzeniach. Jej przeboje łączą, a opinie polaryzują*

74 W domu ojca
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Nieposłuszne”

75 Warto zobaczyć w TV

76 Miasteczko czasu wojny
LEKTOR o książce
Josepha Rotha „Listy z Polski”

■ ■ WAKACJE

78 Zaklinacze roślin
DOROTA KOZIŃSKA
o Kew Gardens w Londynie

TYGODNIK POWSZECHNY ■ ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak
(kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioto,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietyści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewicz, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon
Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś,
Agnieszka Sabor, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Jacek Taran, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki
(kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdat, Sylwia Frołow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uzyskaniu odpłatności, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



GWARANCJA LOJALNEGO AUTOGRAFU

Andrzej Duda zakończył nieudane próby odzyskania suwerenności.
Stawką jest druga kadencja.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

PREZYDENT PODPISZAŁ NOWY PAKIET USTAW SĄDOWYCH, choć PiS odrzucił jego referendum konstytucyjne. W dodatku prezes Kaczyński oznajmił, że Andrzej Duda zostanie kandydatem jego partii w następnych wyborach. Choć w tym zestawie wydarzeń z ostatnich dni na pozór nie ma logiki, to jednak logika w nich jest, i to żelazna. Oto prezydent – niczym marnotrawny syn – wraca do swej rodzimej partii.

Duda rzucił pomysł referendum w maju 2017 r., u szczytu walki o niezależność od pre-

zesa PiS. Zaraz potem zafundował mu serię niespodziewanych wet, w tym bolesne wyrzucenie do kosza ustaw sądowych rok temu.

Dziś sytuacja jest dokładnie odwrotna. Duda wrócił do partii, może bez całowania prezosowskiego pierścienia, ale wciąż na warunkach wasalnych. Nowe ustawy sądowe – choć niewiele mniej kontrowersyjne od ubiegłorocznych – podpisuje hurtowo. Jednocześnie to on jest narzędziem, które Kaczyński wykorzystuje do próby usunięcia Pierwszej Prezes

Jarosław Kaczyński i Andrzej Duda w trakcie rekonstrukcji rządu Beaty Szydło, Warszawa, 8 grudnia 2017 r.

→ Sądu Najwyższego Małgorzaty Gersdorf, co wspomniane ustawy mają ułatwić.

Zresztą prezydent w ogóle powrócił do podpisywania wszystkiego jak leci. Po czasach niepewności znów daje Kaczyńskiemu gwarancje lojalnego autografu. W tej sytuacji rzucony ponad rok temu bez konsultacji z PiS pomysł referendum zaczął prezydenta uwierać. Duda od dłuższego czasu szukał formuły wycofania się z twarzą z tego projektu. Uzgodnionym z PiS pretekstem stała się data głosowania – prezydent zaproponował, by referendum odbyło się 11 listopada, gdy przypada setna rocznica odzyskania niepodległości. Politycy PiS zaczęli narzekać, jaki to niefortunny termin – w dniu narodowego święta. To była jednak tylko gra pod publiczność. Przecież Duda z Kaczyńskim mogli uzgodnić

inny termin referendum – data nie była szczególnie ważna. Nie zrobili tego, bo w interesie obu stron było zatopienie tego pomysłu, wstydlivej pozostałości po buntowniczym zrywie prezydenta.

Dzięki tej decyzji pomysł referendum zostanie szybko zapomniany. Gdyby doszło do głosowania i frekwencja była katastrofalna – klęska ciągnęłaby się za Dudą latami.

W nagrodę za powrót do rodziny prezydent otrzymał od prezesa dwa upominki. Po pierwsze prezydencki ojciec dostanie „jedynekę” na liście PiS do Sejmu Małopolski. To daje nie tylko gwarancję wyboru, ale perspektywę stanowisk w samorządzie po wygranej.

Ale znacznie ważniejszy jest drugi prezent. To głoszona wszem i wobec zapowiedź wystawienia Dudy w wyborach

w 2020 r. Co prawda Kaczyński nigdy nie zrobił nic, co wskazywałoby, że szuka zmiennika, ale nieoficjalnie wysyłał takie sygnały do Pałacu Prezydenckiego: może Beata Szydło, a może Mateusz Morawiecki? Teraz to uciął, choć ten straszak powróci, gdyby Dudzie zebrało się znów na niezależność.

Taki ponowny zryw jest jednak mało realny. Wybory prezydenckie za niespełna dwa lata, a Duda nie zdołał przez ponad połowę kadencji zbudować własnego środowiska politycznego. Dlatego – ponieważ chce być prezydentem aż do 2025 roku – do wyborów będzie w pełni zależny od Kaczyńskiego.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stałym współpracownikiem „TP”.



TOZ W POLSCE

Nie porzucaj!

WPISY NA FACEBOOKOWEJ STRONIE Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami pojawiają się codziennie.

22 lipca: Łódzka Retkinia, pies przywiązany do mostu, daleko od centrum, w pełnym słońcu.

23 lipca: Małoszyce (Pomorce), niedziela wieczór, pod bramę schroniska podjeżdża samochód, wybiega z niego mężczyzna z psem, przywiązuje psa do płotu, ucieka.

24 lipca: Zabrze, dwa psy przywiązane w lesie do drzew (jeden z nich ma na pysku kaganiec uniemożliwiający picie), wcześniej właścicielka przywiązuje je na klatce schodowej, bo zajmują za dużo miejsca w mieszkaniu.

25 lipca: zatrzymano podejrzanego o maltretowanie i zabijanie jeży (cztery podpalił żywcem, dziewięć – załutkował butelką).

26 lipca: Kalisz, świnka morska porzucona w kartonie przy śmietniku.

Tego samego dnia: Głucholazy (woj. opolskie), suka owczarka niemieckiego w worku po ziemniakach wrzucona do rowu przy drodze, po uwolnieniu nie potrafiła ustać.

Po raz kolejny Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami organizuje akcję „Nie porzucaj”. Hasło tegorocznej kampanii: „Pies ma świadomość 3-letniego dziecka! Czy porzuciłbyś swoje dziecko?”. Właśnie w czasie wakacyjnym liczba porzuconych wzrasta o 30 proc.

© ANNA GOC

Wybory do PE: piłka po stronie opozycji

PAWEŁ BRAVO



OPRÓCZ NOWELIZACJI USTAWY ułatwiającej władzy podporządkowanie sobie Sądu Najwyższego, sejmowa taśma produkcyjna wypuściła w stachanowskim tempie nowe zasady podziału mandatów w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Wedle szacunkowych wyliczeń PiS ma teraz szansę na 4 do 5 więcej mandatów spośród 51, które przypadają Polsce – rzecz cenna, skoro wydłużyła się kolejka polityków, których prezes chciałby w maju korzystnie spławić do Brukseli (np. Beatę Szydło). Jest jednak jeszcze ktoś, kto się cieszy z nowych przepisów, chociaż nie wypada mu tego okazywać: Grzegorz Schetyna.

Nowy system premiuje duże partie i listy, choć zmiana nie jest aż tak skokowa, jak to wynika z pierwszych komentarzy. Krytycy nowych rozwiązań wskazują, że przy obecnym podziale realny próg wyborczy wyniesie średnio 16 proc. – ponad trzy razy więcej niż 5 proc., które przewidują traktaty europejskie. Ale dyskryminacja mniejszych list dotyczyć będzie realnie tylko kilku okręgów (takich jak Warszawa,

województwo śląskie, wielkopolskie, małopolskie), bowiem w całej reszcie realny próg sięgał nawet 20 proc.

Polityka w europarlamencie toczy się między trzema największymi grupami i żeby mieć na cokolwiek wpływ, trzeba do którejś z nich należeć. Drobnica, niestety, to często niezbyt chlubna egzotyka. Zanim zapłaczymy nad krzywdą „maluchów”, którym nowa ordynacja robi krzywdę, pomyślimy o Januszu Korwinie-Mikke, zaiste chlubie polskiej delegacji w Brukseli.

Tak czy owak, aby się do PE dostać, trzeba będzie wystartować w jednej z dwóch drużyn. Daje to szefostwu Platformy ogromną władzę w przetargach po stronie „niepisowskiej”, zwłaszcza że odbywać się będą w perspektywie jesiennych wyborów do Sejmu. Będzie to zatem niezły test na kulturę negocjacyjną i zdolność do kooperacji. „Tylko wspólnie odśuniemy od władzy PiS” – to jest mantra ostatnich trzech lat. PiS podrzucił opozycji piłkę – czas, żeby pokazała, czy potrafi rozegrać.

© P



KOMENDA GŁÓWNA PSP

POLSCY STRAŻACY wzięli udział w akcji gaszenia gigantycznego pożaru lasów w Szwecji – ich przyjazd wywołał furorę na tamtejszych portalach społecznościowych. Rekordowe pod względem temperatur lato doprowadziło do klęsk żywiołowych także w Wielkiej Brytanii i Grecji, gdzie w płomieniach zginęło blisko sto osób. ©P

Ukraińcy już gospodarce nie wystarczą

PO WAKACJACH RZĄD ma ogłosić nową politykę migracyjną, która szerzej otworzy polski rynek pracy na imigrantów, w tym także tych z krajów odległych kulturowo, jak Indie czy Nepal. Pomijając komiczną predykcję obecnej władzy do nazywania niemal każdej decyzji „planem” czy „polityką”, można rzec: nareszcie.

Rynek pracy w Polsce wysycha. W czerwcu bezrobocie spadło do niewidzianego od 28 lat poziomu 5,9 proc., co oczywiście cieszy – gdyby nie fakt, że trend jest pogłębiany przez przechodzenie na emerytury roczników powojennego wyżu demograficznego końca lat 50., kiedy rocznie na świat przychodziło po 800 tys. dzieci. Ich miejsce zajmują teraz osoby urodzone w latach 90., gdy co roku rodziło się w Polsce po około 400 tys. Polaków. Niżowe turbulencje na rynku pracy słabiej już łagodzą nawet pracownicy z Ukrainy, którzy w coraz mniejszej liczbie przekraczają polską granicę (w pierwszym półroczu br. o 300 tys.). W 2030 r. – jeśli nic się nie zmieni – praco-

dawcy będą mieć problem z obsadzeniem aż 4 z 20 mln miejsc pracy.

Warto jednak spojrzeć na te dane z jeszcze innej perspektywy. W Polsce mamy obecnie 24,7 mln osób w wieku produkcyjnym, ale tylko 17,2 mln osób aktywnych zawodowo – czyli pracujących lub mogących podjąć pracę. Specjaliści od polityki zatrudnienia od lat podkreślają, że wciąż brakuje nam narzędzi systemowych, które będą skutecznie chronić osoby po 55. roku życia przed wypychaniem z rynku pracy, bo w warunkach gospodarki opartej na usługach nie da się dłużej kultywować mitu o ich rzekomo mniejszej wydajności. Przydatność dla rynku pracy zachowuje dziś w Polsce mniej niż co druga osoba powyżej 55 lat – o ponad 5 proc. mniej, niż wynosi ta sama średnia dla 28 krajów Unii Europejskiej. Wśród pań dysproporcje są jeszcze większe: w Polsce aktywnych zawodowo pozostaje ok. 37 proc. kobiet po 55. roku życia, podczas gdy w skali całej UE ten sam odsetek zbliża się do 49. Powód? Głównie fatalny stan opieki medycznej.

Imigranci z pewnością pomogą więc ustabilizować sytuację na polskim rynku pracy, ale jeśli rząd chce ją naprawdę normalizować, niech w swojej polityce uwzględni także NFZ. ©P MAREK RABIJ

W SKRÓCIE

DO PRZEWIDZENIA. Pisał przed rokiem w „TP” Klaus Bachmann, że to się tak skończy: Trybunał Sprawiedliwości UE uznał (odpowiadając na pytanie sądu ekstradycyjnego w Irlandii, rozpatrującego sprawę Polaka, na którym ciążyą podejrzenia udziału w handlu narkotykami), że sądy innych krajów mogą wstrzymać wykonanie europejskiego nakazu aresztowania, dopóki nie wyjaśnią, czy oskarżony może liczyć na rzetelny proces w ojczyźnie.

NIE DO PRZEWIDZENIA. Są jednak rzeczy, które nawet najbardziej przewidującym autorom „TP” nie mogły przyjść do głowy. Np. to, że w reklamie przypominającej światu o powstaniu warszawskim wystąpi Mike Tyson. Był bokser, skazany za gwałt i pamiętany z odgryzienia ucha jednemu z rywali, mający tatuaż z Che Guevarą, czyta z promptera frazy o bohaterstwie powstańców w koszulce promującej napój energetyczny i z białą-czerwoną opaską na ramieniu, a w napisach końcowych filmu czytamy, że przedsięwzięcie wspiera LOT.

TROCHĘ DO PRZEWIDZENIA. Już bardziej rozumiemy udział naszego ulubionego wicepremiera w akcji promującej bezpieczną jazdę samochodem. Jeden z brukowców wytknął wprowadzić Piotrowi Glińskiemu, że wiozący go do pracy funkcjonariusze Służby Ochrony Państwa wielokrotnie łamali przepisy, ale polityk przypomniał, że w Polsce służby państwowe z powodu bezpieczeństwa mają szczególne uprawnienia, „zwłaszcza gdy auto jest śledzone przez donosicieli z niemieckiego tabloidu”.

BARDZO DO PRZEWIDZENIA. Szczególne uprawnienia służb są niestety nieprzydatne, gdy płoną składowiska odpadów (tym razem w Polkowicach). Minister Środowiska Henryk Kowalczyk zastrzegł, że choć nowelizacje odpowiednich ustaw wejdą w życie w połowie sierpnia (Sejm, jak pamiętamy, miał ostatnio pilniejsze zajęcia), dzięki czemu pożarów powinno być mniej, „trzeba mieć jednak świadomość tego, że nielegalne odpady, które trafiły już do naszego kraju, nie znikną tak po prostu”.



MARVIN RECINOS / AFP / EAST NEWS

Duchowni na celowniku

ULICAMI STOLICY NIKARAGUI, MANAGUI, przeszedł w minioną sobotę marsz solidarności z biskupami katolickimi, którym lewicowy prezydent Daniel Ortega zarzuca, że „przyłączyli się do puczu antyrządowego”. Biskupi i księża są też celem ataków rządowych bojówek. Marsz (na zdjęciu) – z udziałem także ewangelików i niewierzących – skończył się pokojowo, nie doszło do starć z policją.

Masowe protesty trwają w Nikaragui od kwietnia, a ich katalizatorem był projekt reformy socjalnej przewidujący duże cięcia. Władze wycofały się z niego, lecz protesty nie ustały – teraz demonstranci żądają swobód obywatelskich, nowych wyborów, zaprzestania represji i dymisji Ortegi. W starciach zginęło dotąd ok. 450 osób, a kilka tysięcy odniosło rany.

Biskupi krytykują represje i wzywają do dialogu, w którym są gotowi wystąpić jako mediator (Ortega odrzucił tę ofertę). Demonstranci często znajdują też schronienie w świątyniach; bywało, że policja ostrzeliwała wtedy kościoły. „Nasze domy Boże nadal będą otwarte dla potrzebujących” – mówił na marszu ks. Carlos Aviles, wikariusz arcybiskupstwa Managua. „Poszliśmy za wezwaniem papieża, że mamy być szpitalem polowym dla zranionych” – mówił wcześniej arcybiskup stolicy, kard. Leopoldo Solórzano. Na początku lipca Solórzano był w grupie biskupów, którzy zostali poturbowani przez rządowe bojówki. © WP / KNA, DPA

LICZBA TYGODNIA

1 000 000

procent: tyle wyniesie inflacja w rządzonej przez socjalistów Wenezueli do końca 2018 r. (wg szacunków MFW).



MARCOS MORENO / AP / EAST NEWS

SPRAWDZIAN DLA HISZPANII. Już 18 600 migrantów z Afryki dotarło w tym roku do hiszpańskich wybrzeży Morza Śródziemnego. Tylko w miniony piątek z 52 gumowych pontonów podjęto 751 osób (na zdjęciu: uratowani na pokładzie okrętu marynarki wojennej). Rosnąca liczba migrantów będzie testem dla premiera Pedro Sáncheza, który w ostatnich tygodniach podkreślał, że tylko przyjmowanie nowo przybyłych może „zapobiec katastrofie humanitarnej”. © MŻ



SUMY SADURNI / AFP / EAST NEWS

Sudan Południowy bliżej pokoju

CZY PIĘCIOLETNIA WOJNA DOMOWA, która wypędziła z Sudanu Południowego ok. 2,5 mln ludzi, właśnie się kończy? W Chartumie, stolicy Sudanu, podpisano wstępne porozumienie w sprawie podziału władzy w tym najmłodszym państwie świata (ogłosiło niepodległość w 2011 r.). Ma pogodzić ze sobą prezydenta Salvę Kiira Mayardita, który stanął na czele rządu przejściowego, oraz najważniejszego dowódcę rebeliantów, Rieka Machara (podobnie jak przed wojną, będzie on wiceprezydentem; obaj na zdjęciu, prezydent w ka-

peluszu). Powstanie nowy, 550-osobowy parlament, jedno z pozostałych czterech stanowisk wiceprezydenta zostanie zaś obsadzone przez kobietę. Porozumienie negocjowano w sąsiedniej Ugandzie, dokąd uciekła większość sudańskich uchodźców.

Nie ma jednak gwarancji pokoju: koalicja mniejszych partii opozycyjnych nie przystąpiła bowiem do ugody, a podobne do obecnego porozumienie podpisano już przed trzema laty – wtedy nie zakończyło ono wojny. Władza wysłała sprzeczne sygnały: z jednej strony negocjuje z przeciwnikami, z drugiej zaostrza kurs wobec południowosudańskich dysydentów – pokolenia 30-latków, którzy coraz głośniej domagają się w kraju pokoleniowej wymiany elit (prezydent Mayardit sprawuje swój urząd od 2005 r., kiedy kraj dopiero przygotowywał się do niepodległości). W minionym tygodniu zatrzymano Petera Biala Ajaka, prominentnego krytyka reżimu.

Wojna domowa w Sudanie Południowym trwa od 2013 r. i, według ostrożnych szacunków, przyniosła śmierć ok. 300 tys. ludzi. W poprzedzających ogłoszenie niepodległości, toczonych od 1983 r. walkach między armią rządu w Chartumie a Ludową Armią Wyzwolenia Sudanu (SPLA), w czystkach etnicznych i masowych egzekucjach zginęło ok. 2 mln ludzi.

© MARCIN ŻYŁA

Samowole kowboja

SZYMON ŁUCYK Z FRANCJI



TYGODNIK SATYRYCZNY „Le Canard Enchaîné” kwituje sprawę: „Goryl Macrona marzył, by zostać King Kongiem”. Afera Benalli – od nazwiska (byłego już) wpływowego szefa ochrony prezydenta Francji – potrząsnęła establishmentem nad Sekwaną. Lawinę wywołały media: to dziennik „Le Monde” ujawnił wideo z paryskiej manifestacji 1 maja. Na nagraniu widać, jak Alexandre Benalla, w kasku i z policyjną opaską, bije parę młodych demonstrantów. „Pomaga” mu inny człowiek z rządzącej centrowo-liberalnej partii Macrona.

Wiadomo już, że „kowboj” prezydenta dostał zgodę przełożonych na przebranie się za policjanta, ale miał być tylko „obserwatorem” bez prawa do interwencji. Wiadomo też, że władze próbowały zatuszować sprawę. Służby prezydenta i MSW wiedziały o nadużyciu Benalli, ale nie powiadomiły organów ścigania. Dopiero dzięki mediom ruszyła machina śledcza. Benalla, obdarzony specjalnymi przywilejami (m.in. prawem noszenia broni i wystawnym mieszkaniem służbowym), stracił pracę. Wraz z nim pod nadzór sądowy trafiły cztery osoby, w tym trzech jego współników-policjantów.

Czy sam prezydent zapłaci za aferę? Bezpośrednio na pewno nie, bo konstytucja chroni go tu przed odpowiedzialnością. Ale sprawa Benalli pokazuje, że Macron – wzorem poprzedników z Pałacu Elizejskiego – otacza się wąską grupą „silnych ludzi”. Ceną jest ich samowola, którą jednak, na szczęście, hamuje niezależny od władz wymiar sprawiedliwości. ©

Zmarła „matka Srebrenicy”

HATIDŽA MEHMEDOVIĆ straciła w lipcu 1995 r. męża, dwóch synów oraz dwóch braci – wszystkich, kilka dni po zajęciu Srebrenicy, zabili bośniaccy Serbowie. Po wojnie założyła stowarzyszenie „Matki Srebrenicy”, zrzeszające matki, córki i wdowy wielu spośród ponad 8 tys. ofiar masakry dokonanej przez armię gen. Ratko Mladicia. Organizacja opowiadała światu o zbrodni z perspektywy krewnych ofiar. I choć w późniejszych latach „Matki Srebrenicy” uwikłały się w bośniacką politykę, sama Mehmedović protestowała przeciwko zbiorowemu obarczaniu Serbów za winy tamtej wojny. W końcu sama była jedną z nielicznych muzułmanek, które wróciły do Srebrenicy – aby świadczyć, że współistnienie obu grup w Bośni jest wciąż możliwe. Zmarła w Sarajewie, w wieku 65 lat. © P. ŻYM

W SKRÓCIE

KRAKOWSKI SPLEEN. Na zakończenie niedzielnej mszy świętej w warszawskim kościele bł. Edwarda Detkensa ks. Wojciech Drozdowicz zagrał na suzafonie utwór „Krakowski spleen” z repertuaru grupy Maanam. Proboszczowi towarzyszył grający na bębnach perkusista Wojciech Morawski. Msza święta odprawiona była w intencji zmarłej dzień wcześniej wokalistki Kory.

WŁOSKI SĄD. 22-letni mężczyzna z Afryki, oskarżony we Włoszech o posiadanie narkotyków, odbył pielgrzymkę do Santiago de Compostela. W tym czasie zrezygnował z narkotyków, papierosów, alkoholu i używania telefonu komórkowego. Sąd, który w ubiegłym tygodniu miał go skazać na karę pozbawienia wolności, uznał, że 85-dniowy marsz Drogą św. Jakuba do hiszpańskiego sanktuarium był wystarczającym środkiem wychowawczym, i odstąpił od wydania wyroku. To pierwszy taki przypadek we włoskim wymiarze sprawiedliwości.



ABIR SULTAN / EPA / PAP

IZRAELSKI CUD. Od Ściany Płaczu w Jerozolimie, w części dostępnej dla kobiet i mężczyzn, oderwał się 100-kilogramowy głaz. Izraelski Urząd Starożytności badający wypadek stwierdził, że jego przyczyną mogła być erozja powierzchni Ściany Płaczu, którą powoduje wybijająca tam roślinność i wilgoć. Kamień spadł tuż obok 79-letniej kobiety. – To wielki cud, że nic jej się nie stało – uznał burmistrz Jerozolimy, Nir Barkat.

NIEMIECKI POMYSŁ. W Gifhorn w Dolnej Saksonii otwarto 26 lipca pierwszy w Niemczech chrześcijańsko-muzułmański żłobek-przedszkole pod nazwą „Dzieci Abrahama”. Już zgłoszono do niego piętnastkę dzieci w wieku 1-6 lat, którymi zaopiekują się cztery wychowawczynie: dwie chrześcijanki i dwie muzułmanki. Posiłki mają być przygotowywane z certyfikatem halal – zgodnie z wymogami żywieniowymi muzułmanów.



NOEL CELIS / AFP / EAST NEWS

„Niepożądana obca”

W UBIEGŁYM TYGODNIU WŁADZE FILIPIN ostatecznie zadecydowały o deportacji australijskiej misjonarki. 71-letnia s. Patricia Fox (na zdjęciu), należąca do Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej z Syjonu, od 27 lat pracuje z rolnikami i biednymi na Filipinach. Przez lata unikała deklaracji politycznych, mówiąc: „zostawcie to Filipinczykom”. Mimo to zyskała uwagę prezydenta Rodrigo Duterte, który w kwietniu nazwał ją „niepożądanym obcym”. Już wtedy zapadła pierwsza, uchylona potem, decyzja o deportacji. Uwagę władz zwróciła jej wizyta na objętej stanem wojennym wyspie Mindanao, gdzie s. Fox dokumentowała fakty dotyczące łamania praw człowieka. Ogłoszony w związku z obecnością ISIS na wyspie stan wojenny pozwala wojsku łamać prawa rolniczych działaczy związkowych oraz przedstawicieli rdzennej ludności, protestujących przeciwko palniom i wielkim farmom.

Zarzut, jaki australijska zakonnica zobaczyła ostatecznie na wyroku deportacji i zakazu powrotu, to naruszenie warunków wizy misjonarskiej poprzez udział w demonstracjach i konferencjach prasowych. S. Fox zamierza się od decyzji odwołać, bo jak powtórza, bardzo nie chce opuszczać Filipin.

„Jako siostra zakonna dołączałam do demonstracji w obronie praw człowieka, w sprawach rolników i ich prawa do ziemi, czy w sprawie zwolnienia więźniów politycznych. Możecie nazwać to działaniem politycznym, ja uważam to za moje zakonne powołanie, mój chrześcijański obowiązek” – tłumaczyła s. Fox.

Pytanie tylko, czy władze Filipin i ich sądy zgadzają się, że praca misjonarza to również stawianie oporu wobec niesprawiedliwości? © ZUZANNA RADZIK

Teologia globalnego Kościoła dla świata

KS. JACEK PRUSAK SJ



KRYTYCZNE CZASY DLA BUDOWANIA MOSTÓW – katolicka etyka teologiczna dzisiaj” to tytuł trzeciej międzynarodowej konferencji teologów moralnych i bioetyków, która odbyła się pod koniec lipca w Sarajewie z inicjatywy sieci Catholic Theological Ethics in the World Church. Jej uczestnicy zajmowali się dwiema kwestiami: kryzysem ekologicznym i jego skutkami (zwłaszcza dla społeczeństw zmarginalizowanych) oraz tragiczną banalizacją przywództwa politycznego w wielu krajach świata. Oba tematy pokazują, że teologia moralna może podejmować ważne kwestie społeczne i szukać rozwiązań, które mają znaczenie nie tylko dla Kościoła, ale i dla świata – a nie być wyłącznie służebnicą prawa kanonicznego. Ten społeczny i globalny wymiar konferencji jeszcze silniej został podkreślony poprzez dobór uczestników oraz miejsce spotkania. W konferencji wzięło udział prawie 500 teologów z 80 krajów, ale po-

nad 75 proc. reprezentowanych krajów i ponad 54 proc. uczestników pochodziło z półkuli południowej. Z kolei Sarajevo – jak podkreślili organizatorzy konferencji – nie jest „częścią ani uprzemysłowionego świata, ani globalnego Południa. Jest pomostem do spotkania ich obu” jako miejsce budowania pokoju po doświadczeniu konfliktu etnicznego oraz miasto międzyreligijnego i międzykulturowego dialogu (85 proc. mieszkańców to muzułmanie) zmagające się z kryzysem ekonomicznym (40 proc. bezrobocia).

Nie bez znaczenia jest fakt, że w konferencji wzięli udział nie tylko wybitni moralisci z całego świata, ale również tacy, którzy dotąd byli przez Watykan traktowani podejrzliwie. Do Sarajewa przyjechało trzech kardynałów. W ten sposób udało się nie tylko podkreślić globalny wymiar refleksji teologiczno-etycznej, ale również zachować jej eklezjalny uniwersalizm. ©



ANDRZEJ IWĄŃCZUK / REPORTER

Sprawa McCarricka: papież zdecydował

PAPIEŻ FRANCISZEK przyjął w minioną sobotę rezygnację z kolegium kardynalskiego, którą przedłożył mu 88-letni Theodore McCarrick. Emerytowany arcybiskup Waszyngtonu jest oskarżany o molestowanie seksualne (zarzuty dotyczą lat 1970-90, zanim jeszcze objął funkcję arcybiskupa). Watykańskie służby podały, że list McCarricka, w którym oddawał się do dyspozycji papieża, Franciszek dostał w piątek; decyzja zapadła natychmiast. Ponadto papież suspendował McCarricka, zakazując mu publicznego sprawowania posługi kapłańskiej i zarządził, by udał się do odosobnionego miejsca (dokąd, nie podano), aby tam „prowadzić życie w modlitwie i pokucie”, dopóki zarzutów nie wyjaśni sąd kościelny (taki proces jest dziś jedyną możliwością pociągnięcia McCarricka do odpowiedzialności; na gruncie prawa świeckiego w USA zarzuty uległy przedawnieniu).

Bezpośrednią przyczyną listu McCarricka do papieża mogły być ostatnie publikacje. Na łamach jezuickiego magazynu „America” ks. Desmond Rossi opisał, jak – będąc jeszcze klerykiem – był molestowany (wcześniej podobne zeznania złożyli inni księża). Z kolei „Washington Post” twierdzi, że McCarrick molestował też co najmniej dwóch nieletnich chłopców.

To drugi podobny przypadek za tego pontyfikatu. W 2015 r. prawa wyborcze jako kardynał stracił były arcybiskup Edynburga, Keith O'Brien (choć, inaczej niż McCarrick, nie stracił tytułu kardynała i nie został usunięty z kolegium). W 2013 r. przyznał się do molestowania kleryków i złożył urząd arcybiskupa. Potem, w porozumieniu z papieżem, wyjechał na wiele miesięcy za granicę dla „duchowej odnowy, modlitwy i pokuty”. Jej efektem była jego złożona w 2015 r. rezygnacja. © WP / KNA



SEWERYN DZIERŻAK

„TEJ PIELGRZYMCE CHAOS I DEZINFORMACJA NIE SĄ W STANIE ZAGROZIĆ” – mówi o. Cordian Szwarc (na zdjęciu), franciszkanin z Jarocina, który ruszył właśnie z pielgrzymką młodzieży różnych dróg i kultur na Jasną Górę. „Miało być 40, może 60 osób. Jest jakieś 150” – dodaje po chwili. Pierwszą taką pielgrzymkę zorganizował w 1979 r. zmarły w ubiegłym roku ks. Andrzej Szpak. Hipisi (w tym roku z błogostawieństwem papieża Franciszka, które przekazał kard. Konrad Krajewski) planują dotrzeć do Częstochowy 12 sierpnia. © BS

SEZON OGÓRKOWY W SKRÓCIE

ŚLADY GADA. Czwarty tydzień trwają poszukiwania pytona, którego wylinkę odnaleziono nad Wisłą w rejonie podstołecznych Gassów. Media informują o znalezieniu nowych śladów gada, teren poszukiwań jest systematycznie rozszerzany i tylko patrzeć, aż obejmie też Wiejską w Warszawie.

Z PLAŻY. Z powodu widocznych nawet z kosmosu sinic Sanepid zamyka kąpieliska nad Bałtykiem. Na szczęście wznowiła rozgrywkę ekstraklasa piłkarska, a polskie kluby rozpoczęły rywalizację w europejskich pucharach, gdzie ich poziom okazał się plażowy.

JEDZIE SZATAN. Inny nadmorski problem to kursująca na Hel linia autobusowa 666, która – jak pisze „Frona”, domagając się zmiany numeru linii – „godzi w chrześcijański porządek państwa polskiego i jego fundamenty, a stąd – w dobro nas wszystkich”.

WIELKIE BUM. Wieści z kosmosu także są zresztą niedobre: za nieco ponad sto lat asteroida Bennu uderzy w Ziemię i spowoduje koniec świata.

CZAS APOKALIPSY. Koniec świata nastąpił już w Rzeszowie, gdzie prezydent mimo sprzeciwu radnych sam obniżył sobie pensję. Trąby apokalipsy słychać też w PiS, którego władze ustalają górną granicę zarobków dla kandydatów w zbliżających się wyborach, zasiadających zarazem w spółkach Skarbu Państwa.

KWESTIA HIGIENY. Czyste ręce kandydatów to ważna kwestia, ale nawet ona może nie wystarczyć: Główny Inspektor Sanitarny przypomina, by pruć rąk, myć także owoce i warzywa, a to w obawie przed bąblowicą.

TO JUŻ BYŁO. W Wałcu doszło do masowego zatrucia dopalaczami. Policja uważa, że organizowany przez Jerzego Owsiańskiego festiwal rockowy jest niebezpieczny. Naukowcy wykluczyli związek łażu Turynskiego z Jezusem. Marta Kaczyńska wyszła za mąż.



ADAM WARSZAWA / FORUM

„LITANIA” – jeden z pierwszych tytułów, które przychodzą na myśl przy wspomnieniu Tomasza Stańki. Legendarny współpracownik Krzysztofa Komedy, twórca muzyki filmowej, kiedyś free-jazzowy eksperymentator, później minimalista z płyt wytwórni ECM, mistrz improwizacji i wieczny poszukiwacz zmarł w Warszawie w wieku 76 lat (sylwetkę trębacza zamieścimy za tydzień). ©P

Długi sen w zmarzlinie

GRUPIE ROSYJSKICH NAUKOWCÓW udało się przywrócić do życia nicienie, które spędziły ok. 35 tys. lat w bezruchu na głębokości ok. 2,5 m w syberyjskiej wiecznej zmarzlinie, w okolicach rzeki Kołymy. Próbkę przemarzniętej gleby umieszczono w odżywczym płynie w „inkubatorze” o temperaturze 20 st. C, zawierającym też ulubiony pokarm tych nicieni, czy-

li kolonie glebowych jednokomórkowców. Po kilku tygodniach małe robaki zaczęły się ruszać i w niedługim czasie pęzały już po szklanej płytce w poszukiwaniu pokarmu.

To absolutny rekord w świecie zwierząt. Pytanie brzmi, czy syberyjskim nicieniom nie dałoby się podkraść którejś z biochemicznych sztuczek, które pomogłyby nam choćby w bezpiecznym zamrażaniu i rozmrażaniu tkanek ludzkich. Wiele naszych najlepszych technologii rodzi się właśnie w ten sposób. ©P ŁL

Nasi w Bayreuth!

KILKA MIESIĘCY TEMU wiadomość o obsadzeniu bas-barytona Tomasza Koniecznego w partii Telramunda w otwierającej tegoroczny festiwal wagnerowski w Bayreuth nowej inscenizacji „Lohengrina” pod batutą Christiana Thielemanna zelektryzowała polskie środowisko muzyczne. Pod koniec czerwca nastąpił gwałtowny zwrot akcji: z udziału w spektaklu wycofał się tenor Roberto Alagna, tytułowy rycerz z łabędziem. Ruszyły spektakularne, umiejętnie nagłaśniane przez media poszukiwania zastępcy. Czasy, kiedy nikomu nieznani dublerzy tylko czekali na okazję, która mogła im dać przepustkę w świat wielkiej opery, minęły bezpowrotnie. Po kilku dniach znalazł się pewniak – Piotr Becza-

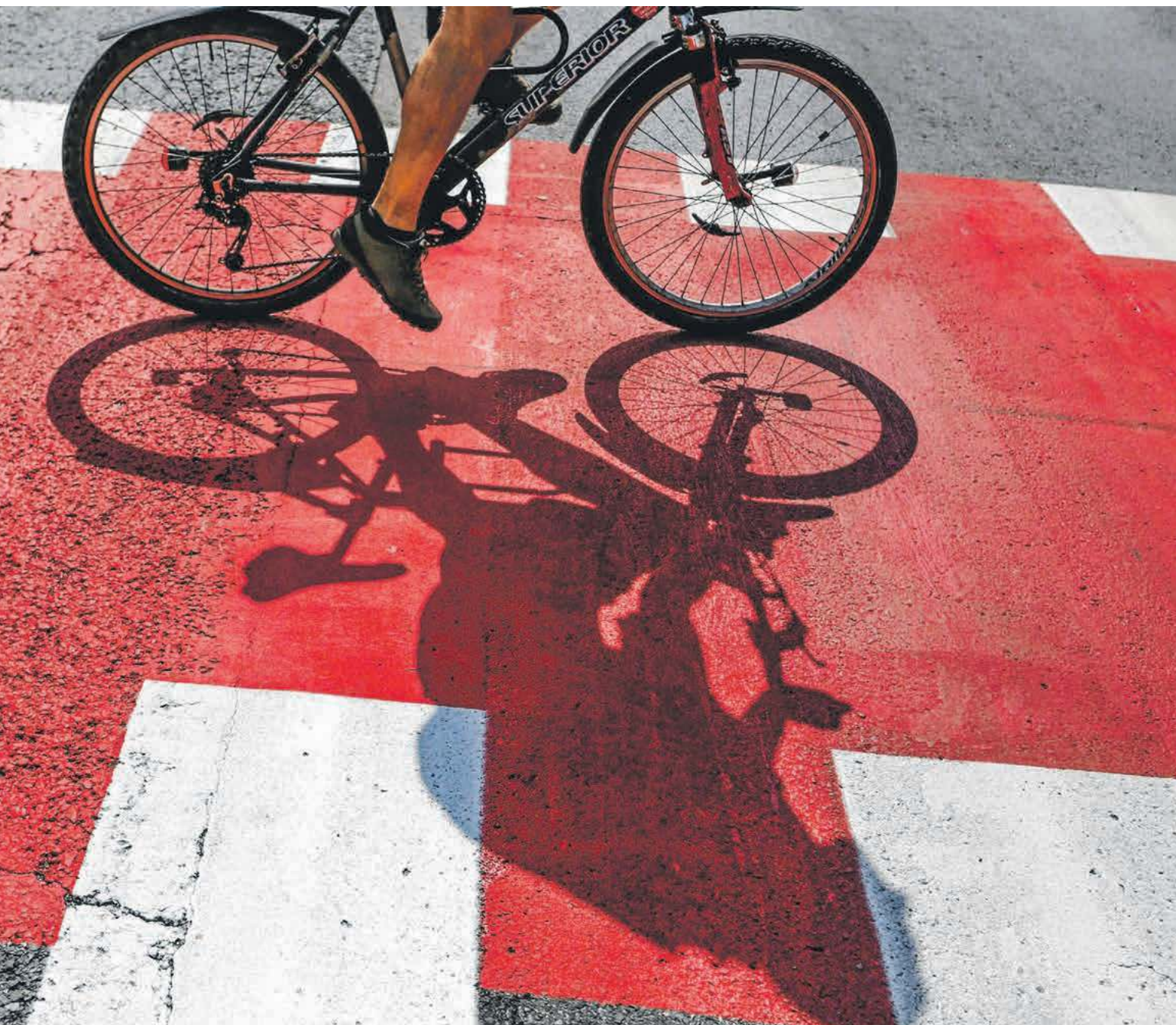
ła, który wcześniej odniósł ogromny sukces w tej partii w Dreźnie, w przedstawieniach dyrygowanych przez tegoż Thielemanna. Premiera już za nami: był to pierwszy powojenny występ polskich solistów w Bayreuth, skądinąd entuzjastycznie przyjęty przez międzynarodową krytykę. Mniej nadzieję, że nie ostatni. Tradycję śpiewu wagnerowskiego zniszczyliśmy w Polsce sami. Zarówno Konieczny, jak i Beczała szlifowali swoje mistrzowskie umiejętności za granicą. Teraz czekają inni Polacy, niedoceniani w kraju, a zbierający świetne recenzje po występach w mniejszych teatrach niemieckich. Czas wyciągnąć wnioski i wprowadzić twórczość Wagnera do stałego repertuaru naszych oper. Trudno o lepszy argument niż triumf „polskiej reprezentacji” w Bayreuth.

©P DOROTA KOZIŃSKA

Z DROGI

Z roweru dobrze widać Polskę. Nie ustępujemy sobie, nie współpracujemy, obwiniamy innych, choć wszystkich obowiązują te same przepisy.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI



DROGĄ Z CZERWONEJ KOSTKI BAUMA, przez rondo Grunwaldzkie, prowadzi szlak rowerowy z południa Krakowa do centrum. Dalej jest most Grunwaldzki, najbardziej obciążona rowerami przeprawa w mieście. Po drodze rowerzyści mają przejazd pod nowiutkim Centrum Kongresowym ICE, notorycznie zastawiany przez auta wpychające się w korek do lewoskrętu przed rondem.

– A goście ICE mają widok na pomnik myśli urbanistycznej lat 60. – mówi Marcin Wójcik, krakowski oficer rowerowy. – Tak naprawdę trzeba by przemyśleć całą tę przestrzeń. Ale na razie nie ma woli politycznej.

Samochód w Krakowie ma 600 na 1000 mieszkańców.

– To więcej niż w Berlinie – mówi Wójcik. – Proszę zobaczyć, w większości aut jedna osoba, góra dwie. Średnia dla Krakowa to 1,3. Tymczasem to rower jest najszybszym środkiem transportu na dystansie do 5 km.

Stawka jest wysoka, bo przestrzeni w miastach nie przybywa, przybywa za to pojazdów. I aut, i rowerów. Jak zauważają eksperci projektu Copenhagenize.org, zajmującego się planowaniem nowoczesnych miast, XX-wieczne pytanie: „Ile aut zmieści się na ulicy” trzeba zmienić. W XXI wieku brzmi ono: „Ilu ludzi zmieści się na ulicy”. Według ich analiz, gdy cztery pasy dla aut zastąpi się jednym dla aut, dwoma dla komunikacji zbiorowej i jednym dla rowerów, pojemność zwiększa się dziesięciokrotnie. Jeśli chcemy się pomieścić, czekają nas grube zmiany. I konfliktogenne.

Wójcik wskazuje na miejsce, gdzie piesi muszą przeciąć drogę dla rowerów. Światło zmienia się na zielone. Piesi i rowery ruszają stłoczeni, ale w miarę zgodnie i sprawnie.

– Radzę sobie – mówi oficer rowerowy. Najkrócej streszczając w ten sposób skomplikowane relacje między pieszymi, rowerzystami i kierowcami.

Pośród wszystkich polsko-polskich konfliktów ten nie jest może najgłośniejszy, ale za to dotkliwy na co dzień. Warszawa kłóci się a to o postawioną na Kamionku kosztowną stację rowerów miejskich, a to o nielegalny tor rowerowy na terenie rezerwatu w Lesie Ka-backim. Jeden z krakowskich radnych chce zwalczać rowery na Plantach, gdzie współdzielą alejki z turystami i dziećmi. A w komentarzach pod doniesieniami o tragicznej śmierci perkusisty Grzegorza

Grzyba, który 23 lipca zginął potrącony, jadąc na rowerze, nie brakowało tych w rodzaju: „dla innych rajtuziarzy nauczka, by jeździć po lasach, a nie po mieście” czy „co robił rowerzysta na środkowym pasie?!? Szukał śmierci to i znalazł”.

– Da się wyczuć napięte stosunki między kierowcami, pieszymi a rowerzystami – przyznaje Robert, całoroczny rowerzysta z Krakowa. – Ci ostatni często zachowują się, jakby ich nie dotyczyły przepisy. A kierowcy traktują nas jak zawalidrogi.

To, co o nas mówi ów komunikacyjny konflikt, sięga daleko poza ruch drogowy. A to, czego się o sobie nauczymy szukając rozwiązania, może nam ulżyć w niejednym innym polsko-polskim konflikcie.

Marzenie o dwóch kółkach

Czy rzeczywiście, jak można by wnioskować z entuzjazmu medialnych nagłówków, przeżywamy właśnie nagłą rowerową rewolucję?

Polakom do masowego cyklizmu jeszcze daleko. Według najnowszych badań Eurobarometru z grudnia 2017 r. należymy do najmniej aktywnych fizycznie społeczeństw Europy. Aż 60 proc. z nas nigdy lub prawie nigdy nie siada na rower ani nie uprawia innych lekkich aktywności, jak taniec. Różnica jest głównie pokoleniowa: nigdy nie jeździ lub robi to rzadko aż 65 proc. mężczyzn powyżej 55. roku życia, a tylko 29 proc. młodych. Różnica idzie też w poprzek warstw społecznych: nigdy lub prawie nigdy nie pedałuje 68 proc. pracowników umysłowych, 64 proc. fizycznych, 59 proc. bezrobotnych i 45 proc. menadżerów. Ale tylko co czwarty student.

Równocześnie trudno nie dostrzec rowerowego boomu. By trzymać się przykładu Krakowa: miasto, opowiada Marcin Wójcik, na podstawie pięciu automatycznych punktów pomiarowych zauważyło, że w pierwszych miesiącach 2018 r. zanotowano wzrost ruchu rowerowego o 50-70 proc. w porównaniu z rokiem ubiegłym. Według ogólnopolskiego raportu „Rowerowa Polska”, przygotowanego z końcem 2016 r. przez Fundację Allegro All For Planet, wśród badanych rowerzystów najwyższy odsetek deklaruje regularne korzystanie z dwóch kółek w Opolu (85 proc.), potem we Wrocławiu (84), Łodzi (83), Szczecinie (82), Olsztynie i Krakowie (po 82). Najmniej w Kielcach (64).

Ale rower to nie tylko wielkomiejskie zjawisko – Polska przecież zawsze była ro-

werowa – mówi Marcin Hyla, rowerowy aktywista, prezes sieci Miasta dla Rowerów. – W mniejszych miejscowościach od niepamiętnych czasów jeździ się na rowerach: bo nie ma transportu zbiorowego, bo to tańsze albo po prostu wygodne.

Co więcej, rower pokazuje, jak zmieniła się wieś. Wbrew stereotypowi „chłopa z kosą na ukrainie”, wcale nie korzysta się tu z dwóch kółek inaczej niż w mieście. Według ogólnopolskich badań rowerowych Europy Assistance Polska z 2015 r. to głównie spędzanie wolnego czasu (miasto 89 proc., wieś 81 proc.), dojazd na zakupy (30 i 35 proc.), do pracy i szkoły (33 i 21 proc.) oraz sport (11 i 9 proc.).

Wójcik podkreśla, że rowerzystów nawet w Krakowie jest wciąż za mało. Miasto, podpisując Kartę Brukselską, zobowiązało się do 2020 r. osiągnąć 15 proc. udziału rowerów w ruchu miejskim: – Dziś to 5,5 do 6 proc.

– Przemiany cieszą, ale to miś na miarę naszych możliwości – wtóruje mu Marcin Hyla. – Polska ledwo poradziła sobie z problemami, których żaden cywilizowany kraj nigdy nie miał, a świat w promowaniu rowerów jest już daleko z przodu.

Zamiłowanie do rowerów to także żadna nowość.

– Polacy marzyli o jeżdżeniu na rowerach już 20 lat temu, tylko nikt o tym nie wiedział – mówi Hyla. – W 2000 r. Miasta dla Rowerów zleciły badania, w których zapytaliśmy mieszkańców wielkich miast, czym najchętniej dojeżdżali do pracy lub szkoły. 44 proc. wybrało samochód, ale na drugim miejscu był rower.

Wybrało go wtedy 24 proc. tak mężczyzn, jak i kobiet. Co piąty badany chciał chodzić pieszo, na końcu była komunikacja publiczna (11 proc.). Bardzo zbliżony do tych preferencji Polaków był... ówczesny model komunikacyjny Amsterdamu. Tak jakbyśmy marząc o rowerach, w ówczesnej, pogrążonej w transformacyjnym chaosie i przedunijnej Polsce, marzyli o zachodnioeuropejskim spokoju i szczęściu. A rower, równocześnie swojski i światowy, idealnie to wyrażał.

– Boom rowerowy wynika z tego, że aż tylu Polaków od dawna tego pragnęło – komentuje Hyla. – A dziś się to przebija do rzeczywistości.

Bo, jak podkreśla, zaczęły zniknąć urbanistyczne przeszkody. Za unijne fundusze powstają drogi dla rowerów i dostęp do centrów z osiedli zyskali wszyscy, którzy dotąd bali się przedzierać przez →

⇒ wielopasmowe arterie dla aut. W efekcie centra zaroili się od rowerów.

– U mnie w Milanówku nie ma już starszej pani, która chodziłaby bez kijków do nordic walkingu – mówi prof. Wojciech Burszta, antropolog kulturowy i socjolog. – Ale na zakupy wciąż jeżdżą nieśmiertelnymi PRL-owskimi rowerami, bo tylko nimi da się tu poruszać we wszystkie pory roku.

Gdy prof. Burszta w latach 70. dojeżdżał na uczelnię rowerem, uważane to było za dziwactwo: – Wyzwaniem było dojechać szczęśliwie. Kierowcy bez przerwy trąbili, a rowerowi nie było gdzie przysiąć.

Dziś, komentując rowerowy boom, przywołuje pojęcie „efekt joggingu” ukute przez medioznawcę Régisa Debray, według którego każdemu postępowi odpowiada „skok w tył”: gdy ludzie przesiedli się do aut i przestali chodzić, zaczęli biegać: – Wracamy do oczywistych niegdyś czynności życia codziennego, które jednak wówczas były koniecznością, a dzisiaj są przyjemnością i relaksem. Rower się w to wpisuje.

Adrenalinowa jazda

Marcin Hyla przestrzega jednak przed patrzeniem na resztę Polski przez pryzmat Krakowa czy innych przyjaznych rowerom miast, jak Wrocław bądź Gdańsk: – W Krakowie rower stał się tematem wręcz nudnym, bo pod Wawelem ruch w centrum ograniczono już 4 stycznia 1979 r., wyrzucając auta z Rynku. Awantury o rower wybuchają tam, gdzie jest zjawiskiem nowym. Jak w Łodzi. Nie mówiąc o Warszawie, spóźnionej względem rowerowej awangardy o 15 lat.

Śmieje się, że stolica zastosowała pokrętną strategię: – Wprowadzili rower miejski Veturillo na chodniki, w sam środek miasta pozbawionego rowerowej infrastruktury, żeby mieć pretekst do jej wybudowania. Wcześniej po mieście jeździli głównie kurierzy rowerowi, i to od nich wywodzi się warszawski adrenalinowy styl jazdy. W efekcie Warszawa jest mocno konfliktowa.

Problem w tym, że to z perspektywy Warszawy tworzy się dziś przepisy ruchu drogowego. I z jej perspektywy sytuację między rowerami, autami i pieszymi opisują media. Jak np. ostatnio felietonista „Wysokich Obcasów” Wojciech Staszewski, który postawił zaskakującą w piśmie o feministycznych sympatiach tezę, jakoby rowerzystami „błądzącymi

Powodem 47 procent wypadków i kolizji z udziałem rowerów w 2017 r. było **nieudzielenie pierwszeństwa przejazdu**.

To wiele o nas mówi.

we mgłę”, nieznającymi przepisów, były „głównie dziewczyny”.

– Antagonizowanie uczestników ruchu drogowego często sztucznie napędzają media – potwierdza dr Dorota Bąk-Gajda, psycholog transportu z Uniwersytetu Humanistyczno-Społecznego SWPS. – Dostrzegamy nieliczne złe przykłady kierujących, zamiast milionów zachowujących się prawidłowo i kulturalnie.

Psycholog podkreśla, że w zachowaniu uczestników ruchu zaczyna być widać efekty zmian, jakie na rzecz rowerów i pieszych wprowadzają miasta.

– Przyzwyczajają się oni i zmieniają własne zachowania – mówi. – Te agresywne czy niekulturalne obserwujemy nadal, ale zaczynają one stanowić niechlubne wyjątki. Owszem, istnieją nieliczni, którzy zawsze demonstrują postawę rywalizacyjną. Ale takie osoby, emocjonalnie niedojrzałe w postawach, są egoistycznie i roszczeniowo nastawione do innych niezależnie od tego, czy prowadzą samochód, czy rower.

Ten ostatni przypadek dostrzegają też sami rowerzyści. Według Europ Assistance Polska aż 52 proc. z nich twierdzi, że na drodze niebezpiecznie zachowują się... inni rowerzyści.

– Do najczęstszych wykroczeń popełnianych przez rowerzystów należą przede wszystkim jazda wzdłuż po przejściu dla pieszych, korzystanie z jezdni, pomimo że na tym samym odcinku drogi jest wyznaczona droga lub pas ruchu dla rowerów, oraz przejeżdżanie na czerwonym świetle – wylicza mł. asp. Michał Gawel z Biura Komunikacji Społecznej KGP, wcześniej m.in. policjant drogowki. – Niektórzy z nich zapominają, że przepisy obowiązują też na drodze dla rowerów.

Szczególnie nieźnośni dla pieszych są rowerzyści na chodniku.

– To naganne – komentuje Marcin Hyla. – Ale na wielu odcinkach dróg rower nie ma się gdzie podziać, a jazda nim po jezdni

jest uciążliwa i dla rowerów, i samochodów. Bywa też, że np. w małych miejscowościach, przez które przechodzą pełne TIR-ów drogi krajowe, można by dopuścić warunkowo lokalny ruch rowerzystów na krótkim odcinku chodnika, zamiast zmuszać ich np. do przecinania ruchliwej jezdni tylko po to, żeby za parę metrów musieli wracać na tę stronę jezdni, z której wyjechali. Ale takich właśnie rzeczy nie widać zza biurka w Warszawie.

Według policyjnych statystyk w 2017 r. rowerzyści spowodowali 1546 wypadków – czyli poważnych zdarzeń drogowych, z dużym uszczerbkiem na zdrowiu uczestników – w których zginęło 119 osób. To brzmi groźnie. Warto się jednak przyjrzeć kontekstowi i sprawdzić, w jakich sytuacjach groźnie jest naprawdę.

W policyjnym Systemie Ewidencji Wypadków i Kolizji w 2017 r. odnotowano 13 650 wszystkich zdarzeń – a więc i wypadków, i drobniejszych kolizji – z udziałem rowerów. To już samo w sobie tylko 3 proc. wszystkich zdarzeń drogowych z ubiegłego roku.

Na chodniku było ich 8 proc. Mniej niż na przejeździe dla rowerzystów (9,6 proc.). Wypadki i kolizje rowerom przytrafiają się głównie wśród aut, na jezdni: to 66 proc. A najechanie na pieszego wskutek nieustąpienia mu pierwszeństwa na przejściu dla pieszych to ledwie 0,46 proc. wszystkich zdarzeń z udziałem rowerów. Czyli 63 sytuacje w całym kraju na rok. Stawia to kwestię rowerzystów na chodnikach w innym świetle. Łamią przepisy, straszą pieszych i stwarzają zagrożenie, bo jezdni jest dla nich zbyt niebezpieczna.

A odwrotnie: piesi rzekomo panoszący się na drogach dla rowerów? Zdarzenia z udziałem rowerów, gdzie winny był pieszy, to margines: w 2017 r. było ich łącznie 1 proc.

Zachowania najbardziej rzucające się w oczy i irytujące niekoniecznie pokrywają się z tymi najgroźniejszymi. Rowery najczęściej cierpią w kraksach z innymi pojazdami: to w 2017 r. 82 proc. zdarzeń z ich udziałem.

I wskutek braku uwagi na innych: powodem 47 proc. wypadków i kolizji z udziałem rowerów było w 2017 r. nieudzielenie pierwszeństwa przejazdu.

To też wiele o nas mówi.

Drogowe plemiona

– Zwiększa się świadomość praw poszczególnych grup użytkowników dróg, którzy

coraz częściej żądają ich respektowania. Jednakże często nie idzie z tym w parze zwiększanie się świadomości obowiązków wynikających z zasad kultury czy kodeksu drogowego – komentuje dr Bąk-Gajda.

– Innymi słowy, rosną wymagania wobec innych, a własne zobowiązania są lekceważone. Tymczasem przemiany w ruchu drogowym powinny się opierać na współpracy, nie rywalizacji – podkreśla. – Konsekwencją mściwego, agresywnego zachowania na drodze może być uszczerbek na zdrowiu lub śmierć innych. W ruchu drogowym bezwzględnie należy współpracować.

Może docierając relacje między sobą na drodze, nauczymy się czegoś ważnego o życiu w społeczeństwie w ogóle.

– Gdy chcemy wymagać od innych, zacznijmy od siebie – kwituje mł. asp. Michał Gaweł. – Wszystkich obowiązują te same przepisy.

Zwłaszcza że – jak pokazały badania „Rowerowa Polska” – dwie trzecie aktywnych rowerzystów to zarazem kierowcy. „To oznacza, że klasyczny podział Polaków na rowerzystów i kierowców to mit” – komentowali autorzy raportu. Wystarczyłoby więc w razie konfliktu przypomnieć sobie, jak to jest być tym drugim, żeby wszystkim było lepiej. Dlaczego to tak trudne w praktyce?

Zdaniem prof. Burszty tak silna jest nasza potrzeba przynależności, odruch plemienny: – Rowerzyści, piesi i kierowcy tworzą wspólnoty wyobrażone, których członkowie w danej chwili cierpią razem z nimi. Jak w życiu, tak i na drodze przyjmujemy różne role i gdy akurat tworzymy element jednej grupy, natychmiast zapominamy, że należymy też do pozostałych. A z tymi plemionami identyfikujemy się tak mocno, bo wyrażają nasz styl życia. Tu bardzo przypominamy społeczeństwa Zachodu: najgorsze, co nas może spotkać, to nie przynależność do żadnej odróżniającej się od innych wspólnoty.

Jak bardzo rower wiąże się ze stylem życia, pokazują pozorne drobiazgi z raportu „Rowerowa Polska”: więcej rowerzystów ma w smartfonie aplikację do mierzenia tras (i udostępniania ich w social mediach) niż dzwonek przy kierownicy. 60 proc. wyposaża się w rowerową odzież, gogle czy rękawiczki, a tylko 41 proc. w kask.

Oto prawdziwe zarzewie konfliktu. Nie chodzi nawet o przestrzeń, lecz o prestiż i status.

Więcej rowerzystów ma w smartfonie aplikację do mierzenia tras (i udostępniania ich w social mediach) niż dzwonek przy kierownicy.

– Dziś rowerzyści są grupą aspirującą, jeżdżenie samochodem to przywilej, a chodzenie pieszo to dolegliwość – mówi prof. Burszta. – Pieszy ma problem z własną tożsamością i trzeba go zrozumieć, gdy się buntuje, że musi mieć oczy dookoła głowy, chociaż słowo „chodnik” we wszystkich europejskich językach oznacza miejsce dla niego.

Kulturoznawca zwraca też uwagę, że rowerowe spory wikłają się w podział na dwa polskie plemiona polityczno-swiatopoglądowe: – To tradycyjne i konserwatywne podejrzliwie spogląda na zjawiska, o których mówimy, traktując je jak lewicowe dziwactwo z tego samego zbioru, co gender i ekologia.

Na szczęście to nie tak jednoznaczne. Marcin Hyła żartuje, że gdy minister Waszczykowski stwierdził w 2016 r. na łamach „Bild”, że wegetarianie i rowerzyści to przejaw obcego, lewicowo-marxistowskiego modelu z Zachodu, musiał wprawić w konsternację dużą część własnego elektoratu z mniejszych miejscowości, jeżdżących na rowerze od zawsze. Zresztą poseł Andrzej Jaworski z PiS, przewodniczący parlamentarnego zespołu ds. przeciwdziałania ateizacji, wyznał wtedy, że sam jeździ na rowerze, kiedy tylko może.

Owszem, Patryk Jaki jesienią 2017 r. powiedział o Warszawie, że „to miasto jest teraz pełne ideologii skoncentrowanej na tym, by tępić ludzi, którzy jeżdżą samochodem”, bo np. „regularnie stwarza się nowe miejsca, gdzie kosztem drogi robi się ścieżki rowerowe lub miejsca do chodzenia”. Ale z drugiej strony Klub Gazety Polskiej w Elblągu zorganizował 9 czerwca rajd rowerowy pamięci żołnierzy wykłetych.

Jeśli rower może wieźć nas ponad podziałami, to naprawdę dobra wiadomość. Zwłaszcza że gdy zapytać narzekających na konflikty rowerzystów o pozytywne zaskoczenia, zwykle ich nie brakuje.

– Za każdym razem mnie rozbraja, gdy kierowca mnie przepuszcza, mimo że ma pierwszeństwo – przyznaje rowerzystka Ewa. – Widać, że kierowcy coraz bardziej uważają na rowery i powoli traktują nas z taką samą uwagą jak pieszych – dodaje Andrzej.

Obywatelski trening

Krakowski oficer rowerowy jedzie przodem, przez ul. Grodzką. Jest 9 rano i na pieszo-rowerowym szlaku między Wawelem a Rynkiem piesi i rowery tłoczą się po jednej stronie. Drugą zajmuje rząd dostawczaków.

– To się da rozwiązać tylko radykalnie – wzdycha Wójcik i marzy o parkingach rozładunkowych wokół centrum, gdzie można by wypożyczyć rower cargo. Czy umielibyśmy się dogadać na tyle, żeby tak radykalne zmiany wprowadzić? Według badań „Przystanek Miasto 2017” przeprowadzonych przez „Gazetę Wyborczą” restrykcji dla aut w centrum chce aż 63 proc. krakowian, ale łódzian już ok. 40 proc. A głos większości to też nie wszystko, trzeba jeszcze zadbać o potrzeby mniejszości. Relacje pieszy-rower-auto to niezły trening obywatelski.

Zwłaszcza że w blokach startowych stoją już kolejni chętni na korzystanie ze wspólnej przestrzeni. UTO – czyli Urządzenia Transportu Osobistego: wszelkie hulajnogi, rolki, deski, segwaye. Na razie w świetle polskiego prawa ich użytkownicy są pieszymi i nie mogą jeździć po drodze dla rowerów. Ale na chodniku też są kłopotliwi. Drażnią i tu, i tu.

– Jeśli będą szanować rowerzystów, to się zmieścimy – uśmiecha się Wójcik.

Podkreśla też, dlaczego tak ważna dla bezpieczeństwa jest budowa pieszo-rowerowej infrastruktury.

– Ona kreuje zachowania uczestników ruchu – tłumaczy Wójcik. – Na uspokojonej ulicy, gdzie czuje się pan bezpiecznie, będzie się pan zachowywał inaczej niż w tłoku i hałasie ronda Grunwaldzkiego, gdzie wszyscy są napięci i zdenerwowani.

– Najbardziej brakuje mi szacunku i wyobraźni – mówi tymczasem Ewa. – Rozwiązania techniczne są zawsze mile widziane, ale nie zastąpią kultury.

Kilka dni później. Skrzyżowanie pod Centrum Kongresowym ICE. Auto znów tarasuje przejazd dla rowerów. Raptem kierowca się rozgląda. Z przepaszającą miną cofa. Rowery ruszają na zielonym.

Radzimy sobie. © P MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Mechaniczna doskonałość

IRENEUSZ KANIA, TŁUMACZ:

Moda na rower cieszy mnie ogromnie – to jedna z niewielu dobrych mód, które się w Polsce przyjęły. Bo my najchętniej kopiujemy mody najgorsze.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Kto Pana nauczył jeździć na rowerze?

IRENEUSZ KANIA: Sam się nauczyłem. W moim pokoleniu i w moim miasteczku nikt nas nie uczył. Wystarczyło, by grupa siedmio-, ośmiolatków dorwała rower... Wtedy każdy na własną rękę próbował jeździć.

Trzeba było tylko ten rower dorwać – w połowie lat 40. to chyba nie była prosta sprawa.

Miałem o tyle dobrą sytuację, że w domu był rower. Ojciec posiadał przedwojenną damkę, bardzo ciężką, ważyła z 20 kg. Jako dziecko byłem mikrus, więc była dla mnie wyzwaniem. Uczyłem się, gdy miałem sześć lat, dobrze to pamiętam, bo wtedy urodziła się moja siostra. Stałem na pedalach, a kierownicę miałem nad głową. Ale nauczyłem się.

Tak od razu?

Nie obyło się bez dramatycznych przygód. Któregoś dnia jechałem naszą ulicą, która nazywała się Krótka, ale była nie tyle krótka, co bardzo stroma. Rozpędziłem się mocno, a tu widzę naprzeciwko siebie sąsiadkę z dwoma wiadrami pełnymi wody. Pędzę na nią i wiem, że musi nastąpić zderzenie, bo jeszcze nie umiem skręcać i hamować. Wiadra jej wypadły, przewróciła się, ja na nią, na nas rower. Narobiła wrzasku. Rodzice i ja potem ją przeprosaliśmy.

Pamięta Pan moment, kiedy poczuł, że panuje nad rowerem?

Trochę czasu musiało upłynąć, dopóki nie dostałem roweru na mój wymiar. A to zdarzyło się po dwóch latach. Wtedy poczułem się panem roweru i zacząłem na nim wyczyniać akrobatyczne cuda: jazda na jednym kole, jazda bez trzymania kierownicy, stojąc na pedalach... Usiłowałem stanąć nawet na rękach na kierownicy, ale to mi się na szczęście nigdy nie udało,

bo nie wiem, czy byłbym dziś w całości. W tamtym czasie jeździłem dużo z moim przyjacielem. Byliśmy rówieśnikami, mieliśmy tę samą fizyczną wydolność i poziom umiejętności.

Ważny jest przyjaciel do wspólnych podróży?

Ważny. Gdy wyrusza się na dłuższe, męczące trasy i chce się jechać szybko, a wieje wiatr, to nieocenioną rzeczą jest zmienianie się na prowadzeniu. Ten pierwszy wytwarza za sobą w odległości pięciu-sześciu metrów worek próżni, w którym jest mniejszy opór powietrza, więc jedzie się o wiele łatwiej, da się odpocząć. Ale przychodzi moment, że trzeba kumpla zmienić – wtedy odpoczywa on. W ten sposób we dwójkę można bez większego zmęczenia pokonywać długie odległości – to niesłychanie wydajny system, dziś praktykowany w drużynowych wyścigach. A my jako dzieci sami go odkryliśmy.

Długo razem jeździliście?

Do mojego 14. roku życia, potem z domu wyrwały mnie rozmaite choroby. Do rodzinnego Wielunia wróciłem, by jako 18-latek zdać maturę. Roweru już nie miałem, lecz zająłem się innym sportem – lekkoatletyką. Skakałem, rzucałem dyskiem i oszczepem... To mnie pochłonęło. A w 1959 r. poszedłem na studia do Krakowa i tam zacząłem trenować podnoszenie ciężarów. Na rower ponownie wsiadłem w 1969 r., zatrudniłem się wtedy w Centralnym Ośrodku Chłodnictwa, przesiedziałem tam siedem lat. Początkowo pracowałem jako dokumentalista, potem kierownik komórki współpracy z zagranicą i RWPG. By sobie ułatwić życie, kupiłem angielskiego tylera z przetrutką trójbiegową. Mieszkałem wtedy przy Błoniach, na ul. Kraszewskiego. A mój zakład pracy był przy ówczesnej ul. Dzierżyńskiego, dziś Lea. W latach 60.

i 70. w Krakowie z komunikacją było makabrycznie – przeciążone tramwaje i autobusy nieregularnie kursujące. By dostać się do pracy, musiałem objechać pół miasta. A na rowerze pokonywałem trasę na skróty, w pracy byłem w kwadrans.

Jak z Pana półwiecznej perspektywy jazdy na rowerze zmieniły się w Polsce obyczaje?

Jeszcze w latach 60. rzadkością był dorosły jeżdżący po mieście na rowerze. Jasne, zdarzali się narwańcy, którzy lekceważyli konwenanse. Uznawane jednak było to za dziwactwo, gdy stary chłop na stanowisku wsiadał na rower. Zmieniło się to radykalnie w ostatnich latach, gdy nastąpiła epoka tanich, górskich rowerów, które można było kupić w każdym większym supermarkecie. Wystarczały na jeden sezon, bo to złom i nędza. Dobry rower kosztuje minimum 2-3 tysiące i więcej.





GRAŻYNA MAKARA

Ireneusz Kania, Kraków, lipiec 2018 r.

Na rynku rowerów jest teraz zatręśnienie – od eleganckich damek przez te, na których jeździ się na leżąco, po wyczynowe kolarzówki.

Ja mam dwa rowery – stary, produkcji Rometu, trochę podrasowany, jeżdżę nim po mieście, i trekkingowy, z przerzutkami – trzy z przodu i osiem z tyłu, w sumie 24 możliwe kombinacje, sprawdza się w każdych warunkach terenowych.

A moda na rower to jedna z niewielu dobrych mód, które się w Polsce przyjęły. Bo my najchętniej kopiujemy mody najgorsze. Więc moda na rower cieszy mnie ogromnie. Widzę dziś obrazki, o których marzyłem całe życie: mamusię, tatusia i dwójkę bajtli jadących w rzędzie. Cała rodzina na rowerach na dobrze urządzonej ścieżce, bo takie też zdarzają się w Krakowie, np. ta prowadząca z Salwatora w stronę Wodociągów. W Polsce to nawet lepiej wygląda niż w Szwecji.

Naprawdę? Przecież Szwecja słynie z kultury rowerowej.

Też tak myślałem. Do domu pracy twórczej na Gotlandii jechałem z głową pełną stereotypów, m.in. dotyczących tego, że Szwedzi to naród wyjątkowo usportwowiony. Sama Gotlandia jest płaska, to idealne miejsce do wycieczek rowerowych.

Kiedyś wypuszczam się na całodniową jazdę rowerem. Wyjeżdżam z mojego miasteczka i mijam po drodze rodziny na rowerach. Gdy ich mijam, oni machają do mnie, a ja do nich. Myślę: „No, rzeczywiście, ci Szwedzi to są usportowieni”. Jadę dalej i po pół godzinie robię sobie przerwę. Siadam, piję wodę. I co widzę? Rodzinę moich Szwedów. Jadą dalej, tyle że w autobusie, z którego radośnie mi machają. Ich rowery są już teraz w bagażniku. Wielcy sportowcy – w kaskach, w ochraniaczach, w bajeranckich kostiumach. W Szwecji to się zdarza nągminnie. Śmiałbym twierdzić, że

to reguła, bo takich rodzin przez dwa miesiące pobytu spotkałem mnóstwo. Startują z najlepszymi chęciami, a potem duch w nich upada. I autobusy na tę okoliczność są przystosowane – z tyłu mają olbrzymie kosze na rowery. W Szwecji pozbyłem się paru złudzeń; niektóre podróże kształcą.

A Polacy jak się zachowują na rowerach?

Coraz lepiej. Ponieważ moda rowerowa jest modą cywilizacyjną, na jej karku wjeżdżają do Polski wzorce zachowań. To jest społeczna pragmatyka – ona wymusza pewne zwyczaje. Choć z nimi też różnie bywa. Na fali młodzieńczej głupoty, która w pewnym wieku jest czymś naturalnym, grupa pseudowyczynowców potrafi w tłumie jeździć slalomem z najwyższą szybkością. Takie sceny widzi się nawet w środku miasta, proszę zaobserwować, co się dzieje na Rynku Głównym. Niebezpieczna moda →

→ szczególnie dla pieszych, którzy, swoją drogą, też potrafią zachować się niepoczytalnie. Gdy jadę w ładną pogodę wzdłuż Wisły mocno obłożonym deptakiem, to na ścieżkę wyznaczoną dla rowerów potrafią zniecierpliwienie wejść zarówno dzieci, jak i dorośli. Robią to w sposób gwałtowny, niespodziewanie wyrывая się z tłumu i wpadają rowerzyscie prosto pod koło. Wiele razy w ostatniej chwili musiałem hamować. A raz mi się nie udało i wpadłem na 10-latkę, który zbiegł na ścieżkę z góry. On wykoziółkował, ja wykoziółkowałem, matka tego chłopca narobiła wrzasku, dobrze, że byli świadkowie, bo inaczej by mnie rozniosła. W Polsce obowiązuje zasada ograniczonego do zera zaufania rowerzysty do pieszego, którego często należy traktować jako potencjalne zagrożenie.

Kierowcę auta też trzeba w ten sposób traktować?

To inna kategoria. Samochód jest maszyną dużą i ciężką, z definicji jego kierowca znajduje się w pozycji silniejszego. Dużo bardziej niebezpieczni są piesi. Bo z rowerzystami wydają się pozornie pozostawać na poziomie równości. W stosunku do samochodziarza z góry wiem, że pozostaje w pozycji słabszego.

Czy istnieje idealne miejsce na świecie dla rowerzysty?

Francja ma znakomite drogi rowerowe. Sporo jeździłem po Prowansji, gdy w latach 90. byłem w Arles, w ośrodku dla tłumaczy. Uderzyło mnie wtedy, że z rowerów korzystała masa starszaków, gromada pań i panów w znakomitej formie, nawet 80-, 90-latków. Człowiek we Francji nie musi się bać, że go staranuje ciężarówka ścinająca zakręt. Bo w Polsce jest ona niebezpieczeństwem realnym – wiele razy w ostatniej sekundzie uchodziłem z życiem skacząc do rowu.

Ale we Francji na rowerzystę czekają inne zasadzki. Choćby mistral, porywisty wiatr, doliną Rodanu pędzi z olbrzymią szybkością. Kiedyś jestem na środku mostu z niską balustradą. I niespodziewanie poczułem potężne uderzenie w bok... Uratowała mnie rutyna, to, że w ułamkach sekund zapanowałem nad kierownicą. Bo inaczej mistral zdmuchnąłby mnie do wody. Wprawdzie umiem pływać, pewnie bym się uratował, ale rower by przepadł na pewno.

Kiedy indziej wybrałem się do Maillane, rodzinnej miejscowości Frédérica Mi-

Ponieważ moda rowerowa jest modą cywilizacyjną,

na jej karku wjeżdżają do Polski wzorce zachowań, wymusza ona pewne zwyczaje. Choć z nimi też różnie bywa.

strala, wielkiego prowansalskiego poety. Chciałem zwiedzić jego dom rodzinny. Z Arles to zaledwie 20 km na północ, a jechałem dwie godziny, z przeciętną prędkością 10 km/h. Nie dało się szybciej, mistral wiał mi prosto w twarz, momentami stawiało mnie w miejscu. Natomiast z powrotem tę trasę zrobiłem w pół godziny, czyli jechałem z przeciętną prędkością 40 km/h. I to jest rozkosz. Człowiek jedzie sam, wiatr go niesie...

Andrzej Bobkowski za okupacji przemierzył na rowerze Francję. W „Szkiecach piórkami” napisał, że w czasie upajającej jazdy przestawało go wszystko obchodzić, doświadczał prawdziwej wolności. Ale Bobkowski w czasie wypraw rowerowych też dużo rozmyślał. Pan też wtedy się zastanawia nad przekładami, nad którymi Pan pracuje?

Zdarzało się. Przed wielu laty byłem w Zakopanem, gdzie pisałem tekst o Milarepie. W pewnym momencie utknąłem, pojawił się problem, nie miałem pojęcia, jak ten wątek ugryźć. Już w Krakowie pojechałem na dłuższą wyprawę do Wadowic i zupełnie niespodziewanie coś mi się w mózgu otworzyło i wpadłem na potrzebny mi trop. Wróciłem do domu i tekst skończyłem.

Ale zazwyczaj o pracy nie myślę. Gdy jestem w pięknej okolicy, staram się zjednoczyć z nią duchowo. To jest dla mnie najistotniejsze.

Jak z perspektywy roweru wygląda świat?

Lubię rower, bo w istocie lubię podróżować. Co rozumiem przez podróż? Nie to, co zazwyczaj robimy w czasie wakacji. Nie jest podróżą to, że wsiadasz do samolotu, a po dwóch godzinach lądujesz w innym świecie. Dla mnie podróż to możli-

wość, bym mógł wszystko wkoło zauważyć. Bym jadąc koło ludzi mógł widzieć ich twarze i słyszeć, co mówią. To właśnie zapewnia mi rower. I jeszcze zapewnia to wędrowka piesza, właściwie moja ulubiona forma podróży; zdarzało mi się w jeden dzień zrobić pieszo trasę do Kalwarii Zebrzydowskiej i z powrotem. A gdy na rowerze jedzie się z prędkością 15-20 km/h, to nie wyrwa cię to ze świata, tylko cały czas się jest z nim spojonym. Człowiek utrzymuje to samo tempo.

Spotkał Pan w czasie swoich rowerowych podróży ważnych dla siebie ludzi?

Prawdę mówiąc, nie mam zbyt wiele potrzeby kontaktu z ludźmi, jestem raczej typem aspołecznym. Ta kwalifikacja idzie za mną od dziecka. Gdy mama wracała z wywiadówek, przynosiła na mój temat trzy opinie. Pierwsza, proszę wybaczyć, że zdolny. Druga, że aspołeczny. Trzecia, że krnąbrny.

Gdy jadę rowerem, chcę widzieć i słyszeć świat. Ludzie są tylko jego elementem. Czy potrzebowałem pomocy na drodze? Nigdy. Wiem po prostu, że gdy jadę na dłuższą trasę, mam zabrać pompkę, zapasową dętkę, zestaw do łatania dętek, wentyl oraz dwa klucze rowerowe. To kwestia doświadczenia – po Krakowie i okolicach przejeździłem od 1969 r. grubo ponad 100 tysięcy kilometrów.

Prowadzi Pan na ten temat zapiski?

Zapisuję, jakie trasy i ile zrobiłem kilometrów w jednym roku. Proszę spojrzeć, tu mam kalendarzyk z zeszłego roku, w każdym miesiącu jest notatka. W lutym – nic. W marcu – 71. W kwietniu – 55. W maju – 164. W czerwcu – 162. W lipcu – 290. W sierpniu – 180. We wrześniu – 95. W październiku – 34. W listopadzie – 27. Jesienią pogoda jest już nieodpowiednia. Gdy jest zimno, nie jeżdżę, wtedy ciągle mi cieknie z nosa, muszę sięgać po chusteczkę, a to już żadna przyjemność.

W sumie w 2017 r. wyszło około 1,2 tys. km. Mało. W ostatnich latach właśnie pogoda mi nie pozwala na więcej. Jeszcze 10 lat temu w roku pokonywałem w ciągu sezonu od 2 do 3 tys. km. A statystyki prowadzę z ciekawości, chcę być zorientowany. To stary nawyk z podnoszenia ciężarów, gdzie zapisuje się każdą tonę. Poza wszystkim, gdy ma się dane, można sobie ustawić trening.

Przy którym kilometrze zaczyna Pan odczuwać zmęczenie?

Nie wiem, czy pani w to uwierzy, ale jestem człowiekiem, który prawie się nie męczy. I przez 60 lat trenowania sportów, w tym intensywnego podnoszenia ciężarów, może ze dwa-trzy razy poczułem zmęczenie. Kiedyś w górach szedłem 12 godzin – od ósmej do dwudziestej – ostrego marszu. Wtedy czułem się rzeczywiście zmęczony. Objawiało się to w ten sposób, że całą noc nie zmrzyłem oka. W każdym razie fizyczny wysiłek mnie nie męczy.

A intelektualny?

Szczerze powiedziawszy – też nie. Ludzie pomawiają mnie o różne talenty, zwłaszcza do języków, mówię swobodnie dziesięcioma, w dwudziestu czytam. Ale ja mam dość słabą pamięć mechaniczną – w jeden dzień wkuwałem słówka, a w drugi kompletnie ich nie pamiętałem. Musiałem znaleźć niekonwencjonalne metody nauki, to już jednak inna historia. Mam jeden talent, do którego chętnie się przynaję: potrafię pracować intensywnie przez długi czas. Bez zmęczenia.

Dla pracy intelektualnej ważna jest kondycja fizyczna?

Bardzo. Gdy spotykam się z młodymi ludźmi, którzy mają ambicje pracować intelektualnie, mówię im, by dbali o fizyczną kondycję. To niebawem pomaga w każdej pracy.

Tę mądrość wyniósł Pan z domu rodzinnego?

Nie – ona sama do mnie przyszła. I nałożyła się na moją cechę fizjologiczną: umiłowanie ruchu. Od dzieciństwa rozpierała mnie energia, wychylnałem sztuki akrobatyczne, po drzewach łąziłem jak małpa, nauczyłem się chodzić po linie. Ta ogólna

Podróż to możliwość, bym mógł wszystko wkoło zauważyć.

Bym jadąc koło ludzi mógł widzieć ich twarze i słyszeć, co mówią. To właśnie zapewnia mi rower.

sprawność mi została, do dzisiaj jestem w stanie podciągnąć się na drążku z obciążeniem 30 kg, kiedyś to było 50 kg.

Zawsze miałem żyłkę ryzykanta, jako siedmiolatek uwielbiałem chodzić po skraju dachu. A to, że chłopcy nie mają dziś możliwości realizowania w naturalny sposób wysiłku fizycznego, uważam za wielki brak w ich dzisiejszym wychowaniu. Słaba sprawność fizyczna u chłopaka prowadzi do tego, że czuje się on niedołąga. A to w paskudny sposób odkształca jego psychikę. W dorosłości może to zapoczątkować agresję, także w rodzinie. Bo agresywny mężczyzna to słaby mężczyzna. Kiedy jest silny i ma tego świadomość – nigdy nie skrzywdzi nawet muchy. Mówię to z całą odpowiedzialnością – jako ten, który przez dziesiątki lat obracał się w środowisku ludzi silnych. Oni mieli poczucie, że siła jest ich zadaniem – obowiązkiem wobec słabszych.

Czy widział Pan projekt roweru Leonarda da Vinci?

Widziałem! Gdy 10 lat temu z żoną zwiedziliśmy Toskanę, trafiliśmy do jego muzeum w Vinci, gdzie, ku mojemu zdumieniu, zobaczyłem replikę roweru Leonarda. Choć replika to za dużo powiedziane, istniał przecież tylko jego rysunek odkryty

całkiem niedawno. Na jego podstawie w drewnie wykonano model roweru. I on jest taki sam jak rower, który znamy, posiada wszystkie jego elementy – kierownicę, przekładnię, koła zębate, łańcuch, pedały... Tymczasem rower nowoczesny wywodzi się od tych biegowych, jeszcze bez przekładni, wymyślonych przez Francuzów w XVIII wieku. Napędzało się je nogami, jak dziś rowerki dla dzieci.

Czyli da Vinci wyprzedził czas. A czy podoba się Panu rower jako forma?

Podziwiam rower jako jedną z najdoskonalszych konstrukcji inżynierskich. To może brzmieć dziwnie w epoce, w której mamy taką masę wyrafinowanych urządzeń. Ale jednym z najważniejszych wskaźników doskonałości mechanicznej urządzenia jest stosunek energii włożonej, czyli biologicznej – ludzkich mięśni – do energii otrzymanej, czyli kinetycznej, której postacią jest ruch. Rower ma jedną z najdoskonalszych proporcji tego kryterium. Dla porównania – w klasycznym parowozie ta proporcja wyrażała się w 5 proc., rower ma ją rzędu 40 proc. To jedna z najdoskonalszych maszyn, które człowiek wynalazł, choć w konstrukcji bardzo prosta. Niezaśmiecająca środowiska, niewytwarzająca hałasu, zajmująca mało przestrzeni. To są kryteria, które jakiś czas temu zostały przez inżynierów ustalone jako jeden z elementów składających się na to, co nazywamy nowoczesną konstrukcją. Więc mój podziw dla roweru ma komponentę myślenia inżynierskiego.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

IRENEUSZ KANIA (ur. 1940) jest filologiem, tłumaczem i eseistą. Przekładał z szesnastu języków, m.in. Ciorana, Eliadego, Benjamina, Flawiusza Filostrata, pisma buddyjskie oraz hebrajskie. Autor książki *Wypisów starobuddyjskich „Muttavali”*.

TP

Strona Świata

AUTORSKI SERWIS WOJCIECHA JAGIELSKIEGO

Jordania, Azerbejdżan, Indie, Izrael, Malezja, Liban, Afganistan, Pakistan, Zimbabwe – o tych miejscach tylko w ciągu ostatniego miesiąca pisał na naszych łamach jeden z najwybitniejszych europejskich reporterów, pisarz, były korespondent wojenny, a od września 2017 r. – dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, Wojciech Jagielski.

Zapraszamy do śledzenia jego wpisów w autorskim serwisie Strona Świata, dostępnym bezpłatnie pod adresem: tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata



GRAZYNA MAKARA

PAWEŁ

Śpiewak: Ozeasz



W SŁOWNIKACH BIBLIJNYCH ODNAJDUJEMY najważniejsze informacje o Ozeaszu: był jednym z dwunastu proroków mniejszych, żył w ósmym wieku przed wspólną erą, zapowiadał i był świadkiem upadku północnego królestwa Izraela – zajęcia kraju przez Asyryjczy-

ków i wygnania całego ludu na północ. Nikt z tych plemion nie powrócił. Dziesięć plemion z rodu Jakuba zaginęło na zawsze.

Ozeasz był prorokiem upadku. Podobnie jak Jeremiasz. Pokoleniowo nie ma między nimi wielkiej różnicy. Tyle że działali w innych środowiskach i odmiennie zapisali się w historii Izraela. Ranga Ozeasza jest zdecydowanie skromniejsza, choć wiemy czy możemy przypuszczać, że jego słowa i poematy miały olbrzymi wpływ na proroka zburzenia Judy i Pierwszej Świątyni. Ciekawe jest właśnie to, że był to prorok wywodzący się z plemienia Efraima, najbardziej licznego spośród dwunastu plemion Izraela. Zamieszkiwał odległe od Judy ziemie, ale został włączony do biblijnej tradycji, którą spisywali i porządkowali rabini i mędrcy wywodzący się wyłącznie z Judy. Wart był obecności w Tanach, tak zwanym Starym Testamencie, bo Jeremiasz potrzebował godnego siebie proroka i poprzednika. Miał go w Ozeaszu.

Pierwsze, o czym się dowiadujemy, czytając księgę Ozeasza, to że jego żona była wszeteczną i miała na imię Gomer. Wszeteczność – że użyję tak dawnego określenia – odgrywała pewną pozytywną rolę, poczynając od historii Tamar, ale też tego rodzaju kobiety zasługiwały, wedle Księgi Powtórzonego Prawa, tylko na ukamienowanie. Żadnej litości, żadnych wahań. Wyrok Boga jest jednoznaczny, ale prorokowi Bóg daje za żonę prostytutkę. Kobiętę niewierną, która już wcześniej miała wielu mężczyzn. Jej imię to Gomer. Gomer ma kilka znaczeń. Wszystkie łączą się ze słowami „kres”, „koniec”, „spełnienie”, „wypełnienie”. Słowo może mieć również seksualne konotacje i wiązać się z zaspokojeniem. Kres jest też oczywistą aluzją do kresu izraelskiego królestwa.

Żona proroka spłodziła z wszeteczeństwa kilkoro dzieci. Jak rozumieć, ich ojcem nie był Ozeasz. Dlaczego przydał prorokowi Bóg taką kobietę? Ma to sens czysto symboliczny. Królestwo Izraela i zamieszkujące je plemiona porównane są do dziwki. One zdradzają swego pana i męża, JHWH, i sypiają z obcymi, oddając hołdy obcym bogom. Zdrady muszą zostać ukarane i dlatego „ustanie królestwo Izraela” – zagrabią je Asyryjczycy. Zdrada, oszustwo, małżeństwo, związek seksualny, przyciąganie i wzajemne odpychanie dusz są wpisane w przymierze synajskie. To nie jest czytane jako układ prawny zwierzchnika z wasalami. Nie jest prostym spisaniem kontraktem. W obrazach, jakie przedstawia Ozeasz, przymierze podobne jest do pełnego emocji, namietności, nadziei, niespełnień i oczekiwań związku dusz i ciał, w którym trudno odnaleźć proste rozwiązania i pewne rozstrzygnięcia. Przymierze ma charakter dynamiczny, tak jak pełne niepokoju i bólu są zawsze związki emocjonalne. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Na różne sposoby



„ON CIĘ UCZYŁ POKORY, DAWAŁ ODCZUĆ głód, ale również karmił manną, której nie znałeś ani ty, ani twoi przodkowie. Chciał cię pouczyć, że nie samym chlebem żyje człowiek, ale tym wszystkim, co pochodzi z ust Pana” – czytamy w Księdze Powtór-

zonego Prawa.

Co ten pokarm, czyli to, co Bóg do nas mówi, powoduje? Najpierw postawmy pytanie: w jaki sposób Bóg mówi, bo przecież nie szeptem do ucha. Bóg rozmawia z nami na migi, za pomocą znaków, zdarzeń i momentów. Również wtedy, gdy Jego głos dochodzi z naszego wnętrza – zwłaszcza głos sumienia. Taki pośredni sposób porozumiewania się jest nam właściwy. Chcąc cokolwiek drugiemu przekazać, potrzebujemy słów, które jednak zawsze są wieloznaczne. Gestów, które można zinterpretować na tysiące sposobów. Do tego dochodzi jeszcze komunikacja pozawerbalna, gdy bez względu na słowa i gesty wie się, że nasz rozmówca na przykład coś ukrywa albo kłamie. Po prostu porozumiewamy się za pomocą czegoś, i przy pomocy kogoś, czyli medium. Nie mając bezpośredniego dostępu do rzeczywistości, jedni mówią, że ta głębia, którą chcemy poznać, to tylko kwestia czasu. Drudzy, że spraw dla ludzi najważniejszych nie da się rozjaśnić bez, jak mówi Leszek Kołakowski, Jezusa.

Przypomina o tym uroczystość Wniebowzięcia Maryi, a przede wszystkim Triduum Paschalne. Każdego dnia o tym, jak świat jest przebogaty w swojej złożoności i niemożliwy do opisanego, przypomina także msza święta. Jeśli się wierzy, że Jezus Chrystus rzeczywiście mieszka razem z nami, to przestaje sobie człowiek łamać głowę, zastanawiając się, jak to możliwe, że chleb staje się ciałem, wino krwią, a ludzka mowa – mową Boga. Skoro dało się wiarę Jezusowi, że tam, gdzie zbierze się dwoje lub troje Jego siostr i braci, dzielony chleb i wino będzie dla nich upewnieniem, że On jest z nimi, to czego chcieć jeszcze więcej? W konstytucji o liturgii czytamy, że msza święta „jest szczytem, do którego zmierza działalność Kościoła, i zarazem jest źródłem, z którego wypływa cała jego moc”, ale życie religijne nie wyczerpuje się w liturgii. Twarzą Jezusa, Jego dzisiejszym sposobem życia są ludzie – bez względu na cokolwiek.

Jezus kontaktuje się z nami na różne sposoby, znakiem Jego obecności są rzeczy powszednie: chleb, wino, woda, oliwa, obrzęd i człowiek. Wiemy, kto nas tak pokochał. W tej wierze nigdy nie pozostajemy sami. Zawsze możemy liczyć na drugiego, który wierzy wespół z nami. Mówił o tym wielki mufti Libanu Abdul Latif Derian: „Nie może być Bliskiego Wschodu bez chrześcijan Wschodu, którzy tworzą z nami jeden naród, dzielą ten sam chleb i oddychają tym samym powietrzem”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Leczący sędzia

*Kiedy najwyższy
Władca i mała
służebnica obejmują się
tak serdecznie
i są złączeni jak woda
z winem, wtedy ona
jakby znika i odchodzi
sama od siebie.*

MECHTYLDA Z MAGDEBURGA



*Dzisiaj miłość
namieszała mi
w głowie.
Co jest ze mną,
że On i ja to jedno?*

RUMI



Wybrał PIOTR SIKORA



PRZEPIĘKNY FRAGMENT Ewangelii św. Mateusza przyniosła nam Liturgia w minionym tygodniu. Oto Jezus – na wieść o tym, że faryzeusze odbywają na-

radę przeciw Niemu – odsuwa się na miejsce pustynne. Czy to ucieczka? Przegrana?

Nie! I nie tak jest to odebrane. Na odosobnienie wychodzi za Nim wielu ludzi – są gotowi dzielić z Nim Jego osamotnienie i odrzucenie. Byli przy Nim, gdy działał cuda, nie zostawiają Go samego, gdy musi się zmierzyć z Krzyżem i prześladowaniami. Idą za Nim. I ta wierność natychmiast przynosi w ich życiu owoce. Mateusz stwierdza krótko: „I wszystkich ich uzdrowił”.

Każdy człowiek przychodzący do Jezusa potrzebuje uzdrowienia. Nikt nie jest „zdrowy”. Są choroby dotykające wszystkich. I każdy z nas jest wobec nich jakoś bezradny. Jezus jest jedynym Lekarzem, który może się z nimi zmierzyć. Uleczywszy ich, Jezus nakazuje milczenie: „Zabronił im surowo, żeby Go nie ujawniali”. Weszli w doświadczenie Krzyża – nie mogą go zamienić na świętowanie sukcesu. Uzdrowia ich Komunia z Jezusem odrzuconym – nie wolno im szukać teraz poklasku i chwały. A to ogromna pokusa.

Autor Ewangelii rozumie jednak ów sekret Jezusowy jeszcze inaczej. Objasnia go Słowem przytoczonym z Proroka Izajasza (to zresztą częsta formuła Mateuszowa: pokazać, jak na Jezusie wypełnia się Słowo Starego Testamentu): „Oto mój Sługa, którego wybrałem (...). On ogłosi narodom prawo / sąd / sprawiedliwość (...). Nie będzie się spierał ani krzychał. Trzciny zgniecionej nie złamie ani knota tłącego się nie dogasi, aż do zwycięstwa sąd doprowadzi”.

Mateusz chce nam najpierw powiedzieć, że Jezus czyni wszelkie dobro jako sługa! Nie robi więc wokół siebie hałasu, nie szuka nagłośnienia, ani zysku, ani chwały, ani wdzięczności. Nie zbija na nim żadnego interesu, w jakiegokolwiek formie czy wyrazie.

Przy okazji ewangelista mówi nam jednak coś jeszcze. „Uzdrowienie wszystkich” jest wypełnieniem obietnicy złożonej przez Boga ustami i piórem Izajasza: obietnicy Boga, który przez swojego Sługę zaprowadzi wreszcie sprawiedliwość – przeprowadzi sąd.

Właśnie tak: sąd i sprawiedliwość są nam obiecanie. Boży sąd. I Boża sprawiedliwość.

Słowo „Boży” trzeba podkreślić. Wielu z nas zbyt często domaga się sądu i sprawiedliwości. A niektórzy ze „sprawiedliwości” czynią nawet najważniejszy element swojego życiowego programu, przywołując przy tym Jezusowe błogosławieństwo: „błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości”... O jaką sprawiedliwość chodzi? Jak rozumianą? Czy na pewno „po Bożemu”? A jaka jest owa Boża sprawiedliwość?

Mateusz odpowiada nam: uzdrawiająca wszystkich. Bóg – w Jezusie – wypełnia Bożą sprawiedliwość i objawia Boży sąd właśnie w taki sposób, że uzdrawia każdego.

Sprawiedliwość jest naprawdę sprawiedliwością właśnie wtedy, gdy uzdrawia. Nie wtedy, gdy jest jedynie „sprawiedliwą” zapłatą, wyrównaniem rachunków; tym bardziej nie wtedy, gdy jest po prostu odwetem i zemstą.

Sprawiedliwość ma leczyć. Tak też mówimy o tym w Kościele: każde sięgnięcie po dyscyplinę – każda kara – ma leczyć. Jeśli nie leczy, ten, kto je stosuje, musi pewnie zrobić rachunek sumienia również sobie, nie tylko „delikwentowi”.

©

CZYTANIA LITURGICZNE (5 – 12 VIII)

18. niedziela zwykła:
Wj 16, 2-4. 12-15; Ps 78; Ef 4, 17. 20-24; J 6, 24-35;
Poniedziałek, Przemienienie Pańskie:
Dn 7, 9-10. 13-14; Ps 97; 2 P 1, 16-19; Mk 9, 2-10;
Wtorek: Jr 30, 1-2. 12-15. 18-22;
Ps 102; Mt 14, 22-36;

Środa: Jr 31, 1-7; Jr 31, 10. 11-12ab. 13; Mt 15, 21-28;
Czwartek: Oz 2, 16b. 17b. 21-22; Ps 45; Mt 25, 1-13;
Piątek: 2 Kor 9, 6-10; Ps 112; J 12, 24-26;
Sobota: Ha 1, 12 – 2, 4; Ps 9; Mt 17, 14-20;
19. niedziela zwykła: 1 Krl 19, 4-8;
Ps 34; Ef 4, 30 – 5, 2; J 6, 41-51.



PAŃSTWO Z GŁOWĄ PREZESA

Właśnie następuje weryfikacja trafności diagnoz i skuteczności terapii dla Polski, które zaaplikował swojemu obozowi Jarosław Kaczyński.

JAROSŁAW FLIS

ALEXIS DE TOCQUEVILLE W KLASYCZNYM dziele „Dawny ustrój i rewolucja” zauważył, że w rewolucji, tak samo jak w powieści, najtrudniejsze jest wymyślenie zakończenia. Im mniej oczywiste są zmiany wprowadzane przez PiS, tym częściej pojawia się ten problem. Największym jest jednak to, że wszystkie rozstrzygnięcia są pozostawione w rękach jednego człowieka: Jarosława Kaczyńskiego.

W rządzącej partii obowiązuje – jak słusznie twierdzi Rafał Matyja – w zasadzie tylko jeden dogmat: zdania prezesa się nie podważa. Pogorszenie jego zdrowia, i tym samym wyłączenie z bieżącej polityki, było powszechnie komentowane jako czas zawieszenia istotnych decyzji i rozstrzygnięć. Po jego powrocie partia zajmowała się głównie rozwiązywaniem problemów, które on sam stworzył. Czasami dało się za nie zapłacić chwilowymi upokorzeniami. Część problemów jednak może się jeszcze pogłębić. Trudno uciec od wrażenia, że nieomyślność prezesa staje się coraz mniej oczywista.

W przekazie publicznym raz za razem pojawia się opinia, że w zasadzie wszystkie sprawy zostały już załatwione. Nie będzie otwierania nowych frontów, do-

mknięcia wymagają jedynie rozpoczęte kwestie, a w zbliżającym się cyklu wyborczym partia rządząca będzie już jak do rany przyłóż. Rzecz jednak w tym, że wymaga to jeszcze ugaszenia kilku pożarów, z których w zasadzie wszystkie zostały wywołane przez specyficzne diagnozy i upór prezesa, popychające do działań szkodliwych dla samego PiS. O całym kraju już nie wspominając.

Samotni w samorządach

Kredyt społecznego zaufania, uzyskany dzięki zmierzeniu się z problemami, które w opinii rządzących wcześniej ekipy były niemożliwe do rozwiązania, jak sprawa 500 plus czy problemu wyłudzeń VAT-u, doprowadził do rozochocenia partii. Ten animusz wielokrotnie popychał ją do działań, które wcale nie okazały się skuteczne.

Najbardziej spektakularnym przypadkiem jest sprawa ustawy o IPN, prowadząca na arenie międzynarodowej do powtórki sytuacji sprzed ponad roku, przy pamiętnym głosowaniu 27:1 podczas próby zablokowania wyboru Donalda Tuska. Tamta porażka nie miała silnie odczuwalnych wstrząsów wtórnych, ale za to kwestia ustawy o IPN sama nie ucichła. Wycofanie się zostało przeprowadzone z równą determinacją, co samo jej przeprowadzenie – wraz z ignorowaniem całej argumentacji, przytaczanej przez partię parę miesięcy wcześniej.

Więcej wstrząsów wtórnych wiąże się z drugą wiosenną wpadką, czyli ujawnieniem sprawy nagród dla członków rządu. Gdy wypłynęła, Jarosław Kaczyński, jak sam wyznał w wywiadzie, zachęcił Beatę Szydło do „pokazania pazurków”. Skończyło się sondażowym dołkiem i równie pośpieszną, co chaotyczną reakcją na finansową zachłanność kadr PiS. To, że ministrowie zostali zmuszeni do oddania nagród, nie wychodziło poza własne podwórko. To, że posłom przycięto zarobki, stanowiło reakcję może i nieadekwatną, niemniej jednak posłów PiS zgrzytających zębami było ciut więcej niż ich oponentów. Lecz już zmniejszenie wynagrodzeń władzom samorządowym, wobec zbliżających się wyborów, w których pełnią oni znaczącą rolę, jest na pewno pomysłem również zenującym, co samodestrukcyjnym.

Pozycja PiS w samorządzie była do tej pory wyraźnie słabsza niż na krajowej scenie. Można przytoczyć wiele danych odslaniających kłopoty z budowaniem koalicji czy szerszych obozów. PiS ma najniższy współczynnik przekładania się głosów zdobywanych w wyborach samorządowych na realną władzę w postaci mandatów wójtów, burmistrzów i prezydentów, stanowisk w samorządach wojewódzkich czy powiatowych. Wiąże się to właśnie z namnażaniem niechęci i wrogości, które skutkują politycznym osamotnieniem na lokalnych scenach. Obciążenie

Marek Kuchciński, Jarosław Kaczyński i Mateusz Morawiecki, kwiecień 2018 r.

→ zarobków za nie swoje winy to kolejne powiększenie dystansu pomiędzy partią a pozostałymi liderami lokalnymi.

Dieta albo pensja

Jeszcze większe zamieszanie wywołała kolejna wypowiedź prezesa: deklaracja, że w wyborach samorządowych nie wystartują osoby cieszące się dobrze płatnymi posadami w spółkach Skarbu Państwa. Na początku była konsternacja, bo rzecz może zaciążyć nad bardzo ważnym z punktu widzenia całego cyklu wynikiem jesiennych wyborów.

Dzieje się tak, gdyż PiS, jako partia kadrowa i hermetyczne środowisko, podczas obsadzania stanowisk w spółkach sięgała masowo po dotychczasowych radnych. Jak pokazują zestawienia przygotowane na tę okoliczność przez opozycję i media oraz relacje z samego obozu władzy, PiS poszło bardzo daleko tropem wyznaczonym już przez poprzedników, zapewniając swoim radnym dobre posady.

Deklaracja postawiła ich przed potężnym dylematem. Rezygnacja z pracy w spółkach Skarbu Państwa nie jest łatwą decyzją – zwłaszcza że znalezienie miejsca poza instytucjami państwowymi wcale nie jest tak oczywiste. Z drugiej strony, te miejsca pracy również nie należą do najpewniejszych. Jeśli np. jest się kierownikiem oddziału totalizatora sportowego, to w razie porażki partii w przyszłorocznych wyborach sejmowych można tę pracę stracić z dnia na dzień.

Natomiast dieta radnego może i nie dorównuje zarobkom wspomnianego kierownika, ale jest zagwarantowana przez całą rozpoczynającą się dopiero kadencję. Poza tym pozycja radnego daje możliwość rozglądania się za innymi rolami, jak praca w zarządzie powiatu czy na innych szczeblach administracji.

Jednocześnie są to często osoby rozpoznawalne, które zbudowały już pozycję w życiu publicznym swoich miejscowości. Jak pokazują szczegółowe badania życia samorządowego, są one bardzo istotne dla wyniku wyborczego. Ilustrują to najlepiej wybory 2010 roku w Małopolsce, gdy w ramach wewnętrznych rozgrywek rządzący partią Zbigniew Ziobro wyeliminował ze startu wielu wcześniejszych radnych, zastępując ich młodymi ludźmi – asystentami z biur poselskich. W obliczu zupełnie przeciwnej strategii Platformy (kierowanej wówczas przez dwie osoby, które już się z nią rozeszły, choć w prze-

ciwnych kierunkach, Jarosława Gowina i Marka Sowe) i wcześniejszym zrazeniu środowiska samorządowego skupionego wokół śp. Marka Nawary, doprowadziło to do tego, że PiS przegrało z PO w wyborach sejmikowych, chociaż wyniki innych wyborów jednoznacznie stawiały partię Kaczyńskiego w roli faworyta.

Doprecyzowanie przez komitet polityczny PiS tej deklaracji jest zapowiedzią kolejnych kłopotów – granica 15 tys. zł miesięcznie jest w odbiorze społecznym samobójem. Warto przypomnieć sobie, jak PiS pastwił się nad wicepremier Bieńkowską, gdy nagrana została jej wypowiedź, że „za 6 tys. pracuje złodziej lub idiota”. Bez wątpienia po raz kolejny rozstrzygnięcia prezesa, w których pewność siebie dorównuje tylko kłopotom z kontaktem z rzeczywistością, podważają wiarę w jego strategiczny geniusz.

To, że w rzeczywistości nie wszystko da się załatwić w tak prosty sposób, jak to sobie wyobraża Jarosław Kaczyński, potwierdzają również kwestie drobniejsze, choć wcale nie mniej istotne dla życia politycznego – związane z samorządami zmianą w ordynacji wyborczej. Pod pretekstem ograniczeń wynikających z RODO sejmowa większość wycofała się z przegłosowanego pół roku temu pomysłu umieszczenia kamer we wszystkich lokalach wyborczych. W praktyce okazało się, że jest to pomysł nie tylko bardzo drogi, ale i w koniecznym tempie niewykonalny.

Musiała też skorygować swoje podejście do samorządów jako współorganizatorów procesu wyborczego. Okazało się, że pomysł odebrania organizacji wyborów samorządom, choć w teorii jest możliwy i sensownie uzasadnialny, to jednak dość boleśnie zderza się z rzeczywistością. W tak krótkim czasie nie da się wyjąć całości wyborów z rąk samorządów, ponieważ jest to gigantyczny proces, który zwykle w ogóle dopinał się dzięki determinacji lokalnych władarzy.

Przynajmniej do części rządzących dotarła świadomość realnego niebezpieczeństwa, że bez takiej determinacji wybory mogą okazać się organizacyjnym fiaskiem. O nią zaś będzie trudno, jeśli władze zetknęły się z oskarżeniami o masowe fałszowanie wyników wyborczych, co uzasadniało odebranie im szeregu kompetencji na tym polu. A przecież urzędnicy gmin nie będą wykazywać w tej sprawie maksimum dobrej woli, bo zdjęcie z nich odpowiedzialności to również przejście

przez administrację państwową i ministerstwo konsekwencji wszelkich ewentualnych niepowodzeń.

Wyrwany silnik

Innego typu błędy widoczne są w sprawie Sądu Najwyższego. Tutaj również determinacja, by wszystko przeciąć i ułożyć według wyobrażeń i diagnozy prezesa, dziś prowadzi do awantury, a w przyszłości do realnych zagrożeń. Personalna czystka w Sądzie Najwyższym, z wykorzystaniem haczyka prawnego pozostawionego przez twórców obecnej konstytucji, oznacza proces, nad którym nie tak łatwo przejść do porządku dziennego, jak stało się to z Trybunałem Konstytucyjnym.

U źródeł tej różnicy jest wątpliwa diagnoza o „postkomunistycznych złogach” odpowiedzialnych za wszystko, co złe w polskim wymiarze sprawiedliwości. Zgodnie z nią wystarczy takie „złogi” zastąpić wiernymi sobie ludźmi, aby wszystko zaczęło działać lepiej dla obywateli. Bo to przecież leży w realnym interesie partii rządzącej (bardziej niż wpływanie na wynik jednego czy drugiego procesu – co i tak wydaje się wątpliwe co do możliwości), by wymiar sprawiedliwości w Polsce działał sprawniej. Część kredytu zaufania ze strony elektoratu bierze się stąd, że przez istotną część społeczeństwa sądownictwo jest postrzegane jako po prostu niesprawne i niekompetentne.

Tymczasem wygląda na to, że cała akcja z SN doprowadziła do wyraźnego scementowania środowiska prawniczego. Zamiast wyolbrzymionego spoiwa postkomunistycznego, może pojawić się nowe, łączące „kastę prawniczą”, czyli „antykacyzm”. To zasadnicza różnica wobec tego, co działo się np. w przypadku otwarcia zawodów prawniczych – czemu środowisko też się sprzeciwiało, ale sposób wprowadzania tamtej zmiany i wysunięte argumenty uniemożliwiły skuteczny opór. Skok na KRS i Sąd Najwyższy jest zupełnym zaprzeczeniem tamtego działania. Już nie chodzi tylko o naciski instytucji europejskich, w tym działania Trybunału w Luksemburgu.

Groźniejsze dla rządzących jest to, że pomimo wzięcia politycznej odpowiedzialności za cały system, nie nastąpi żadna realna, odczuwalna przez ludzi poprawa. Wiele aktualnych danych i sygnałów świadczy o tym, że dzieje się wręcz odwrotnie. Stąd analogie do sytuacji w Trybunie Konstytucyjnym są wątpliwe.

Z punktu widzenia systemu legislacyjnego TK jest jak hamulec ręczny. Niezależnie od tego, że w wielu sytuacjach jest potrzebny, to jego wyrwanie sprawia, iż jazda samochodem jest wciąż możliwa, choć bardziej ryzykowana. Tymczasem problemy sądownictwa są bardziej skomplikowane i przypominają raczej zacierający się silnik. Próba rozwiązania takiego problemu przez wyrzucenie silnika i wyrwanie przy okazji wszystkich starych mocowań dobrze nie rokuje. Nie przez przypadek sprawa ta wywołuje wiele negatywnych, mniej lub bardziej oficjalnych, opinii – nawet we własnych szeregach.

Przeczołgany prezydent

Nie wiadomo jeszcze, czy prezydent pogodzi się z utraceniem jego inicjatywy referendalnej w Senacie, czy też będzie szukał nowego sposobu podkreślenia swojej pozycji. Na pewno senacka decyzja oznacza uniknięcie wysoce prawdopodobnej katastrofy organizacyjnej i politycznej. Można się było jej spodziewać przy próbie przeprowadzenia referendum nad skomplikowaną materią, tuż po trudnych wyborach samorządowych, przy słabościach szczegółowych regulacji, a przede wszystkich z wątpliwą wolą wyborców, by w takim rozstrzygnięciu brać udział. Pytania wyglądały na wymyślone raczej przez krótkowzrocznego PR-owca, a nie męża stanu rozważającego istotne dylematy ustroju.

Trzeba jednak pamiętać, że ten żenujący spektakl to efekt dwóch lat przeczołgania prezydenta przez „naczelnika państwa”. Ta inicjatywa pojawiła się wszak w odpowiedzi na wszystkie afrody, boleśnie wypunktowane przez „Ucho prezesa”. W niedawnym wywiadzie prezes poniekąd udzielił wsparcia Andrzejowi Dudzie, ale widoczny był w tym typowy dla Kaczyńskiego odruch osłabiania tych, którzy mogliby czuć się zbyt pewni siebie. Najwyraźniej wyrażenie entuzjazmu dla prezydenta jest już ponad siły prezesa.

W zasadzie jedyną osobą, o której Jarosław Kaczyński wypowiada się bez wątpliwych podtekstów, jest premier Morawiecki. Być może prezes ma tutaj poczucie pewnej wspólnoty – u premiera również można dostrzec brak wyraźnej

Najważniejszym pomysłem PiS

było przeszczepienie głowy
Jarosława Kaczyńskiego
do bezwolnego ciała
polskiego państwa.
Dziś widać,
że ten przeszczep
nieszczególnie rokuje.

potrzeby zabiegania o przychylność słuchacza, którą można odebrać jako pewną szorstkość oraz swego rodzaju janusowe oblicze. W jednym zdaniu szef rządu potrafi powiedzieć coś, z czym nawet jeśli słuchacz się nie zgadza, to może dostrzec konkretną diagnozę i próbę odpowiedzi na realne problemy. A chwilę później rzuca stwierdzenie, po którym opadają ręce i nie sposób znaleźć dla niego racjonalnego uzasadnienia poza własną biografiją. Najświeższym przykładem jest dramatycznie przejawiskawiony opis sytuacji w wymiarze sprawiedliwości.

Tą jednak metodą Morawiecki buduje pozycję wśród najwierniejszych wyborców coraz bardziej swojej partii. Na pewno też wykazuje się kolosalną cierpliwością względem Kaczyńskiego. Przechodzi tę próbę bez mrugnienia okiem, tworząc obraz osoby, której przez myśl nie przeszłoby podważenie autorytetu prezesa.

Ciało nie ożyło

Obecny stan zawieszenia już długo nie potrwa. Za chwilę nastąpi realna weryfikacja trafności diagnoz i skuteczności terapii, które swojemu obozowi narzucił Jarosław Kaczyński. Siły obozów politycznych są na dziś wyrównane. PiS ma poparcie ok. 40 proc. w sondażach, podobnie jak siły jednoznacznie mu przeciwne, które nie miałyby problemów z zawarciem koalicji, gdyby dawało to większość. Część głosów zbiorą pewnie ci zdecydowani aż za bardzo – których przyciągają partie ta-

kie jak Razem czy Wolność Janusza Korwina-Mikkego. Pozostaje jednak wciąż kilkanaście procent niezdecydowanych, wliczając w to sympatyków słabnącego Kukiza. To oni prawdopodobnie za rok będą musieli zdecydować, w którą stronę skierować swoje głosy – wystarczające, by przechylić szalę na każdą ze stron. Ale znaczenie będą mieli także zdeklarowani zwolennicy obu głównych bloków, którzy za rok będą musieli się zmobilizować, wierząc albo w możliwość zmiany, albo obawiając się straty tego, co ich zdaniem udało się osiągnąć.

Choć więc opozycja straszy autorytarnymi widmami, zaś rządzący szczytą się i syć sondażowym prowadzeniem, to przecież ani jedni, ani drudzy wciąż nie są w stanie przekonać do swoich racji większości wyborców. Dlaczego? Może odpowiedzią będzie inna myśl Tocqueville'a, gdy wyjaśniał przerażające efekty rewolucji francuskiej. Pisał, że „chciała zwalczać despotyzm, przeszczepiając głowę wolności do niewolniczego ciała”, ciała absolutystycznej administracji.

Po trzech latach wydaje się, że najważniejszym pomysłem PiS było przeszczepienie głowy Jarosława Kaczyńskiego do bezwolnego ciała polskiego państwa – państwa dotąd „istniejącego teoretycznie”. Dziś widać, że ten przeszczep nieszczególnie rokuje. To ciało nie chce się jakoś mocniej sprężyć, a jego chaotyczne ruchy nie wzbudzają entuzjazmu obywateli. Sytuacja zaczyna przypominać końcówkę rządów starych elit. Oddały władzę, bo ich domniemana nieomyślność też stała się niewiarygodna. Starły się ignorować problemy, których nie potrafiły rozwiązać, aż wyborcy upomnieli się o swoje.

Za nami kolejna ciężka lekcja demokracji w praktyce. Po niej można dostrzec, że uznanie zbiorowej nieomyślności elit czy też własnego, charyzmatycznego przywódcy nie jest dobrą podstawą sensownych rządów. Demokracja najlepiej funkcjonuje w warunkach sceptycyzmu – wątpliwości dotyczących tego, czy dane rozwiązanie naprawdę przyniesie takie efekty, jakich się chciało. Najszersza wiara w jednostkowy geniusz tego nie zmieni.

© JAROSŁAW FLIS

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMiani.pl

Armia w potrzebie

RAFAŁ ZYCHAL

Czystki na szczytach armii skutecznie przesłaniają jej największy problem – stan techniczny. Z każdym rokiem czas wybija wojsku kolejne kły.

Po kilku miesiącach względnego spokoju wojsko przeżywa kolejny wstrząs, choć daleko mu do tych, jakie fundował Antoni Macierewicz. W tym czasie Mariusz Błaszczak dość sprawnie przeprowadził proces „demacierewizacji” resortu. Kadrowa miotła objęła nie tylko otoczenie ministra, ale i kolejne szczeble. Teraz przyszedł czas na zmiany w samej armii.

Wymieniono dwie kluczowe osoby – szefa sztabu generalnego Leszka Surawskiego i dowódcę operacyjnego Sławomira Wojciechowskiego. Pierwszy z nich pożegnał się ze służbą. O drugim prezydent Duda powiedział, że wejdzie w struktury NATO i ma się to stać „niedługo” – ale wciąż nie jest jeszcze dowódcą Korpusu Północno-Wschodniego.

Dlaczego znów przerwano kadencję najważniejszego żołnierza RP? Otoczenie prezydenta, w tym szef BBN, mówią, że zmiana szykowała się od dawna. Z Pałacu płyną też głosy, że i sam generał Surawski chciał odejść, także ze względu na problemy ze zdrowiem.

Nieoficjalnie słychać, że szef MON i szef sztabu od pewnego czasu nie byli w najlepszych relacjach. Poszło o wizję zmian w wojsku, ale i o wybory kadrowe. Sam generał pożegnał się w sposób dyplomatyczny – podkreślił, że pokoleniowa zmiana warty jest wpisana w żołnierską służbę. Kulisy poznamy zapewne za kilka miesięcy. Dziś armia znów zostaje bez czterogwiazdkowego generała w służbie.

Czas na kolejne zmiany?

Zaskoczenia skalą zmian nie kryje Janusz Zemke. Były wiceszef MON podkreśla, że po przyjsciu nowego ministra spodziewał się co najwyżej korekt. – Do tej pory partie pilnowały, by ludzie tam idący mieli wiedzę. Najczęściej były to osoby z komisji obrony, jak Szmajdziński, Onyszkiewicz, Komorowski – przypo-

mina. – Teraz przychodzą ludzie, którzy w większości nie mają o wojsku zielonego pojęcia. I mają podejmować kluczowe decyzje. To zaczyna ośmieszać cywilną kontrolę nad armią – dodaje.

Jeszcze mocniej te ruchy ocenia Tomasz Siemoniak. Były minister obrony przypomina, że Mariusz Błaszczak w poprzednim resorcie wślawił się głęboką czystką kadrową. – Można się było spodziewać, że metody z MSWiA prędzej czy później pojawią się i w MON. Ale to wszystko działo się tuż przed szczytem NATO – mówi polityk PO.

Równie krytyczne słowa płyną z ust byłych wojskowych, którzy w ciągu ostatnich lat pożegnali się ze służbą. Gen. Mirosław Różański przekonuje, że obsadzenie kluczowych stanowisk przez nowych i nieprzygotowanych ludzi ostatecznie „zatrzymało” siły zbrojne: – Pamiętajmy, kto się zatrzyma, ten się cofa. Były dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych, a dziś szef fundacji Stratpoints też dodaje: – Minister będzie dobierał do współpracy konformistów, którzy dla kariery poświęcą wiedzę i kompetencje. Populizm jest głównym przekazem kierownictwa resortu, a nie troska o bezpieczeństwo kraju.

Czy to zapowiedź jeszcze głębszych zmian? – To kwestia czasu – przekonuje Różański. Jak podkreśla, wypowiedzi żołnierzy, którzy dziś już są w rezerwie, to „głos sumienia” tych służących. – Trudno opierać się presji własnego środowiska i firmować fatalne decyzje i medialne oświadczenia cywilnych przełożonych. A sytuacja będzie się pogarszać, niestety – prognozuje.

Czy więc i nowy szef sztabu równie szybko pożegna się ze stanowiskiem? – Sądzę, że to się skończy tak samo jak w przypadku generałów Gocuła i Surawskiego. Bo problem nie tkwi w szefach sztabu, ale w politykach PiS. Oni nie radzą sobie

z wojskiem, nie potrafią z nim rozmawiać. I zbyt często nie dotrzymują danego słowa, co dla wojskowych jest nie do pojęcia – twierdzi Tomasz Siemoniak.

A może jednak szef MON będzie w stanie przekonać do powrotu generałów, którym nie było po drodze z poprzednim ministrem? Zdaniem gen. Różańskiego wielu oficerów mogłoby wrócić do służby, ale tylko wtedy, gdyby pomogło to zbudować bezpieczeństwo kraju. – Ci, którzy odeszli, protestując przeciwko dewastowaniu armii, nie dadzą się dla awansu wmanewrować w polityczne gierki – tłumaczy. A czy on sam przyjąłby taką ofertę? – Krajowi służyć powinien każdy obywatel w miarę posiadanych kwalifikacji i kompetencji – odpowiada.

Wołanie na puszczy

W cieniu tych rozgrywek od lat trwa proces, który trawi wojsko i skutecznie podkopuje zdolności obronne Polski. Z każdym kolejnym rokiem sprzęt, który jest w jego dyspozycji, zmienia się w muzealne eksponaty.

Przykłady tego, jak odwlekano, zmieniano czy porzucano kolejne plany modernizacyjne, można mnożyć. Korzystnym wyjątkiem są zakupy samolotów F-16 i transporterów Rosomak. W innych miejscach zatrzymaliśmy się nawet nie w pół drogi. Żołnierze wciąż czekają na transportery, które zastąpią stare BWP-1. Mamy czołgi Leopard, ale trzonem sił pancernych pozostają setki poradzieckich T-72. Od ponad 10 lat mamy 48 myśliwców F-16, ale wciąż nie wiadomo, kiedy i czym zastąpimy samoloty Su-22 i MiG-29.

Wkrótce zapewne czeka nas kolejna dyskusja – o wspomnianych migach-29. Ostatnio w wypadkach straciliśmy dwie takie maszyny. Podniosą się więc głosy, że czas na nowe samoloty, i, jak zwykle, skończy się pewnie na słowach. Niemal wszyscy eksperci są zgodni – stan realizacji programów modernizacyjnych jest katastrofalny. Do rangi symbolu ostatnich zaniechań urosła już słynna sprawa anulowania przetargu na śmigłowce.

Potrzeby wojska są ogromne, ale co jest tą najpilniejszą? – Największym problemem jest brak strategicznej ciągłości priorytetów – zauważa gen. Adam Duda. Były szef inspektoratu uzbrojenia przypomina, że jeszcze w 2013 r. priorytety były trzy: obrona powietrzna, śmigłowce i systemy wsparcia dowodzenia.



WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Wodowanie ORP Ślązak w grudniu 2014 r. Budowa rozpoczęta 13 lat wcześniej do dziś się nie skończyła. Projekt pochłonął do tej pory 1,7 mld zł.

– Nowe kierownictwo dokonało przesunięć i zmian. Kilka trwających postępowań zostało unieważnionych – choćby śmigłowce czy system zarządzania polem walki – mimo że do podpisania umowy było blisko. Priorytetem pozostała obrona powietrzna, choć i tu zanotowano niepotrzebne opóźnienie w programie Wisła. Pojawiły się też nowe priorytety – cyberbezpieczeństwo i obrona terytorialna. Zwłaszcza ten drugi pochłonął znaczne środki planowane na modernizację – mówi dalej.

– Wiele osób zastanawia się, co jest dziś tym najważniejszym priorytetem. To błąd – zauważa Maksymilian Dura, ekspert branżowego serwisu Defence24. – Wojsko wybrało pewne programy, które połączono w całość. Nie można mówić, że któryś jest ważniejszy. Jeśli wyciągniemy z tej układanki jeden element, całość runie. To naczynia połączone.

Marynarka tonie w ciszy

Najbardziej obrazowym przykładem załamania programów modernizacyjnych jest stan marynarki wojennej. Podczas jej święta miesiąc temu wizję odbudowy potencjału snuli i prezydent, i szef MON, ale wciąż brak konkretów. W tle jest nagła dymisja kluczowego dowódcy, kontradmirała Mirosława Mordela, który nie krył, że czas najwyższy na zakupy. Cena za szczerość?

Dziś filarem są pozyskane z USA dwie fregaty, każda ma grubo ponad 30 lat. Dwa z trzech okrętów podwodnych – ponad pół wieku. Ten trzeci, choć najnowo-

ześniejszy, i tak służy od ponad trzech dekad, a od 2014 r. jest w remoncie. Obrazu niemocy dopełnia historia ORP Ślązak – okrętu, który budujemy od 2001 r. i wciąż nie możemy skończyć. Przez lata zdążył nawet z korwety stać się okrętem patrolowym. Aż do marca tego roku wydano na niego 1,7 mld zł i wciąż trudno z pewnością oszacować, ile będzie kosztować jego dokończenie.

Wydawało się, że w 2012 r. nastąpił przełom – przyjęto program modernizacji. Planowano zakup nowych okrętów podwodnych, patrolowych i ochrony wybrzeża. Dziś projekty Orka, Czapla i Miecznik są *de facto* martwe.

– Ten program miał wady, ale był i dawał szanse na zrobienie czegoś konkretnego. W wojsku zawsze będzie za mało czołgów, samolotów, okrętów. Nigdy nie zaspokoimy wszystkich potrzeb. Trzeba było pójść na kompromis. Ustalono harmonogram i zamiast powoli go realizować, od tych najtańszych okrętów, my wciąż dyskutujemy, jak powinna wyglądać marynarka. Sami widzimy, jaki jest efekt – mówi Dura.

– Nie potrafimy się zatrzymać na pewnym etapie i powiedzieć: koniec myślenia, czas zabrać się do pracy – przypomina ekspert. Dziś znów wracają pomysły, by ratować się przy pomocy nowych „kroplówek”, choćby w formie odkupienia australijskich fregat. Takie łatanie dziur nie pomoże na długo.

– To wciąż okręty z lat 90. Nie spełniają oczekiwań, które sobie postawiliśmy. Są

nowsze od polskich fregat, ale nadal nie są tym, czego chcieliśmy. I tak jest wszędzie. Modernizujemy czołgi T-72 zamiast je sprzedać, a środki przeznaczyć na nowe. Albo mówimy o nowoczesnej armii, albo o trwaniu – tłumaczy Dura. W podobnym tonie mówi gen. Różański. Jego zdaniem chęć modernizacji sprzętu postradzieckiego jest największym błędem kierownictwa MON.

– Wkrótce okaże się, że nie tylko kupimy australijskie fregaty, ale i wydzierżawimy okręty podwodne – przekonuje Dura i pyta wprost: – Co na tym zyska nasz przemysł? Gdyby były budowane w Polsce, a w przypadku programu Orka deklarowali to wszyscy producenci, to by oznaczało, że spora część wydanych pieniędzy zostałaby w kraju. Czy tak chcemy budować polski przemysł zbrojeniowy? I to dotyczy wszystkich programów. Moglibyśmy na tym zarobić, a tracimy.

I podaje przykład Pakistanu, który niedawno chciał kupić korwety. Ich wymagania były podobne do tych, jakie postawiliśmy sobie w programie Miecznik. – Gdyby nasze stocznie już wybudowały okręty dla polskiej marynarki, moglibyśmy stanąć do pakistańskiego przetargu, a może i go wygrać. A tak okręty zbuduje Turcja – kwituje.

Co dalej?

Problemów w armii nie ubywa, a co jest dla niej największym wyzwaniem? – Indolencja i brak zdolności do podejmowania



→ decyzji. To pokłosie tego, że brakuje fachowców – wylicza Siemoniak. Na problem braków kadrowych, zwłaszcza wśród osób zajmujących się zakupami, wskazuje też Dura: – Przez kolejne lata najlepsi ludzie odchodzili do cywila. Armia już to odczuwa, wystarczy popatrzeć na ilość prowadzonych w wojsku prac badawczo-rozwojowych. A sytuacja się pogarsza przez kolejne czystki.

– Głównym wyzwaniem dla armii jest odrzucenie populistycznych deklaracji polityków i pilne przygotowanie programu rozwoju na kolejną dekadę – mówi z kolei gen. Różański. – Trzeba przedstawić potrzeby wynikające ze środowiska bezpieczeństwa i trendów w zmieniającym się obszarze systemów walki i prawdopodobnym charakterze przyszłego konfliktu, także w sferze cyberprzestrzeni i technologii IT.

Może więc czas na niepopularną decyzję, czyli zwiększenie budżetu? Janusz Zemke przekonuje, że problem pieniędzy da się częściowo inaczej rozwiązać: tak rozłożyć zakupy w czasie, aby było nas na nie stać. – Od decyzji do dostawy i zapłaty mija wiele lat. To da się mądrze podzielić na etapy – tłumaczy polityk SLD.

– Plany zwiększenia liczebności armii do 150 tys. ograniczają możliwość wydzielenia więcej niż 20 proc. z budżetu na modernizację. A to nie pozwala na myślenie o tak ambitnych planach modernizacyjnych, jak zakładano – zauważa gen. Duda. Jak wiele brakuje? Eksperti mówią o dziesiątkach miliardów. – Wolimy myśleć o supernowoczesnym sprzęcie, na który nas po prostu nie stać. Pamiętajmy o naszych możliwościach finansowych – przypomina Dura.

CZY NAJBLIŻSZE MIESIĄCE PRZYNIOSĄ JAKĄS ZMIANĘ? Na niedawnym szczycie NATO prezydent Duda obiecał, że w ciągu najbliższego miesiąca, może półtora, będą nowe zakupy dla armii. Na pewno? „Proszę się nie obawiać” – odparł dopytywany. Tylko że podobne deklaracje słyszymy regularnie.

© RAFAŁ ZYCHAL

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”

Przeżuj to sam

NGO VAN TUONG:

Nie tyle Polacy rozsmakowali się w kuchni wietnamskiej, co kuchnia wietnamska dopasowała się do Polaków. Trochę to mówi o waszym stosunku do obcych.

MAREK RABIJ: Pierwsze polskie danie?

NGO VAN TUONG: Nie pamiętam już, ale to musiało być coś ze stołówki studenckiej w Łodzi, dokąd przyjechałem w 1983 r. uczyć się języka polskiego. Pewnie jakaś zupa i mięso z ziemniakami. No i surowka.

Czyli jak u mamy.

U polskiej mamy. Obiady nie były jeszcze najgorsze. Studium języka polskiego przy Uniwersytecie Łódzkim miało własną stołówkę i próbowano dogodzić studentom z „ryżowego kręgu”. Gotowany ryż serwowali dość często. Najbardziej cierpiałem podczas śniadań. Zazwyczaj na zimno i na sucho, na przykład bułki z twarożkiem i wodnistym kakao, mlekiem lub herbatą do popicia. Makabra. My w Wietnamie praktycznie nie jadamy nabiału. Bułkę z masłem i twarożkiem jadłem więc jak za karę, ale jadłem. Ser nam śmierdział. Ale niczego innego nie było.

Na ulicy czyhały z kolei bary mleczne.

I tu pana zaskoczę, ale ja te bary bardzo polubiłem, bo „mleczne” to one były tylko z nazwy i można było w nich zjeść także normalny obiad. I do tego tanio. Do dziś został mi do nich sentyment i jak tylko gdzieś na nie trafiam, natychmiast idę coś przekąsić.

Ludzie się nie dziwią?

Już nie. W latach 80. wystarczyło, że wyszedłem na ulicę, żeby wzbudzić ciekawość, wręcz sensację wśród przechodniów, chociaż z góry zastrzegam, że była to ciekawość zmieszana z nieprawdopodobną serdecznością. Chwilami miałem



wrażenie, że samą swoją obecnością my, cudzoziemcy, poruszamy jakąś czułą nutę w polskich duszach, która jakby tylko na to czekała. Dzisiaj na ulicy nikt nie zwraca na mnie uwagi. To już inna Polska.

Inna jest też kuchnia w Polsce, a Pan może czuć dumę jako przedstawiciel nacji, która nauczyła Polaków jeść coś innego niż mięso z ziemniaczkami. I z kompotikiem.

Kompociku będę bronić jak Jasnej Góry.

A już na poważnie: muszę przyznać, że w kręgu wietnamskich znajomych czasem sobie żartujemy z naszej misji cywilizacyjnej. Bo z jednej strony to Wietnamczycy rzeczywiście jako pierwsi w Polsce po zmianie ustroju zaczęli sprzedawać na ulicy dania kuchni orientальной, nawiasem mówiąc, w budkach sprowadzanych z byłej Jugosławii. Można zatem faktycznie przypisywać nam taką zasługę. Ale z drugiej strony niech pan zwróci uwagę, że te wszystkie budki i bary funkcjonowały jako bary orientalne, ewentualnie chińskie. Nie wietnamskie. Pamięta pan swój pierwszy posiłek w takim miejscu?



ADAM STĘPIEN / AGENCIA GAZETA

Ngo Van Tuong w sklepie z żywnością wietnamską w Warszawie

Tego się nie da zapomnieć. Kurczak na gorącym półmisku w gastronomicznej dziupli o nazwie „Asia”, którą połowa klientów wymawiała po polsku, przekonana, że chodzi o zdrobnienie od Joanny. Nazajutrz musiałem oddać kurtkę do pralni chemicznej, tak mocno przeszła zapachem przypalonego umami.

A ja idę o zakład, że lokal prowadził Wietnamczyk, ale zapewne nawet do głowy mu nie przyszło, żeby napisać na szyldzie, że prowadzi bar wietnamski. Myślę, że każdy szanujący się kucharz z mojej ojczyzny zbyt ceni kuchnię wietnamską, żeby „to coś” firmować tym zaszczytnym mianem. Niech pan pamięta, że Wietnam przez dekady był w zasięgu wpływów kultury francuskiej, która jedzenie i przepisy traktuje bardzo serio, jako część tożsamości narodowej.

Co innego kuchnia chińska. Chiny są takie wielkie, że można podpiąć pod nie bardzo wiele (*śmiech*). Choć Chińczykom też czasem puszczaają kulinarne nerwy. Znam chińską restauratorkę z Krakowa, która wścieka się za każdym razem, kiedy ktoś nazwie przy niej chińszczyzną jedzenie z wietnamskich barów.

Pan również nazywa jedzenie z barów orientalnych „pol-wietem”, czyli wariacją na temat kuchni wietnamskiej, dostosowaną do polskich podniebień. Ten mój debiutancki kurczak na gorącym półmisku to też „pol-wiet” czy załapałem się na oryginalną wietnamską potrawę?

Załapał się pan na oryginalną wietnamską formę serwowania potraw. Może nie tyle rdzennie wietnamską, co azjatycką w ogóle, bo spotyka się ją także w innych krajach kontynentu. Czasem jest to żelazny półmisek, który się rozgrzewa na ogniu, czasem płaski kamień, zasada jest jednak taka sama: bardzo gorące naczynie potęguje doznania zapachowe, zwłaszcza aromaty smażenia. A czy to oryginalna potrawa wietnamska? Chyba bliżej jej do kuchni polskiej.

Bo kuchnię mamy w sumie zaskakująco do siebie podobną. Wy i my uwielbiamy wieprzowinę oraz drób, cenimy też mocno wysmażone dania.

U nas kroi się wszystko w drobne kawałki i smaży właśnie lekko i króciutko. Poza tym większe znaczenie przywiązują

jemy do świeżych ziół i dodatków. W naszym klimacie przetrzymywanie jedzenia jest przecież logistycznie dość skomplikowane. Wietnamscy kucharze w Polsce mieli tymczasem mięso, owszem, dobrej jakości, brakowało im jednak właśnie dodatków, szpinaku wodnego, kapusty sito-watej, kolendry, bazylii, świeżego imbiru, szalotek, galangalu. Warzywa i dodatki w kuchni wietnamskiej w Polsce bywają tak samo drogie jak główne składniki. Tylko białej kapusty jest zawsze pod dostatkiem.

Wyczuwam, że za tym Pańskim „tylko” już czai się jakieś „ale”.

Do świeżej wietnamskiej sałatki, podawanej z orzeszkami ziemnymi, polska kapusta nadaje się tylko wiosną, kiedy jest młodziutka, soczysta, chrupiąca i smakuje prawie tak dobrze jak ta w Wietnamie. Potem staje się już zbyt łykowata. Ale surówkę z kapusty każdy szanujący się bar z pol-wietem musi mieć w karcie, więc robi się ją z tego, co akurat jest w sklepach.

A co do tej sałatki?

Wieprzowina czy wołowina pięć smaków, jedno z kanonicznych dań pol-wietu. W Wietnamie czegoś takiego pan raczej nie znajdzie.

A kurczak gong-bao?

Podobnie. Potrawa ma chińską nazwę, ale z chińskim pierwowzorem, zdaje się z Syczuanu, też pewnie wiąże ją już niewiele – kurczak, raczej piersi, pokrojone w kostki, zasmażany z orzechami ziemnymi i na ostro. Podkreślam: z p i e r s i, bo samo to już jest wersja spolszczona. Po wietnamsku to te kawałki kurczaka z kością i skórą by były, ale Polak przecież nie weźmie do ust małych dobrze doprawionych duszonych kawałków kurczaka z kością i skórą, aby pogryźć, oddzielić mięsa od kości ręką i zębami!

Wasze mięso w sosie słodko-kwaśnym jednak jakoś tyknęliśmy, choć to kombinacja smaków, która jest dla polskiego podniebienia najmniej, powiedzielibyśmy, naturalna.

W Wietnamie tylko niektóre potrawy są przyrządzone w sosie słodko-kwaśnym, najbardziej znana i popularna potrawa to żeberka. Nie wyjaśnię panu, dlaczego tak się stało, że sos słodko-kwaśny stał się sosem stołowym i tak popularnym w Polsce. Sam nie wiem.



→ **To może niech Pan wyjaśni, jak było z tym psim mięsem w orientalnych knajpach.**

Nie ma o czym mówić, bo to oczywiście nieprawda.

Bo?

Bo psie mięso jest drogie i kłopotliwe, nie oplaca się zastępować nim innych mięs w barach tutaj w Polsce. W Wietnamie też wcale nie ma go ani dużo, ani tanio. Nie istnieją duże przemysłowe hodowle. W Wietnamie podaje się je na specjalne okazje, na przykład uroczysty obiad. Szanujący się wietnamski szef nie poda zatem takiego rarytasu polskiemu klientowi, bo wie, że Polak go nie doceni. Zresztą w Wietnamie coraz mniej jest chętnych na psinę, głównie ludzie na wsi i starsze pokolenie. Młodzież zwalcza jedzenie psiego mięsa.

Ale sanepid znalazł psie mięso na zapleczu jednej z wietnamskich knajpek.

Jeśli chodzi o aferę z psim mięsem z przełomu 2002/2003 roku, to nie sanepid, tylko policja, i nie w barze, a w miejscu zamieszkania Wietnamczyka pod Warszawą. Dla własnych potrzeb i dla swoich ziomeków to wyrabiał. Ale sprawą zainteresowały się media i w Polskę poszła wieść, że Wietnamczycy karmią psiną. Sam fakt zabicia psa na mięso już bulwersował opinię publiczną.

Otóż to. Pan mi tu do tej pory śpiewał hymn na cześć polskiej otwartości i tolerancji, a ja mam wrażenie, że jest dokładnie na odwrót: że potrafimy być otwarci i tolerancyjni tylko wtedy, kiedy nas to niewiele kosztuje. Czy historia pol-wietu nie jest przypadkiem opowieścią właśnie o tym?

Możliwe, że tak jest. Dziś o imigrantach mówią w Polsce wszyscy, część bardzo źle, w najlepszym razie językiem pełnym obaw. Tymczasem Wietnamczycy przyjeżdżają do Polski od lat. Jest nas tutaj już kilkadziesiąt tysięcy, a niektórzy mówią, że nawet więcej. Czy to dowód na to, że Polska jest otwarta na inność? Moim zdaniem dowodzi to jedynie tego, że ta inność – jak my, Wietnamczycy – czasem się doskonale adaptuje do miejscowych warunków.

Tak właśnie było z pol-wietem: nie tyle Polacy rozsmakowali się w kuchni wietnamskiej, co kuchnia wietnamska doposażała się do Polaków, porzucając część

Proces wchłonięcia polskości był u mnie długotrwały, ale nadal jestem świadomy, że mam skośne oczy i czarne włosy.

Fizjonomia jest bardzo ważna w społeczeństwie monoetnicznym.

swoich pryncypiów dla sukcesu ekonomicznego. I robi to nadal. W Wólce Kosowskiej pod Warszawą, gdzie działa wielkie azjatyckie targowisko, w barze wietnamskim jadłem niedawno polskiego kotleta schabowego. Do wyboru z ryżem, ziemniakami, frytkami.

Wie Pan, że schabowy nie jest daniem rdzennie polskim? Trafił do nas z północnych Włoch przez Austro-Węgry.

A czy to ważne? Grunt, że klientom smakuje. W niektórych wietnamskich knajpkach pojawiły się ostatnio nawet kebaby. Klienci je lubią, to dlaczego nie?

Kuchnia nie jest wyrazem tożsamości?

Może nim być, ale nie zawsze musi. Zwłaszcza dzisiaj. Chociaż akurat pol-wiet pięknie obrazuje ważną cechę naszej wietnamskiej duszy, która nie lubi konfrontacji dla samej konfrontacji. Jesteśmy gotowi nawet taktycznie ustąpić, byle nie doprowadzić do eskalacji. Widzę to często u świeżo przybyłych Wietnamczyków, którzy przylatują do Polski do pracy, a nie na studia jak ja. My byliśmy jednak nastawieni na jakąś formę konfrontacji z miejscową kulturą, wymianę opinii przyjechaliśmy się uczyć. Oni przybywają tymczasem do Polski z założeniem, że nie będą wam, miejscowym, w ogóle rzucać się w oczy; chcą być mili i po cichutku robić swoje.

Podam przykład. Wieżowiec na warszawskiej Pradze. Jadę windą z wietnamskimi kupcami ze Stadionu Dziesięciolecia. Na którymś piętrze dosiada się Polak. Wietnamczycy pierwsi mówią mu po polsku „dzień dobry”, ale facet jest gburem i nie odpowiada. Zjeżdżamy na parter, Polak bez słowa pożegnania wychodzi z windy pierwszy. I co wtedy robią Wietnamczycy? Jeszcze wysyłają za nim

grzeczne „do widzenia”, rzecz jasna po polsku.

Ja już bym, cholera, tak nie potrafił.

Wietnamska dusza doprawiła się Panu polskością?

Żeby pan wiedział. Z przyjaciółmi, z którymi zaczynałem studia w Polsce, wspominamy czasem samych siebie sprzed tych prawie już 35 lat. Byliśmy o wiele bardziej stadni, ale w pejoratywnym znaczeniu, bo nie potrafiliśmy pielęgnować odrębności. Wychowywano nas w Wietnamie w kulcie rodu, wspólnoty, narodu, którym trzeba się po prostu podporządkować, dbać o dobre imię, dbać o interes ogółu. Dopiero w Polsce poznaliśmy siłę wspólnoty złożonej ze świadomych siebie jednostek. Doświadczenie Solidarności z lat 80. było dla mnie niemal jak *katharsis*. Dla znajomych Wietnamczyków podobnie. Na imprezach śpiewaliśmy razem „Przeżyj to sam”, „Mury” Kaczmarek czy „Autobiografię” Perfectu. Walka o wolność dla nas oznacza także walkę o wolność osobistą. Proces wchłonięcia polskości był długotrwały, ale ja nadal jestem świadomy, że mam skośne oczy i czarne włosy. Mam też polskie obywatelstwo, ale wiem, że wielu Polaków wciąż nie uważa mnie za Polaka w ogóle. Fizjonomia jest bardzo ważna w polskim społeczeństwie monoetnicznym.

Chce Pan przez to powiedzieć, że nawet zdomowionym w Polsce Wietnamczykom wiele rzeczy nadal tu nie smakuje, wolą tylko dyplomatycznie udawać, że mieszkają w najwspanialszym miejscu na ziemi? Słodko-kwaśna historia, którą wzmiankuje tytuł Pańskiej książki, nie może się przecież składać dla Was z samych słodkich epizodów?

Samo życie. Ale my, Wietnamczycy, wolimy akcentować pozytywne.

Na przykład jakie?

Na przykład flaki. Uwielbiam polskie flaczki. Sam je gotuję i doprawiam sosem rybnym. ©© Rozmawiał MAREK RABI

NGO VAN TUONG jest tłumaczem z języka wietnamskiego. Mieszka w Polsce od 35 lat. Niedawno wydał książkę „Słodko-kwaśna historia, czyli wszystko, co chcieliście kupić w wietnamskich sklepach, ale baliście się zapytać” (Drzewo Babel 2018).

ANNA

Dziewit-Meller: Żegnaj, Mikołajku



OSTATNIE DNI SPĘDZIŁAM W TOWARZYSTWIE licznych przyjaciół i ich dzieci, jak to w wakacje. Na czas urlopu powstają najróżniejsze konstelacje towarzyskie, następuje ciekawa nieraz wymiana kulturowa oraz padają zaskakujące wnioski.

Po kilku dniach spędzonych w towarzystwie francuskiego męża i syna mojej przyjaciółki reszta dzieci szalenie zainteresowała się Francją, a zwłaszcza jej językiem, chcąc swobodniej dogadywać się z owym mężem, który to człowiek najlepiej ze wszystkich tatusiów posiadał sztukę budowania szałasów w lesie. Był zatem postacią wartą kolegowania się i wysiłku włożonego w odmiannę czasownika *être*. Dla Jacques'a byli gotowi się trudzić.

Siedzą sobie wczoraj mój syn z kolegą nad konstrukcją z lego i nagle jeden pyta drugiego: „Stasiek, a jakie znasz francuskie imiona?”. Stasiek bez namysłu zaś odpowiada: „Kylian Mbappé, Paul Pogba i Adil Rami. No i jeszcze Jacques” – dopowiada mój syn. „W sumie też może być” – zgadza się łaskawie Staś, po czym obaj ze spokojem wracają do budowania kolejnej fortecy ze świata Ninjago, obecni zaś w pobliżu dorośli, zdumieni refleksjami chłopców, zaczynają burzliwą dyskusję o kwestiach tożsamości narodowych.

Wojciech Jagielski swój niedawny tekst o mundialu na stronie internetowej „Tygodnika” zatytułował „Puchar tułaczy” (tekst dostępny na: powszech.net/puchar-tulaczy). Oto bowiem „W dwudziestotrzysobowej drużynie Francji, która wygrała mundial, trzy czwarte piłkarzy stanowili imigranci albo synowie imigrantów (...). Połowa francuskich zwycięzców mistrzostw świata wywodzi się z Afryki, połowa wyznaje islam. Ojciec Kyliana Mbappé pochodzi z Kamerunu, a matka z Algierii; rodzice Blaise'a Matuidiego z Angoli i Konga, N'golo Kanté – z Mali, Paula Pogby – z Gwinei, Ousmane'a Dembélé – z Senegalu i Mauretanii, Adila Ramiego – z Maroka. Obrońca, Benjamin Mendy, ma dwa paszporty – francuski i senegalski. Samuel Umtiti urodził się w kameruńskiej stolicy Yaoundé, a rezerwowym bramkarzem, Steve Mandanda – w kongijskiej Kinszasie”.

Chwilę po zakończeniu rozgrywek w Moskwie urodzony w RPA komik amerykański Trevor Noah powiedział w swoim programie „The Daily Show”: „Afryka również wygrała ten mundial”, czym ściągnął na swoją głowę potężną falę krytyki – łącznie z oficjalnym pismem wysłanym do niego przez ambasadora Francji, który wyraził opinię, że słowa komika „nie mogą być dalsze od rzeczywistości”, bowiem „nazywając piłkarzy afrykańską drużyną zdaje się pan odbierać im ich francuską tożsamość. To – nawet w ramach żartu – legitymizuje ideologię, według której biała skóra to wyznacznik bycia Francuzem”. Noah – sam będąc człowiekiem o dość złożonej tożsamości (urodzony w czasach apartheidu w RPA, z czarnoskórej matki z plemienia Khosa i ojca Szwajcara, funkcjonował jako „nielegalny” – bowiem takie były wówczas związki białych z czarnymi, a mieszane dzieci były odbierane rodzicom), zakwestionował jednak sposób myślenia francuskiego ambasadora. „Ludzie mówią, że skoro piłkarze są Afrykanami, to nie mogą być Francuzami. A niby dlaczego nie mogą być jednym i drugim? Dlaczego taką podwójną tożsamość przyznaje się tylko wybranym ludziom? Czy aby zostać Francuzem, musisz wymazać wszystko, co w tobie afrykańskie? Nie możesz być jednocześnie Francuzem i Afrykaninem?” – pytał i dodawał: „Kiedy politycy we Francji mówią o bezrobotnych, przestępcach czy kimkolwiek, kto nie pasuje, chętnie używają terminu »afrykańscy imigranci«. Ale gdy dzieci tych osób zostają piłkarzami i zdobywają mistrzostwo świata, to można o nich mówić tylko jako o Francuzach”.

To, komu przyznajemy prawo do bycia częścią jakiejś wspólnoty, jest oczywiście problemem szerszym niż kwestie tożsamości piłkarzy i warto się nad nim pochylać także w Polsce. No bo na przykład czy można być jednocześnie Polakiem i Ślązakiem i czy ta podwójność umniejsza polskość, jak chciałoby wielu, czy wręcz przeciwnie – polskość tę wzbogaca, jak chcę ja, w ten właśnie sposób uparcie się identyfikując? A jak będzie na przykład z Brzechwą i Tuwimem, co nam dzieci polszczyzny najpiękniejszej uczą od dziesiątek lat? Kiedy są Polakami, a kiedy Żydami? Kto kiedy i na jak długo jest Polakiem? I kto o tym decyduje? Kto dopuszcza do klubu i kto ogołaca z podwójnych tożsamości? Oraz w imię czego?

Dla małoletnich fanów piłki – Staśka i Gutka – kwestia bycia Francuzem o złożonej tożsamości nie stanowi najwyraźniej najmniejszego problemu. Z ich rozmowy wynika bowiem, że Francja, którą poznają, nie jest już tylko ojczyzną Ananiasza, Maksencjusza i Alcesta – pachnącym bagietką i serem *camembert* krajem znanym z serii o Mikołajku. Zdaniem chłopców, którzy po raz pierwszy w życiu świadomie śledzili mundial, nad Sekwaną istnieją przecież – nieobecni w książce, ale równie dla naszych synów ważni – Pogba, Mbappé i Rami. ©

Zapraszamy na spotkanie z ks. Adamem Bonieckim

SANDOMIERZ, czwartek, 9 sierpnia, godz. 17.00

Temat: „Czy zalewa nas konformizm?”

Miejsce: Sala Obrad Rady Miasta w Ratuszu (Rynek 1)

JUŻ TAK NIE BĘDZIE

Przyzwyczajaliśmy się, że politycy nie realizują swoich obietnic wyborczych.

Tak było przez dekady. A teraz niektórych przeraża, że populiści robią to, co zapowiadali w kampanii wyborczej.

DARIUSZ ROSIAK

WIDMO KRĄŻY PO EUROPIE – WIDMO POPULIZMU. Właściwie to już nie krąży, tylko wylądowało, i nie tylko w Europie. W Stanach też grasuje. Każdy porządny człowiek jest do tego stopnia przeciwko, że nie zastanawia się, skąd się wziął ani dlaczego wielu ludziom populizm się podoba. Pewnie w obawie przed tym, by jakiś jego porządny kolega nie pomyślał, iż próbuje jego istnienie usprawiedliwić.

A jednak populizm zdobywa coraz więcej zwolenników. Ciekawe, jak firmy bukmacherskie wyceniały dziesięć lat temu taką propozycję polityczną: prezydentem Stanów Zjednoczonych jest hotelarski deweloper i gwiazda talk show, premier Wielkiej Brytanii próbuje wystąpić z Unii Europejskiej, ale nie ma pojęcia, jak to zrobić, kanclerz Niemiec poważnie rozważa zamknięcie granicy z Austrią, włoski rząd nie wpuszcza do portów nie tylko zagranicznych, ale także własnych statków z migrantami, a w Polsce po rozmontowaniu systemu wymiaru sprawiedliwości i przejęciu większości instytucji państwowych oraz wywołaniu serii międzynarodowych konfliktów PiS cieszy się coraz większym poparciem.

Nie bez powodu proponuję cofnąć się o dziesięć lat, bo właśnie wtedy zasiane zostało ziarno tego, co niektórzy nazywają dziś populizmem, a co premier Morawiecki określił w niedawnym przemówieniu w Parlamencie Europejskim jako „odpowiedź na oczekiwania obywateli”.

To dziesięć lat temu zawaliła się konstrukcja finansowo-polityczna, na której opierało się funkcjonowanie Zachodu od lat 80. XX w. Panuje powszechnie przekonanie, że Polska przeszła kryzys w miarę bezboleśnie (byliśmy wówczas – jak pamiętamy – „zieloną wyspą”), ale to nieprawda. Polska jest częścią globalnego systemu finansowo-gospodarczego – o co zresztą zawsze nam chodziło – i podlega tym samym zagrożeniom, co inne państwa.

Setką i na wstecznym

Do początku XXI w. powszechne było przekonanie, że system działa i zmienia świat na lepsze. Gospodarki nie tylko krajów zachodnich, ale również azjatyckich i południowoamerykańskich tygrysów rozwijały się prawidłowo, w Afryce uwierzono, że globalizacja może dać szansę na wyjście z chronicznej biedy i niedorozwoju. W 2000 r. światowy PKB – suma całej produkcji dóbr i usług na globie – wynosił 36 bilionów dolarów. Na koniec 2006 r. podskoczył do 70 bilionów. Miliony ludzi na całym świecie wychodziły z biedy, co więcej, wyglądało na to, że ekonomistom i politykom udało się ustalić, co powoduje ów trwały wzrost. Chodziło o to, by nie wydawać więcej, niż zarabiamy, by ciąć koszty polityki społecznej wszędzie tam, gdzie to możliwe, by ograniczać wpływy polityki, kontrolę światowej gospodarki pozostawić rynkom, a robienie pieniędzy bankom. Ta ostatnia propozycja wydawała się fascynująca, zwłaszcza dla bankierów.

Tradycyjnie banki służyły do tego, by wspierać gospodarkę: kiedy restaurator chciałby założyć nową pizzerię, a nie ma pieniędzy na rozwinięcie działalności, idzie do banku po kredyt. Bank ocenia sensowność inwestycji i wydaje stosowne decyzje. Tak było bardzo dawno temu, natomiast od lat 80. banki stały się fabrykami pieniędzy, a fundamentem ich sukcesu – zastępy niezwykle utalentowanych, znakomicie opłacanych młodych ludzi, którzy wymyślali coraz to nowsze i bardziej skomplikowane metody inwestowania, zwane narzędziami finansowymi.

Na początku XXI w. w USA popularne stało się udzielanie kredytów mieszkaniowych klientom, którzy – według normalnych kryteriów – nie mieli szans na ich spłatę, przerabianie za pomocą narzędzi finansowych tych ryzykownych pakietów kredytowych w inwestycje, które podobno miały być pewne.



*Premier Mateusz Morawiecki z rolnikami
w Głogowie, powiat toruński. Lipiec 2018 r.*



Następnie były one sprzedawane na całym świecie. Dlaczego banki szły na takie ryzyko? Dla pieniędzy, oczywiście, i z pełnym przekonaniem, że żadnego ryzyka nie ma, bo tym razem system jest ogniotrwały i nic mu nie grozi. Tak zapewniali przecież politycy i ekonomiści.

Wszyscy byli szczęśliwi – klienci mieli domy i mieszkania (które nie należały do nich, tylko do banków, ale kto by się przejmował), brokerzy zarabiali krocie, banki notowały zyski na swoich rocznych sprawozdaniach, płacąc nagrody menadżerom, a akcjonariuszom dywidendy.

Co było dalej – wszyscy wiedzą. John Lanchester, brytyjski pisarz, który jak mało kto potrafi barwnie łączyć talent literacki z analizą ekonomiczną, ukuł dla wydarzeń 2007 i 2008 roku porównanie samochodowe. Jechaliśmy setką pustą, piękną drogą skąpaną w słońcu. I nagle ktoś wrzucił wsteczny bieg. Silnik eksplodował, samochód gwałtownie zjechał na pobocze i się rozbił, nikt nie przeżył.

W nieco mniej dramatycznej wersji można powiedzieć, że zapakowane w srebberka toksyczne długi jednak śmierdziały. Wprowadzone do globalnego systemu finansowego rozprzestrzeniały się jak wirusy, wkrótce nikt nie wiedział, kto jest ich właścicielem, a kto ma je spłacać. Podtytuł książki Lanchestera „Whoops!”, która wspaniale tłumaczy mechanizm kryzysu, brzmi: „Dlaczego każdy ma długi wobec każdego i nikt nie jest w stanie ich spłacić”. No właśnie.

Grona gniewu

We wrześniu 2007 r. po raz pierwszy od XIX w. klienci brytyjskiego Northern Bank rzucili się na bank, masowo wyciągając z niego pieniądze, co doprowadziło do jego upadku i późniejszej nacjonalizacji. Kilka miesięcy później upadł Lehman Brothers. W październiku 2008 r. największy wówczas bank świata, Royal Bank of Scotland, znalazł się na skraju unicestwienia.

Politycy odpowiedzieli na kryzys tak, jak spodziewali się tego bankowcy: postanowili wyciągnąć banki z tarapatów. Prawdopodobnie nie można było inaczej. ➔

→ Nie wiemy, jakie byłyby skutki zawalenia globalnego systemu finansowego, nie wiemy, co by się stało, gdyby klienci banków nie byli w stanie wyciągnąć pieniędzy z bankomatów w różnych miejscach świata – a wobec takiego właśnie zagrożenia stanęliśmy pod koniec 2008 r. Politycy ratowali banki, co było etycznym i społecznym skandalem. I równocześnie było koniecznością w świecie, w którym globalne rynki finansowe są spoiwem światowej gospodarki.

Zostało to wszystko wnikliwie opisane i przeanalizowane. Zygmunt Bauman w książce „Globalizacja” już dziesięć lat przed kryzysem pisał o kapitale, który we współczesnym świecie nie ma stałej siedziby, a przepływ finansów odbywa się poza kontrolą demokratycznie wybranych polityków. Globalizacja, według Baumana, polega między innymi na rozszerzeniu działania rynku na wszystkie aspekty życia, zwłaszcza życia gospodarczego. Państwa narodowe ani żadne inne lokalne instytucje czy wspólnoty nie są w stanie przeciwstawić się presji rynku, bo do upadku przedsiębiorstwa albo zatopienia waluty narodowej wystarczy kilka kliknięć myszką sprawnych inwestorów.

W istocie rzeczy rządy w czasach globalizacji przestały służyć do kreowania polityki gospodarczej w celu realizacji uzgodnionych w debacie publicznej aspiracji społecznych. Ich zadaniem stało się wdrażanie zasad rynku i czuwanie nad ich realizacją na swoim terenie w imieniu ponadnarodowych rynków. Dla rynku obywatel spełnia wyłącznie jeden cel – konsumuje, a państwo ma czuwać nad sprawną konsumpcją. „Nie ma ono prawa – pisał Bauman – wtrącać się w sprawy związane z jego własną ekonomią: każde usiłowanie czy próba spotkałyby się z natychmiastową reakcją ze strony rynków światowych i podjęciem działań represyjnych”.

Jaka mogła być reakcja na kryzys finansowy 2008 r. państw, których rola polityczna sprowadza się do pilnowania, by konsumenci nie denerwowali rynków? Polityka zaciskania pasa stała się globalną historyczną koniecznością, podobnie jak konieczną reakcją społeczeństw oszukanych przez nieuczciwych bankierów i polityków bez właściwości była wściekłość obywateli zamienionych w konsumentów.

Gniew, poczucie bezsilności wobec niesprawiedliwości, upadek wiary w sensowność polityki jako działania dla dobra wspólnego – to są społeczne koszty kryzysu finansowego sprzed dziesięciu lat. Te koszty pozostają niespłacone. Z nielicznymi wyjątkami (krajem, gdzie bankierzy najmocniej odczuli konsekwencje swoich decyzji, jest Islandia – państwo liczące 300 tys. ludzi, którego sektor bankowy w szczytowym momencie kryzysu był wart 12 razy więcej niż gospodarka całego kraju) banki funkcjonują podobnie jak dziesięć lat temu. Owszem, pilnują się bardziej, ale zarabiają i wydają podobnie. W ubiegłym roku brytyjskie instytucje finansowe przeznaczyły na nagrody 15 miliardów funtów, najwięcej od 2007 r.

Duże banki przejęły mniejsze, które nie wytrzymały presji. Powstały giganty: bilans największego banku brytyjskiego HSBC dochodzi do wartości brytyjskiej gospodarki. W dalszym ciągu bardzo dobrze opłacani młodzi ludzie spędzają czas na wymyślaniu sposobów jak, wykorzystując wszelkie systemowe

Problemy zwykłych ludzi wyszły poza sferę kompetencji polityków. Wygrywają najlepsi, a ci przeciętni, czyli większość, walczą o przetrwanie.

i pozasystemowe możliwości, zarabiać jak najwięcej pieniędzy dla banków.

Polityka zaciskania pasa była ortodoksją ostatniej dekady, bez względu na społeczne koszty, które generowała. Bilanse banków się zgadzają, bo nikogo nie stać na upadek HSBC czy Deutsche Banku. Ale dla milionów ludzi w Europie i Stanach ostatnia dekada to czas walki o przetrwanie i słabnącej nadziei.

Jakoś tak się składa, że to biedni i średniozarabiający muszą silniej zaciskać pasa niż bogaci. Jakoś tak się składa, że to biedni, a nie bogaci, tracą na ograniczaniu programów społecznych, reformach emerytalnych, ograniczeniach zasiłków. To biedni i średniozarabiający tracą na najważniejszym zjawisku społecznym współczesności: upadku etosu pracy. Związek pracy i sukcesu materialnego pracownika został zerwany, chyba że jesteś bankierem, piłkarzem albo gwiazdą popkultury.

Bo nie ma alternatywy

Przez dekady po wojnie ludzie w krajach Zachodu żyli ze świadomością, że między nimi a państwem, któremu płać podatki, funkcjonuje kontrakt, którego istotą jest zachowanie związku między pracą a jej owocami. Nie każdy zostaje milionerem, ale uczciwa praca zapewnia godne życie: utrzymanie rodziny, zakup domu, wykształcenie dzieci, skorzystanie z usług społecznej służby zdrowia, wyjazd na płatny urlop i jeszcze odłożenie grosza na spokojną emeryturę.

Taki kontrakt zawierało z pracownikami i państwo, i przedsiębiorca, takie oczekiwanie było oczywiste dla kolejnych pokoleń wchodzących na rynek pracy. Tych, którym się nie powiodło, państwo brało pod opiekę, najlepszym i najbardziej przedsiębiorczym nie utrudniało z kolei życia. Na tym zresztą polegała jedna z wyższości kapitalizmu nad innymi systemami, zwłaszcza komunizmem: kapitalizm był lepszy, bo był moralny. Praca, nawet jeśli nie gwarantowała sukcesu wszystkim, czyniła go dla wszystkich możliwym.

Dziś ten kontrakt przestał być dostrzegalny. Związek między twoim talentem, wkładem pracy, zaangażowaniem a sukcesem materialnym zależy od tak wielu czynników, że nie masz żadnych gwarancji na godne życie, nawet jeśli dasz z siebie wszystko. Miliony młodych wykształconych i gotowych do pracy ludzi w Grecji, Włoszech, Hiszpanii są pozbawione szans na zatrudnienie, w Stanach Zjednoczonych kolejne pokolenia notują spadek wynagrodzeń, pogłębiają się nierówności między najlepiej i najgorzej zarabiającymi. Owszem, możesz zostać multimilionerem w ciągu kilku lat, ale ilu z nas ma talent, szczęście i determinację Zuckerberga czy Ronaldo?

I jeszcze jedno: wszyscy dookoła twierdzą, że nie ma innych światów – tylko ten jest możliwy. Nie ma alternatywy dla dominacji rynków, bo alternatywy już w XX wieku były i wiadomo, jak się skończyły. Nie myśl o tych, którzy zarabiają pięćset i tysiąc razy tyle co ty, bo jest to cena, którą wszyscy musimy zapłacić za globalizację, a od niej i tak nie ma odwrotu. Właśnie do takiego świata wchodzi populisci – świata teoretycznie bez alternatywnego scenariusza, z cynizmem jako dziejową koniecznością i małymi ludźmi w roli polityków.

Globalna bieda

Zaraz, zaraz, jaka globalna bieda? Przecież żyjemy w najlepszym z możliwych światów. Jak bezapelacyjnie dowiódł Steven Pinker w książce „Zmierzch przemocy. Lepsza strona naszej natury”, biadolenie o współczesnym upadku gospodarki i społeczeństw nie trzyma się kupy. Jeszcze nigdy ludzie nie żyli tak długo, nie cierpieli tak umiarkowanie, nie byli tak wykształceni, zdrowi i bogaci jak obecnie. W ciągu ostatnich 30 lat w samych Chinach ponad 300 mln ludzi wyszło z biedy. 30 mln chińskich dzieci pobiera prywatne lekcje nauki gry na fortepianie, dwie piąte hinduskich uczniów szkół średnich ma prywatne korepetycje, światowym liderem w elektronicznych usługach finansowych przez telefon jest Afryka.

Dziesięć lat temu 19 proc. ludności na świecie żyło na poziomie określanym przez ONZ jako bieda absolutna, czyli mniej niż za 1,9 dolara dziennie. Dziś poziom skrajnej biedy nie przekracza 9 proc., czyli zmalała ona ponad dwukrotnie. Jednocześnie warunki życia w krajach bogatych utrzymywały się na poziomie stałym bądź się obniżyły. Światowa biedota ma się coraz lepiej, światowa klasa średnia ma się trochę gorzej niż dekadę temu.

W Polsce wszystkim grupom społecznym, od najuboższych do najbogatszych, żyje się dziś nieporównywalnie lepiej niż w 1989 r. Staliśmy się społeczeństwem, owszem ciągle biedniejszym niż Zachód, ale rozwijającym się szybciej. Jesteśmy przykładem kraju, którego sukces gospodarczy i społeczny stanowi przykład dla całego świata. Tysiące Polaków w ciągu ostatnich 30 lat dorobiło się uczciwą pracą, stać ich na wakacje na Kanarach, dietę śródziemnomorską i dom na kredyt na strzeżonym osiedlu. Ich dzieci chodzą do prywatnych szkół, a potem, kto wie, może nawet wyjeżdżają na studia za granicę. Jest super! Tylko po co nam populiści?

Upadek roli państwa narodowego? Z tą tezę też warto być ostrożnym. Kto, jeśli nie państwo narodowe, czyli Niemcy, rozdaje dziś karty w Europie? To Niemcy zdecydowały, jak rozegrać dwa najważniejsze kryzysy ostatnich lat – finansowy i migracyjny. To kanclerz Merkel w Berlinie, wyłamując ręce Grekom i Włochom, zmusiła ich do przyjęcia polityki gospodarczej, której skutkiem stało się zepchnięcie na społeczny margines całego pokolenia młodych ludzi. Oczywiście można bronić tezy, że niemieccy politycy byli zaledwie agentami niemieckich firm, dla których rozpad strefy euro byłby katastrofą, co tylko świadczy o tym, że państwo narodowe ciągle jest gospodarce potrzebne. Choćby po to, by bronić ją przed skutkami błędów w innych państwach narodowych. Kryzys państwa narodowego w czasach Putina, Xi Jingpinga, Erdoğan i Trumpa? Nie żartujemy.

Dzisiejsze populizmy są różne. W Polsce Kaczyńskiego populizm opiera się na idei nacjonalistycznej z wkładem katolickim i socjalistycznym. We Francji Macrona nawiązuje do ciągłotek mocarstwowych. Na południu Europy jest wyrazem zwykłej ludzkiej wściekłości na krzywdę i zło, które dzieją się bez reakcji polityków przez tak długi czas. Niekontrolowany napływ imigrantów, niespłacone kredyty, bezrobocie, pretensje do historii – różne paliwo napędza światowych populistów.

Powrotu nie będzie

Jest w tym splocie populizmów jeden element, który łączy populistów wszystkich krajów. To przekonanie, że nie wolno

akceptować nowej „klasy próżniaczej” – milionerów, których zarobki rosną nieproporcjonalnie do ich wkładu pracy, którzy unikają płacenia podatków i żyją odcięci od świata reszty ludzi. To na niechęci wobec nich buduje się dziś siła światowego populizmu.

Można oczywiście zbyć pretensje ludzi o nadmierne bogactwo sąsiadów jako biadolenie sfrustrowanych nieudaczników. Można potępiać polityków, którzy budują swoją pozycję, odwołując się do społecznych resentymentów.

Ale ta frustracja i urazy są wytłumaczalne. W ciągu ostatnich lat stworzyliśmy system, w którym rzeczywiste problemy zwykłych ludzi wyszły poza sferę nie tylko zainteresowania, ale i kompetencji polityków. Wygrywają najlepsi, a ci przeciętni, czyli większość, walcą o przetrwanie. Czy należy się dziwić, kiedy wyborcy pozytywnie reagują na obietnice odbudowania związków między pracą a sukcesem materialnym, błędami i odpowiedzialnością, programem politycznym i jego realizacją przez rządzących?

Przez dekady ludzie przyzwyczaili się, że politycy nie realizują swoich obietnic wyborczych, dziś niektórych przeraża, że populiści robią to, co zapowiadali w kampanii wyborczej.

Nie ma się co obawiać – nie stworzą międzynarodówki europejskiej ani światowej, podobnie jak nie udało się to faszystom w Europie sto lat temu – zbyt wiele ich dzieli. Nawet jeśli zadają często właściwe pytania, nie odpowiadają na najważniejsze wyzwania stawiane przez współczesny zglobalizowany świat. Jednak myli się ten, kto uważa, że rozwiązaniem jest powrót do czasu sprzed Trumpa, Orbána czy Kaczyńskiego. Takiego powrotu nie będzie – bez względu na opinie liberalnych mediów i ekspertów od ekonomii – bo populizm odnosi się do codziennych bolączek i realnych lęków ludzi.

Sprzeciw wobec jeszcze większej dominacji globalnych rynków, instytucji ponadnarodowych i bankierów, których nie da się rozliczyć, powrót do lokalności i odbudowywanie dumy z przynależności do plemienia to atrakcyjne wybory dla skołowanych ludzi. Tak samo jak uszczelnienie systemu podatkowego i zmuszenie najbogatszych, którzy nigdy podatków nie płacili, by zaczęli rozważać taką możliwość w obawie przez aresztowaniem.

Zamiast oburzać się na działania populistów, lepiej dla wszystkich będzie, by politycy uznający się za niepopulistycznych wymyślili alternatywę. Wcale nie jestem pewny, czy taka istnieje. Być może będziemy musieli przyzwyczaić się do „nie-liberalnej demokracji”, czyli mniej lub bardziej autorytarnych systemów legitymizowanych głosem większości w wyborach – w coraz większej liczbie krajów.

Gospodarka ma sens tylko wtedy, kiedy służy człowiekowi. Ostatnie dekady to czas wiary w nadludzkie możliwości banków i ubóstwienia wskaźników PKB, które miały ponoć rozwiązywać wszystkie problemy człowieka. Nie ma kredytów za darmo, a rachunek PKB obejmuje również obroty zakładów pogrzebowych.

Dziś coraz więcej ludzi wierzy, że sprawna gospodarka to nie wysoki poziom PKB, ale stan, kiedy wybrani przedstawiciele narodu mogą na nią wpływać i regulować ją w sposób uznany przez większość za sprawiedliwy. Gdy pozostaje nam wybór między globalnym chaosem i lokalnym autorytaryzmem, nie dziwmy się, jeśli w imię bezpieczeństwa wielu wybiera to drugie.

© DARIUSZ ROSIAK



HAMLET Z MEDIOLANU

Papież, który wątpi. Papież przestraszony. Niepewny i niezdecydowany.
I zapomniany: w cieniu wielkich pontyfikatów poprzednika i następcy.

6 sierpnia przypada 40. rocznica śmierci Pawła VI.

EDWARD AUGUSTYN



Jako papież Paweł VI zmierza w lektycę na nabożeństwo. Watykan, zdjęcie niedatowane

BAZYLIKĘ ŚW. JANA NA LATERANIE JUŻ OD rana otaczał kordon policji i wojska, mundurowych umieszczono nawet na dachach sąsiednich kamienic. Wzdłuż barier, broniących dostępu do świątyni, przechadzały się grupy manifestantów z białymi flagami Chrześcijańskiej Demokracji i czerwonymi Włoskiej Partii Komunistycznej. Ławy kościoła zapelniały się politykami i urzędnikami: miejsca po obu stronach cyborium zajęli prezydent, premier, ministrowie, ambasadorowie, deputowani. Była sobota, 13 maja 1978 r. Uroczystości żałobne – z udziałem Pawła VI, który złamał wielowiekowy zwyczaj, że papież nie uczestniczą w takich obrzędach poza bazyliką św. Piotra – prowadził wikariusz Rzymu, kard. Ugo Poletti. Pod

koniec mszy papież, z zastygłą w bólu twarzą, stanął przed ołtarzem, by odczytać słowa modlitwy.

„Nasze usta przygniecione ciężarem, niczym grób Chrystusowy, otwierają się, by głosem ściśniętym tragedią zapłakać i wykrzyczeć ból niewymowny. Kto usłyszy naszą skargę, jak nie Ty, Boże, Panie życia i śmierci? Nie wysłuchałeś prośb o zachowanie przy życiu naszego przyjaciela – człowieka dobrego, łagodnego, mądrego i niewinnego – Aldo Moro”.

Ponad kurialną przeciętność

Giovanni Battista Montini – Paweł VI – urodził się w 1897 r. w Brescii, na północy Włoch. Jego ojciec był założycielem lokalnego katolickiego dziennika i poli-

tykiem. Z domu wyniósł społeczną wrażliwość, krytyczny stosunek do faszyzmu, i wyrafinowany sposób mówienia. Używał literackiego języka, unikał frazesów, a studia z zakresu filozofii i prawa dodały do tego umiejętność logicznego i analitycznego myślenia. Pisząc, konstruował zdania wielopiętrowo złożone, inkrustowane wtrąceniami, ale ujmujące myśl dogłębnie i precyzyjnie.

Tuż po święceniach rozpoczął pracę w kościelnej dyplomacji i niemal natychmiast, w 1923 r., został wysłany na pierwszą zagraniczną placówkę – do Warszawy – gdzie spędził pół roku. Po powrocie przeszedł kolejne stopnie watykańskiej kariery, dochodząc do stanowiska substytuta w Sekretariacie Stanu (1937) i sekretarza do spraw nadzwyczajnych (1952).

Dziś często się twierdzi, że Pius XII mianował go biskupem Mediolanu (w 1954 r.), bo widział w nim przyszłego papieża. Gdyby to była prawda, pewnie zrobiłby go i kardynałem, zwłaszcza że tytuł ten, zgodnie z tradycją, przysługiwał każdemu, kto obejmował ambrozjańską stolicę. A Montini kapeluszy otrzymał dopiero po czterech latach, od Jana XXIII. Wszystko wskazuje, że powodem usunięcia go z Watykanu, po 30 latach pracy, była narastająca niechęć kurii. Pracowity, dokładny, coraz bardziej wpływowy i ponad kurialną średnią inteligentny prałat z Brescii miał tam wielu wrogów.

Smętny Paweł

– Dawno nie widziałem naszego Hamleta z Mediolanu – powiedział kiedyś Jan XXIII, a żart zrobił błyskawiczną karierę. Montini – czy to jako kardynał, czy papież – uważany był za osobę zamkniętą i trudną do odgadnięcia. Zatopiony w myślach, długo podejmował decyzje i skrupulatnie rozważał wszystkie za i przeciw. Rzadko kiedy się uśmiechał. Włosi przekreślali nawet jego imię i zamiast „Paolo sesto” (Paweł VI) mówili „Paolo mesto” (Paweł smętny).

Był tego świadomy i czasem sam robił do Hamleta aluzje. W listopadzie 1964 r., po obejrzeniu występow Royal Shakespeare Company w watykańskim Palazzo Pio, pytał dziennikarzy: „Czy prasa może być narzędnikiem dobra, wiernie służącym prawdzie... Oto jest pytanie!”.

Jego przemówienia, listy i prywatne notatki (niedawno odtajnione, wkrótce ukażą się nakładem wydawnictwa Znak) wiele mówią o wrażliwej i pełnej rozterek

⇒ osobowości autora. Już w 1965 r., dwa lata po wyborze, myślał o dymisji. Tuż po zakończeniu soboru zapisał w dzienniku: „*Deo gratias. Nunc dimittis?* Czyż nie zakończyła się już nasza służba? (...) Pokusa starości: odpocząć, cieszyć się wreszcie życiem, przynajmniej jego schyłkiem (...) Inni z pewnością byłiby lepsi ode mnie. A zatem?”.

W czasie audyencji generalnej we wrześniu 1969 r. mówił (używając w stosunku do siebie tradycyjnej formy liczby mnogiej, *pluralis maiestatis*, z której zrezygnował dopiero pod koniec życia): „Jakiś czas temu pewien kapłan podzielił się z nami wrażeniem, że w sercu Kościoła, w tym samego papieża, widać brak zaufania, bojaźliwość i niepewność. Ta uwaga skłoniła nas do refleksji, czy również i my tracimy ufność? *Homo sum* – zatem nie byłoby w tym niczego dziwnego. Również i Piotr, a właściwie Szymon, był słaby i chwiejny, odczuwał na przemian to strach, to entuzjazm”.

Dzielenie się wątpliwościami ze słuchaczami i pozostawianie pytań bez odpowiedzi musiało szokować ludzi, pamiętających sprawowane mocną ręką rządy Piusa XII, który uważał się za symbol niezmiennej i absolutnej prawdy w pogrążonym w chaosie świecie.

Ale styl, który świetnie zdał egzamin w latach wojny, nie przystawał już do nowego porządku lat 60. Pierwszy zrozumiał to Jan XXIII – łagodny i dobroduszny „proboszcz świata” – zwołując sobór powszechny, którego głównym celem miało być *aggiornamento*: odnalezienie przez Kościół miejsca w nowej rzeczywistości.

Cierpliwy mediator

Śmierć Jana XXIII, po niespełna roku od rozpoczęcia obrad *Vaticanum II*, wielu kardynałów uznało za znak Boży. Liczyli, że nowy papież zamknie puszkę Pandory, jaką okazał się sobór. Już podczas pierwszej sesji ujawniły się podziały wśród biskupów. Prysnął mit Kościoła monolitu. Można się było spodziewać dalszych kłopotów, bo najbardziej kontrowersyjne tematy – wolność religijna, kolegalność, kwestia żydowska, dialog z niewierzącymi – ledwie zostały dotknięte.

Paweł VI podjął decyzję o kontynuowaniu obrad, a sam przyjął rolę mediatora. Rozumiał, że jedność nie oznacza jedno-myślności. Godził zwaśnione strony, wysłuchiwał sprzecznych racji, tłumaczył

Siedem encyklik, reforma liturgii i kurii rzymskiej, wprowadzenie w życie kolegalności, zagraniczne pielgrzymki... **Całkiem sporo jak na „intelektualistę, pozbawionego siły woli”.**

– nie odwołując się do należnej mu władzy, ale do argumentów.

Idee soborowe nie przez wszystkich zostały zrozumiane. Do końca życia musiał wyjaśniać ich sens i korygować błędne interpretacje. I mimo ataków tak ze strony tradycjonalistów (którzy uważali reformy za zdradę wiary), jak i progresistów (którzy domagali się zmian bardziej radykalnych), nie wycofał się z soborowych ustaleń. Choć z goryczą przyznawał, że zamęt siany w duszach przez niektórych księży i biskupów jest bardziej szkodliwy niż zewnętrzne ataki na Kościół.

Sprawa biskupa Lefebvre’a, najgłośniejszego kontestatora soboru, dobrze pokazuje styl, w jakim Paweł VI sprawował rządy. „Im wyższa władza, tym bardziej powinna być cierpliwa” – mawiał, w nieskończoność podejmując próby dialogu z przywódcą tradycjonalistów. „Czyż nie jest właściwe przekazanie Mons. Marcelowi Lefebvre’owi uprzejmego i pełnego szacunku wezwania o pojednanie się z Kościołem?” – pytał sekretarza stanu jeszcze w 1977 r., choć decyzję o suspendowaniu zbuntowanego biskupa wydał już rok wcześniej. A do zainteresowanego pisał: „Błagamy was z całej mocy: nie pogarszajcie już i tak złego przykładu, jaki płynie z waszej postawy, nie czynicie nieodwracalnym rozłamu, do którego przez was doszło! Czyż trzeba wam mówić, jakim bólem napełnia nas fakt, że stawiacie warunki Papieżowi? Czyż nie zapewniliśmy was, że uczynimy wszystko, co w naszej mocy, by znaleźć rozwiązanie wszystkich problemów, jakie was dotyczą?”.

Samotność i niezrozumienie

„Wyjątkowa pozycja popycha mnie ku ekstremalnej samotności. Już wcześniej była ona wielka, teraz jest totalna i przerażająca. Aż do utraty tchu. Nikogo bliższego. Mam zostać sam, pracować sam, rozmawiać z samym sobą, rozmyślać

we własnym sumieniu. Jezus też był sam na krzyżu. Tylko cierpieć. Ja i Bóg” – zanotował Paweł VI niedługo po wyborze.

To często przywoływany fragment, który miałby dowodzić, że ten papież był niczym Hamlet u Wyspiańskiego – upajający się wielkością własnej duszy, świadomy misji, jaka go czeka, nieszukający do niej towarzyszy. „Sam na wielkiej, pustej scenie”.

Jednak poza tą notatką trudno znaleźć inne wypowiedzi, w których Paweł VI skarżyłby się na samotność. Jeśli już otwierał serce przed słuchaczami, to najczęstszym powodem jego duchowych cierpień były odrzucenie i wzgarda.

Papież czuł się niezrozumiany. Oczekiwania, jakie żywili wobec niego kardynałowie, wydawały się absolutnie przeciwnostawne. Jedni chcieli, by przywrócił porządek w Kościele, inni domagali się kontynuowania reform. Styl pontyfikatu, jaki wybrał – z pewnością uwarunkowany cechami jego osobowości – nie znalazł zrozumienia ani w Kościele, ani poza nim. To rodziło przynębnienie. Świat, z którym tak bardzo pragnął dialogu, patrzył z zaciekawieniem na jego gesty, ale pozostawał obojętny – a nawet wrogi – wobec słów. Kościół, który miał cieszyć się „wiosną chrześcijaństwa”, wciąż doświadczał „niebezpiecznych zamętów, które wstrząsają nim tak od zewnątrz, jak i od środka”.

Tama dla rozwiązłego hedonizmu

Z pozoru zamknięty, zdystansowany i racjonalny, papież był więc delikatnym i wrażliwym człowiekiem, wyczulonym na społeczny odbiór jego słów i czynów. Dotknęły go protesty po publikacji encykliki „*Humanae vitae*”, w której oddawał hołd – co było nowością w nauczaniu Kościoła – pięknu małżeńskiej miłości, a z której zapamiętano jedynie zakaz antykoncepcji.

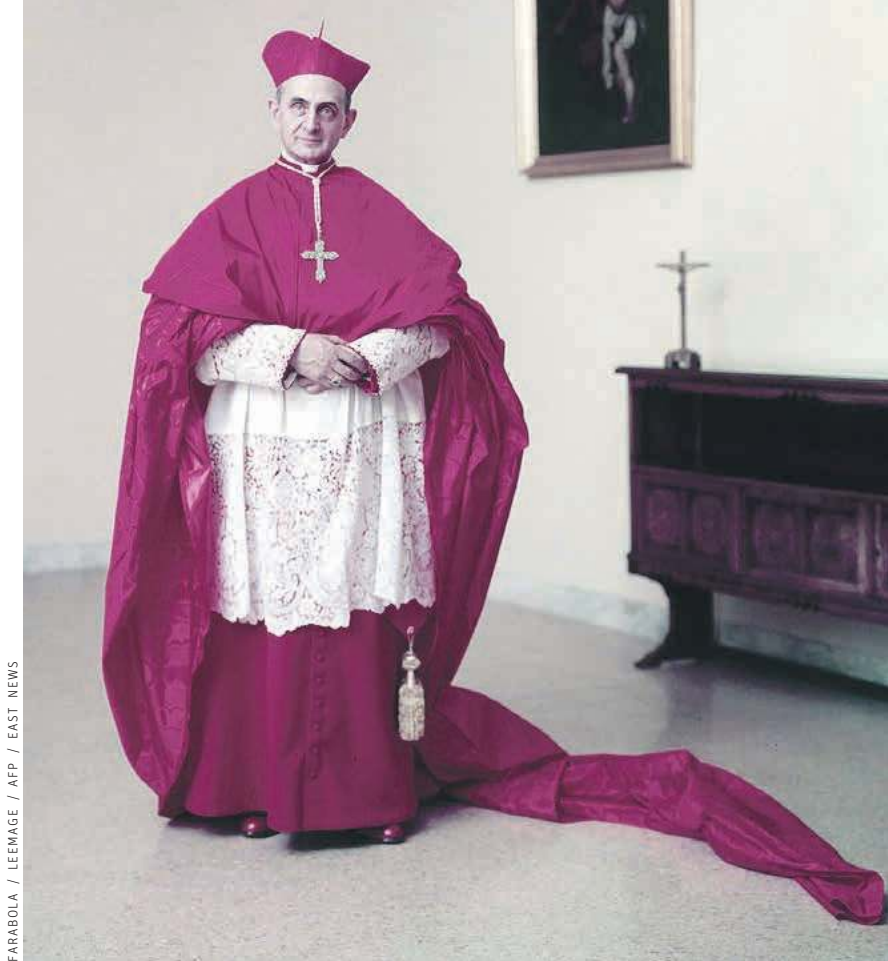
Z jeszcze bardziej gwałtownymi reakcjami spotkał się w 1976 r., gdy Kongregacja Doktryny Wiary opublikowała deklarację „*Persona humana*” („o niektórych zagadnieniach etyki seksualnej”). Grupy manifestantów wtargnęły do katedr w Mediolanie i Brescii, profanując świątynie, spalono kukłę z podobizną papieża, a w prasie pojawiły się doniesienia o jego homoseksualnej orientacji, rozpowсюchane już wcześniej w środowiskach tradycjonalistów.

Ostro na te publikacje zareagował wikariusz Rzymu kard. Poletti, który pisał w nocy protestacyjnej: „Czasopismo »Tempo« nie tylko opublikowało w pierwszym kwietniowym numerze skandaliczny artykuł, pełen kalumnii, obrzydliwości i oszczerstw na temat Ojca Świętego Pawła VI, ale udostępniło nawet na okładce, eksponowanej w kioskach, niegodną karykaturę Najwyższego Kapłana”. Sam papież odniósł się do tych wydarzeń krótko, choć – jak wspominali współpracownicy – boleśnie je przeżywał. W czasie niedzielnego spotkania z wiernymi podziękował za modlitwę za „naszą skromną osobę, która stała się obiektem kpin i okropnych, oszczerczych insynuacji jednej gazety, nieliczącej się z uczciwością i prawdą”. Prosił wszystkich, by zapoznali się z nauczaniem, które wzbudziło tak wielkie emocje, i „mężnie je zachowywali, by w ten sposób wzmocnił się w was duch czystości i miłości, który stanie się tamą dla rozwiązłego hedonizmu obecnego świata, i aby nakarmił wasze dusze umiejętnością poskramiania ludzkich pasji, wzmacniając mocne i radosne poczucie godności i piękna chrześcijańskiego życia”.

Fascynujące królestwo obłudy

Czas, w którym przyszło mu kierować Kościołem, to apogeum zimnej wojny po kryzysie kubańskim, zabójstwa Kennedy'ego i Martina Luthera Kinga, wyścig zbrojeń, chaos i bieda w krajach postkolonialnych, rządy Mao Zedonga w Chinach i Breżniewa w ZSRR, wojna w Wietnamie, religijne wojny w Irlandii i Libanie, krwawe zamachy terrorystyczne w Europie. Ale też pierwsze załogowe loty w kosmos i transplantacja serca, pigułka antykoncepcyjna i seksualna rewolucja, rozwój popkultury i upowszechnienie narkotyków, młodzieżowe rewolty i feminizm.

Patrząc na świat, Paweł VI widzi w nim „królestwo negacji, obłudy, przebiegłości, egoizmu i nienawiści”, przed którym przestrzega, ale którego nie potępia, uznając, że „winni jesteśmy mu nasze zrozumienie, zainteresowanie, troskę, pociechę, jednym słowem – naszą posługę, im mniej pożądaną, tym bardziej konieczną”. Boleje, że tak często atakowany jest Kościół, który „uczy kochać biednych, nadawać prawa niewolnikom, szanować godność każdego człowieka, leczyć chorych, wspomagać cierpiących”, ale jednocześnie przyznaje,



FARABOLA / LEEIMAGE / AFP / EAST NEWS

Jeszcze jako kardynał Giovanni Battista Montini, Mediolan, luty 1959 r.

że i „świat laicki wszystko to dziś czyni, a nawet zdaje się, że robi to lepiej”.

W rewolucji '68 roku dostrzega „porywy sprawiedliwości, prawdy, autentyczności i odnowy, które leżą u podstaw wielu protestów, nawet tych przesadzonych, nieuprawnionych, wręcz nagannych; w gruncie rzeczy biorą się one, zwłaszcza u ludzi młodych, z reakcji i aspiracji, zasługujących na uwagę i zmuszających nas do skorygowania sądów z zakresu etyki społecznej, nadwreżonych przez wieloletnie nadużycia, których dziś już nie można tolerować”.

Stać go też na dobre słowo wobec tych, którzy odrzucają encyklikę „*Humanae vitae*”. „Wiemy, że jest wiele osób, które nie zgadzają się z naszym nauczaniem, niemało z nich mu się sprzeciwia. Możemy w pewnym sensie zrozumieć taki brak zgody, a nawet sprzeciw” – pisze. I dodaje: „Niech będą błogosławieni ci wszyscy, którzy przyjmują nasze nauczanie. Ale również ci, którzy się mu sprzeciwiają”.

Ryzykowne gesty

4 grudnia 1963 r., podczas uroczystego zamknięcia drugiej sesji soboru, Paweł VI wygłosił przemówienie, w którym podsu-

mował dotychczasowe prace i omówił tematy, z jakimi sobór powinien zmierzyć się w przyszłości. A na koniec dodał, że zamierza ogłosić zebranym decyzję, która „długo dojrzewała w jego duszy (...), by w najbliższym miesiącu udać się z Bożą pomocą do Palestyny (...), zobaczyć błogosławioną ziemię, którą opuścił Piotr i do której żaden jego następca już nigdy nie powrócił”.

Informacja była zaskakująca nawet dla współpracowników, a postanowienie odważne i ryzykowne. Nie chodziło tylko o względy bezpieczeństwa. Wprawdzie czasu zostało niewiele i nikt w Watykanie nie miał pojęcia, jak zorganizować taki wyjazd, ale w końcu różni przywódcy odwiedzali Izrael i Jordanię, więc można było wykorzystać ich doświadczenie. Odważne było wyjście poza granice tradycji, która mówiła, że to papież udziela audiencji. Ryzykowne – głoszenie nauki nie z wysokości Piotrowej katedry, ale w obcym, a w dodatku niekatolickim kraju.

Pierwsza zagraniczna podróż Pawła VI przeszła do historii także z innego powodu. W Jerozolimie papież spotkał się z patriarchą Konstantynopola Atenagorasem. Był to pierwszy krok do wzajemnego odwołania anatemy, jaką przed



→ dziewięćmioma wiekami nałożyły na siebie podzielone Kościoły. Jeszcze wymowniejszym ekumenicznym symbolem było późniejsze (w grudniu 1975 r.) ucałowanie stóp patriarsze Militonowi, w geście prześlągania za zło, jakie katolicy wyrządzili prawosławnym braciom.

Na krańcach świata

Pielgrzymek było dziewięć. Pięć kontynentów, 135 tys. kilometrów. Dobór miejsc przemyślany i trafny. Papież pokazywał, co jest najważniejsze w posoborowym Kościele: głoszenie Ewangelii wszystkim narodom, troska o pokój i rozwój krajów ubogich, dowartościowanie pozaeuropejskich kultur, dialog ekumeniczny, braterskie kontakty z wyznawcami innych religii i ludźmi niewierzącymi.

Po Ziemi Świętej Paweł VI odwiedził Indie (1964), Nowy Jork (ONZ – 1965), Fatimę (1967), Turcję (1967), Kolumbię (1968), Genewę (Światowa Rada Kościołów – 1969), Ugandę (1969), kraje Dalekiego Wschodu (1970). Planował pielgrzymkę do Polski na uroczystości milenijne, ale władze nie wyraziły zgody na jego przyjazd.

W czasie pierwszych, najbardziej aktywnych lat pontyfikatu wydał siedem encyklik, ogromną liczbę adhortacji, konstytucji apostolskich i listów, zreformował liturgię (nowy Mszał Rzymski i wprowadzenie języków narodowych), gruntownie odmienił rzymską kurię, ustalił wiek emerytalny dla biskupów i kardynałów, zrealizował ideę kolegiałności (synody biskupów)... Całkiem sporo jak na „intelektualistę, pozbawionego siły woli”.

Podczas podróży na Daleki Wschód odwiedził Filipiny, Wyspy Samoa i Australię. Dodatkowo – w trakcie międzylądowań – Teheran i Dakę oraz Dżakartę, Colombo i Hongkong, gdzie na hipodromie, zaledwie 30 km od granicy strzeżonej przez wojska Mao Zedonga, odprawił mszę po łacinie i chińsku.

To była najdłuższa (10 dni) i najbardziej wyczerpująca pielgrzymka, do tego nie szczęśliwie rozpoczęta. Gdy Paweł VI witał się z przedstawicielami władz państwowych i kościelnych na lotnisku w Manili, rzucił się na niego szaleniec przebrany za księdza i uzbrojony w długi malajski sztylet. Napastnika obezwładnił papieski sekretarz ks. Macchi z pomocą bp. Marcin kusa, odpowiedzialnego za organizację pielgrzymek, i kard. Kima, biskupa Seulu.

Papież został lekko ranny w klatkę piersiową i szyję. Po opatrzeniu i przyjęciu przeciwężcowej szczepionki, mimo zaleceń lekarza, by na kilka dni ograniczyć aktywność, postanowił zrealizować cały program.

Ale nigdy więcej nie wybrał się w zagraniczną podróż.

Najdotkliwsza porażka

„Papież zrobił niewiele. I to obciąża jego sumienie” – napisał Aldo Moro w ostatnim liście do żony, 8 maja 1978 r., na trzy dni przed śmiercią.

Okoliczności zabójstwa jednego z najważniejszych włoskich polityków nie zostały do dziś wyjaśnione, mimo wieloletniego śledztwa i wyroków dla bezpośrednich sprawców. Moro był współzałożycielem rządzącej krajem od 1946 r. Chrześcijańskiej Demokracji. Dwukrotnie pełnił funkcję premiera, kilkakrotnie ministra. Był zwolennikiem porozumienia chadecji z komunistami, co nie spodobało się rewolucjonistom z Czerwonych Brygad. Porwano go, gdy jechał podpisać nową umowę koalicyjną.

Paweł VI, który z Moro przyjaźnił się od przedwojennych czasów, był wstrząśnięty informacją o porwaniu. Już w pierwszych dniach wyznaczył osoby, które miały podjąć starania o jak najszybsze uwolnienie polityka. Zwrócono się do wszystkich kapelanów więziennych, aby dzięki swoim kontaktom i zaufaniu, jakim cieszyli się w środowiskach przestępczych, pomogli nawiązać kontakt z terrorystami. Stolica Apostolska przygotowywała też ponoć okup (10 mld lirów), mimo że takiemu rozwiązaniu sprzeciwiał się rząd i służby specjalne.

O negocjacjach prowadzonych przez Watykan poinformowane były tylko najważniejsze osoby w państwie. Aldo Moro o nich nie wiedział.

Na początku maja, gdy wydawało się, że wszystko zmierza ku szczęśliwemu zakończeniu, terroryści zerwali rozmowy i zastrzelili zakładnika.

Żona zamordowanego, kierując się jego ostatnią wolą, nie zgodziła się na uroczysty pogrzeb. W bazylice na Lateranie nie było więc najbliższej rodziny zmarłego ani trumny z jego ciałem, które trzy dni wcześniej, na małym cmentarzu pod Rzymem, pochował miejscowy proboszcz.

Paweł VI zmarł trzy miesiące później, 6 sierpnia 1978 r.

© P EDWARD AUGUSTYN

Teologia na przyszłość

KS. JACEK PRUSAK SJ

Jeśli interesują cię pytania związane z naturą świadomości, wolnej woli oraz Boga, to masz wybór: możesz studiować teologię bądź nie – tak czy inaczej czeka cię decyzja, jakim misterianinem chcesz pozostać.

MISTERIANIE TO ANI NIE NOWY GATUNEK, ani gatunek z obcej galaktyki, tylko przedstawiciele *Homo sapiens* zmagający się z rozwiązaniem którejś z trzech wielkich tajemnic – świadomości, wolnej woli i Boga. Pewnie żaden z muzyków działającej w latach 60. ubiegłego wieku kapeli Question Mark and the Mysterians, grającej garage rock i protopunk, nie śnił, że ktoś ich zapamięta na dłużej. Nie tyle jednak swoją muzyką, co raczej nazwą zainspirowali filozofa Owena Flanagana, który w książce „Science of the Mind” określił mianem „nowych misterian” tych myślicieli, którzy uważają, że twardy problem świadomości, czyli istnienie tzw. *qualia* (indywidualnych przejawów subiektywnego doświadczenia) jest nierozwiązywalny.

Zdaniem Flanagana „starzy misterianie” to ci myśliciele, którzy byli dualistami, twierdząc, że świadomość nie może być wyjaśniona w sposób naukowy, ponieważ posiada pozanaturalne cechy i działa według pozanaturalnych zasad. Jesteś jednym z nich, jeśli uważasz, że istnieją byty niematerialne, takie jak dusza, których nie da się wytłumaczyć przez odwołanie do procesów naturalnych. Z kolei, jeśli utrzymujesz, że świadomości nigdy nie da się wyjaśnić ze względu na ograniczenia ludzkiego poznania, to jesteś w rodzinie



La Sagrada Familia, Barcelona, październik 2015 r.

„Głos sceptyka. Racjonalne spojrzenie na świat” na łamach „Scientific American”.

Misteriańska triada

Zdaniem ostatecznych misterian na zawsze będziemy zmagać się z trudnościami, jakimi dla naszych możliwości poznawczych pozostaną świadomość, wolna wola i Bóg. Przykładem tych trudności w przypadku świadomości są odczuwalne jakości (*qualia*), które wyznaczałyby, na czym polega bycie czymś. Chodzi więc o doświadczenie świata przez podmiotowe „ja” za pośrednictwem narządów zmysłów i mózgu. Jak twierdzą ostateczni misterianie: nie ma absolutnie żadnej możliwości, by się dowiedzieć, jak to jest być nietoperzem – nawiązując do eksperymentu myślowego jednego z misterian filozofa Thomasa Nagela – ponieważ gdyby zmieniono nasz mózg i nasze ciało z humanoidalnych na chiropteroidalne, to stalibyśmy się nietoperzami, a nie ludźmi wczuwającymi się w nietoperza. Podobnie gdyby spotkał nas los komiwojażera Gregora Samsoy z opowiadania „Przemiana” Franza Kafki z 1915 r., który obudziwszy się pewnego ranka odkrywa, że zmienił się w olbrzymiego owada, to – jak podkreśla Shermer – „nie myślelibyśmy po ludzku, tak jak on, lecz byłibyśmy stawonogami pod każdym względem. Z definicji dostępne dla mnie jest wyłącznie moje indywidualne odczucie bycia sobą samym i podobnie jest z każdym z was, każdym nietoperzem i każdym żukiem”. Wszystkie eksperymenty myślowe z teorią umysłu istniejących bądź domniemyanych inteligentnych gatunków podlegają temu epistemologicznemu ograniczeniu – nie wiemy więc również, co to znaczy być aniołem.

Nie inaczej sprawa się ma z wolną wolą. Z naukowego punktu widzenia żyjemy w deterministycznym świecie, w którym każdy skutek ma swoją przyczynę. W świecie mechaniki kwantowej ta zależność nie ma charakteru absolutnego, ale wprowadza ona do układu fizycznego element losowości, a nie dowolności. A jednak „w naszym makroskopowym świecie” wszyscy postępujemy tak, jakbyśmy faktycznie mieli wolną wolę. Zdaniem ostatecznych misterian, albo wszyscy ulegamy zbiorowemu złudzeniu, albo problemu tego nie da się w ogóle zgłębić za pomocą pojęć, jakimi się posługujemy. Jak podkreśla jednak Shermer: „nie jesteśmy bezwładnymi zlepkami materii popychanymi w tę i w tę w tę →

„nowych misterian”, którzy jednak odrzucają dualizm dusza–ciało, ale nie redukują świadomości do stanów mózgu.

Starych i nowych misterian można z kolei podzielić na rzeczników „słabej” bądź „silnej” wersji tajemnicy. Zdaniem jednego z prominentnych misterian Noama Chomsky’ego mamy do czynienia z dwoma rodzajami wyzwań epistemologicznych. Do pierwszej grupy zalicza on problemy, a więc wszystkie te kwestie, które przynajmniej z zasady mogą mieć swoje rozwiązanie dzięki podejściu naukowemu. Z kolei do drugiej grupy przynależą te kwestie, które z zasady wydają się nierozwiązywalne ze względu na ograniczenia naszej aparatury poznawczej. Nie są to więc wyłącznie tzw. twarde problemy. Jeśli za taką

tajemnicę uznasz nie tylko świadomość, ale również wolną wolę oraz Boga – nie dlatego, że na razie nie dysponujemy dostatecznymi zdolnościami intelektualnymi, aby je rozwiązać, lecz dlatego, że nie mogą być one w ogóle rozwiązane – to z otwartymi rękami przywita cię rodzina „ostatecznych misterian”. Ich zdaniem w odróżnieniu od takich fundamentalnych kwestii, jak budowa atomu czy molekularne podstawy rozmnażania się organizmów, w których wyjaśnieniu osiągnięto oszałamiające postępy, w przypadku świadomości, wolnej woli oraz Boga jesteśmy wręcz coraz dalsi od uzyskania jakichkolwiek odpowiedzi. Taką „diagnozę” sformułował ostatnio znany historyk nauki oraz racjonalista Michael Shermer w swojej kolumnie

⇒ przez prawa przyrody niczym kulki na planszy flippera, lecz czynnymi uczestnikami sieci powiązań kauzalnych świata, które kształtują nas, a my z kolei kształtujemy świat poprzez nasze wybory”. Będąc więc ostatecznym misterianinem w kwestii wolnej woli jest się równocześnie przedstawicielem kompatybilizmu, a więc osobą przekonaną co do realnego istnienia ludzkiej woli oraz odpowiedzialności, jaką ponosimy za swoje czyny.

Bóg, jako istota nadprzyrodzona bytująca poza obrębem zarówno przestrzeni i czasu, jak i praw przyrody, nie może być obiektem pomiaru empirycznego. Jego istnienie bądź nieistnienie nie jest wykrywalne za pomocą metody naukowej. Taki byt – jak podkreśla Shermer – „z definicji stanowi niezgłębioną tajemnicę”. Z kolei „Bóg jako istota naturalna, tyle że znacznie potężniejsza i sprawniejsza intelektualnie od nas, nie odpowiada wyobrażeniom większości ludzi o boskości”. Z teistycznego punktu widzenia o takiej istocie nie można mówić jako o Bogu. Bóg teistów jest tajemnicą *sui generis*.

Ta triada nie jest jednak zdaniem Shermera i zwolenników ostatecznego misterianizmu argumentem za irracjonalizmem. „Nawet jeżeli nauka nie wyjaśni nigdy tych ostatecznych tajemnic, stanowią one frapujące koncepcje same w sobie, w pełni zasługujące na to, by je ciągle poddawać analizie, choćby dlatego, że pozwala to nam lepiej poznać naszą własną naturę jako istot obdarzonych rozumem, wolą oraz przeżyciami duchowymi”.

Pokusa antymisteriańska

Misterianizm wyrósł na gruncie filozofii, zwłaszcza filozofii umysłu, i tam ma też swoich krytyków. Co jednak wnosi on na gruncie teologii i czy teologia jest jego sojuszniczką, czy wręcz przeciwnie – radykalną antytezą? Oczywiście nie ma tu jednej odpowiedzi, bo wśród wyznawców istnienia jedynego Boga – osobowego Boga, który jest wszechwiedzący (wie wszystko), wszechmocny (może wszystko) i całkowicie dobry pod każdym względem (a zatem jest godny czci), jest stwórcą świata i podtrzymuje go w istnieniu – a więc wśród monoteistów mamy do czynienia zarówno z teistami (wierzą, że Bóg jest czymś odrębnym od świata, a jednak aktywnie angażuje się w świat, np. kierując ludzką historią i oferując boskie zbawienie), z deistami (wierzą, że Bóg jest czymś odrębnym od świata i nie jest

Większość zakłada,
że wiara polega
na posiadaniu religijnych
przekonań. Okazuje się
jednak, że **można mieć
katolicki światopogląd,
uważać, że prawda
znajduje się w Kościele,
a nie być wierzącym.**

aktywnie zaangażowany w świat), jak i panenteistami (wierzą, że Bóg przenika świat i jest z nim współzależny). Mamy zatem w obrębie monoteizmu do czynienia z różnymi teologiami. Wszyscy monoteiści zgodzą się ze Shermerem i jego zwolennikami, że świadomość, ludzka wola i Bóg są tajemnicami, a nie jedynie „trudnymi problemami”, które w przyszłości uda się nam rozwiązać. Jeśli jednak uważają je za tajemnice, sami muszą przemyśleć, jak uprawiać teologię, żeby nie była karykaturą tego, w co wierzą. Pisząc o możliwości poznania Boga, Shermer nie odrzuca możliwości, że „gdyby Bóg należał do świata natury bądź wpływał nań z zewnątrz, zmieniając bieg wydarzeń (na przykład dokonując cudów, takich jak uzdrawianie chorych), konsekwencje tego rodzaju aktów opatrności powinniśmy być w stanie uchwycić ilościowo. Wtedy Bóg byłby naukowo poznawalny, lecz na razie wszelkie deklarowane wyniki pomiarów tego rodzaju mieszczą się w granicach błędu statystycznego”.

Żaden autentyczny monoteista nie spodziewa się jednak takiego „cudu” nawet bez pogwałcenia praw statystyki. Po pierwsze dlatego, że jedność Boga nie jest tego rodzaju, że Bóg jest jeszcze jednym czymś w jakimś przeliczalnym szeregu czegośkolwiek. Jak z naciskiem podkreślał to św. Tomasz z Akwinu: Boga nie można wciągnąć na żadną listę „wszystkiego, co jest”. Po drugie, i w konsekwencji, nawet „przez objawienie z łaski nie poznajemy w tym życiu, czym jest Bóg, a więc łączymy się z Nim jakby z nieznanym [*quasi ei ignoto*]”. Większość z nas błędnie jednak zakłada, że wiara jest synonimem religijnego światopoglądu, a więc polega na posiadaniu religijnych przekonań. Można na przykład posiadać zdecydowanie katolicki świa-

topogląd (uznawać wszystkie dogmaty i/bądź mieć pewność co do tego, że prawda znajduje się w Kościele katolickim) i nie być osobą wierzącą – taki był kazus Augustyna, zanim nie usłyszał słów „*Tolle, lege*” („weź, czytaj”). Zdaniem Akwinaty jedynie dzięki wierze wiemy, że rozum u kresu wytrzymałości przekracza granicę poznania i wchodzi do krainy nieznanego, którym jest Bóg. Jedynie dzięki wierze wiemy, że transcendentna tajemnica Boga jest tajemnicą miłości, i jedynie dzięki wierze wiemy, że zostaliśmy zaproszeni do udziału w tej niepoznawalnej tajemnicy miłości, którą jest Bóg. Dla tego Doktora Kościoła, jak pokazał to w swojej książce brytyjski filozof i teolog Denys Turner („Tomasz z Akwinu. Portret”, W drodze 2017): „wiara ma sens jako wiara teologiczna tylko o tyle, o ile jest objawiona przez Boga, którego z kolei ona objawia”. Tak więc teologia to „mówienie przez nas o Bogu w odpowiedzi na mówienie przez Boga o Bogu”.

Dzięki Objawieniu wiemy, z czym nie mylić świadomości, wolnej woli i Boga, ale nie możemy mieć pewności, że wiemy bądź będziemy wiedzieli o nich, bądź któreś z tych trzech tajemnic, wszystko. Pisząc o św. Tomaszu, Turner w przekonujący sposób wykazał, że w przypadku problemu psycho-fizycznego (problemu umysł-ciało) Akwinata nie był dualistą, tylko „materialistą”; w kwestii wolnej woli – kompatybilistą; w kwestii możliwości poznania Boga – nie uważał, że wiara uzdalnia nasz umysł do przyjęcia nieoczywistych dla niego zdań, w których zawierają się prawdy wiary, jest więc uzasadnieniem fideizmu w teologii. Można być racjonalistą, pozostając ostatecznym misterianinem, można być ostatecznym misterianinem, będąc teistą. Nie można być jednak byle jakim teistą, żeby być racjonalnym ostatecznym misterianinem.

Teologia ma przed sobą przyszłość, ale nie może być pseudoteologią – a zwłaszcza teologią „zapychania dziur”, bo inaczej jej przyszłość nie będzie miała większego znaczenia w poszukiwaniu zrozumienia misteriańskiej triady. Trzeba jednak pamiętać, że apofatyzm Akwinaty nie jest tożsamy z ostatecznym misterianizmem ani nie zastępuje Objawienia. „Ani” daje tu miejsce na „coś” do powiedzenia pozytywnie o świadomości, wolnej woli i Bogu, a więc w granicach możliwości naszego poznania i języka – a to już „coś” wobec nieuniknionych ograniczeń samej nauki.



LARYSA BIAŁA / BRONISZEWICE.DOMINIKANKI.PL

S. Tymoteusza i s. Gracjana z Rafałem i Mikołajem, podopiecznymi DPS-u w Broniszewicach

Portfolio niechcianego

ŁUKASZ WOJTUSIK

Porzuceni przez rodziców. Odrzuceni przez rodziny adopcyjne, zbyt trudni dla domów dziecka – podopieczni Domu Chłopaków w Broniszewicach uczą się, jak smakuje stabilizacja.

KILKUNASTOMIESIĘCZNY MIKOŁAJ BARDOZO chce zobaczyć świat poza łóżeczkiem. Żeby przyjrzeć się pluszowej krowie, chwycić dłonią za powiekę, rozchylić ją, zezuje, jakby chciał sprawdzić, gdzie się podziała jego ulubiona maskotka. Mikołaj ma FAS, alkoholowy zespół płodowy, a do tego bardzo poważną wadę wzroku. Przeszedł już jedną operację oczu, kolejną będzie mógł mieć dopiero, gdy skończy siedem lat.

– Przyjęliśmy zasadę, że nie oceniamy postaw, decyzji i postępowania rodziców, którzy zostawili u nas swoje dzieci, choć to bardzo trudne. Można winić mamę Mikołaja za to, że nie przestała pić w ciąży, łatwo szukać w niej zło, ale trudniej zapytać, gdzie była jej rodzina, przyjaciele, gdzie była społeczność, która przyzwoliła jej pić

– wyjaśnia siostra Tymoteusza. Obok Mikołaja leży zupełnie dorosły już Rafał. Pokręcane ciało chłopaka mogłoby sugerować, że nie ma z nim kontaktu. Obecność obcej osoby w pokoju na początku wyraża nie go zawstydzają, po chwili jednak uśmiecha się szeroko, jakby naprawdę cieszył się ze spotkania. Rafał lubi traktory – zabawkowa czerwono-zielona maszyna z przyczepą stoi na ramie jego łóżka. Mogą się w siebie wpatrywać godzinami.

Jest sprawa

Wszystkich trudno poznać – jest ich 56. Mieszkają razem, bez podziałów, prywatności i biologicznych rodziców, w Domu Pomocy Społecznej prowadzonym przez siostry dominikanki w Broniszewicach. Teraz chłopaki czekają na nowy dom.

Dzięki zapałowi i marketingowym chwytom zakonnic z Wielkopolski obok starego pałacu, w którym dotychczas mieścił się DPS, powstał właśnie nowoczesny, wygodny budynek. Przeprowadzą się do niego niedługo.

Inwestycja kosztowała ponad 6 mln złotych, budowę siostry sfinansowały z datków, darowizn i kwest. – Na początku jeździliśmy po parafiach całego kraju w każdy weekend. Czasem kwestowałyśmy pod kościołami przez cały dzień – mówi siostra Eliza. – Ludzie byli hojni, rozumieli nas. Nawet księża z parafii sami dorzucili się do puszek – dodaje siostra Tymoteusza.

Dominikanki w Broniszewicach przyznają, że po tym, jak wpadły na pomysł budowy nowego domu dla chłopaków, było ciężko. Ktoś je okradł, czasem brakowało na chleb, a ich podopieczni zawsze musieli mieć na leki i rzeczy niezbędne do życia.

Zdecydowały się na przenosiny – nową, ogromną inwestycję – bo w starym budynku zrobiło się ciasno. Stary pałac nie sprawdzał się w swojej funkcji: są w nim pomieszczenia, w których nie ma się nawet jak obrócić. W jednej z sal dziennego pobytu na kilkunastu metrach kwadratowych przebywa kilkunastu autystyków. – Każdy potrzebuje indywidualnego podejścia i przestrzeni, której tu nie możemy mu zapewnić – mówi siostra Tymoteusza.

Na parterze są trzy niewielkie sale z najbardziej chorymi. Ściśnięte łóżka i niewielki stół, na którym podaje się herbatę, stawia leki i je posiłki. – W nowym budynku nie będzie im tak ciasno, chłopaki w większości będą mieszkali po dwóch w pokoju – cieszy się siostra Eliza.

Wszystko jest już zaplanowane. Pokoje będą z oddzielnymi łazienkami, a poddasze zaadaptowane do rehabilitacji – siostry nazywają je domowym spa.

Emocje na dłoni

Swoją pierwszą pokój w nowym budynku będzie miał Mariusz. Do Broniszewic trafił niedawno, kiedy zrezygnował z niego rodzina zastępcza. Nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego tak się stało. Swoją temperamentalność lubi wybiegać, uwielbia piłkę nożną. Siłą i precyzją na boisku imponował już wcześniej – przed przyjazdem tutaj grał w kilku drużynach.

Siostry i pracownicy Domu Pomocy Społecznej wdrożyli chłopców w normalne życie i prace ośrodka. – Chcemy im



⇒ zapewnić dobre, zwykłe, rodzinne życie – mówi siostra Eliza. – A obowiązki dają im poczucie, że są tej rodzinie codziennie potrzebni. Mariusz sprząta i pomaga ubrać się innym. Andrzej zmywa naczynia i, jak zapewnia, bardzo to lubi. Maniek ma stały dyżur przy suczce Bronce, ulubienicy chłopaków.

Nad tą zwyciężnością domu czuwa ponad czterdziestoosobowy zespół pracowników i współpracowników. – Tu nic się nie ukryje, emocje chłopaków masz na dłoni, nie da się ich oszukać, możesz tylko z nimi być, bo trudno być obok nich – wyznaje siostra Eliza. W Broniszewicach nie ma zakazów. W trzynastohektarowym gospodarstwie jest gdzie się wyszaleć. Łukasz na ulubionym rowerze pokonuje tę samą trasę wielokrotnie w ciągu dnia. Najpierw rękami wykonuje kołowrotek, co oznacza, że za chwilę wsiądzie na swój trójkołowy pojazd i znów zrobi kilkadziesiąt okrążeń wokół pałacu. Ostatnio spotkał traktory, wybrał ten największy i nie odrywał od pojazdu wzroku. Ponoć udało mu się do niego wsiąść. Nieważne, kto na co dzień nim jeździ – przez chwilę na pewno był to traktor Łukasza.

Będzie głośno

W domu najbardziej uroczysta jest niedziela. Przygotowania do mszy trwają od świtu; na poranne, wspólne spotkanie szykowane są najlepsze ciuchy. W małej kaplicy na piętrze mieści się tylko część chłopaków i siostr, reszta zostaje na zewnątrz w dużej sali. – Trudno namówić księdza, by celebrował mszę w warunkach, które ciężko mu czasem zrozumieć. Tu słychać śpiewy, szepty, jęki, chłopaki kiwają się, chodzą. Cierpimy na deficyt kontemplacyjnej ciszy – uśmiecha się siostra Tymoteusza. – Dopiero teraz znalazłyśmy księdza, który próbuje się w tym jakoś odnaleźć.

Świetnie w tej przestrzeni odnajdują się za to chłopaki. Stojąc w komzach wokół ołtarza wianuszkami otaczają księdza, któremu ewidentnie przeszkadza słońce wpadające do kaplicy. Maniek zbiera na tace, Mikołaj chodzi i ogląda żarówki (co jaśniejsze punkty na swojej świetlnej mapie pokazuje palcem), Jarek po raz pierwszy pod nieobecność pana Andrzeja, który gra na bongosach, chwytając bębny i gra wtórując siostrze Grzegorz, która staje się jednoosobową gitarową scholą. Nikt nie wieział, że ten mały chłopak ma tak dobre poczucie rytmu. Nikt nie przypuszczał,

Siostra Eliza: Możemy być ich matkami, ale nie zastąpimy im ojców; czasem po prostu potrzebują połobuzować.

Wielu ludzi wspiera nas finansowo, lecz wciąż niewielu chce pobyc z niepełnosprawnymi.

że tak prawdziwa może być msza święta, tak normalne może być spotkanie wspólnoty. Kto tylko może, przyjmuje komunię świętą. Nawet Rafał, dla którego nogami przenoszącymi go na piętro stali się dwaj starsi koledzy. Gdy ksiądz wraca do ołtarza, w kaplicy rozlega się gromkie „A ja?”. Jarek zdejmując dłonie z bębnow i doprasza się swojego udziału w komunii.

Mama z wyboru

– Mówiłam, że będzie głośno i niekontemplacyjnie – mówi z uśmiechem siostra Tymoteusza, prawna opiekunka Jarka, który do domu w Broniszewicach trafił rok temu. W swoim portfolio niechcianego dzieciaka miał już wtedy cztery porażki. Najpierw porzucili go rodzice, później rodzice zastępczy, a potem zrezygnowały z niego dwa domy dziecka. Zaraz po przyjeździe do Broniszewic, gdy tylko się zameldował, spojrzawszy na siostrę Tymkę i coś w nim zagrało. Wtulił się w nią i oznajmił czule: „Ty będziesz moją mamusią!”. – I co mu miałam odpowiedzieć? – zastanawia się siostra. – Dokonał wyboru, mogłam się jedynie podporządkować.

Jarek uśmiecha się coraz częściej. Na pytanie, kto jest jego mamą, odpowiada bez wahania: „Tymka!”. Ponoć dwa razy zdarzyło mu się już powiedzieć: „Kocham”. Jeszcze nie umie wrócić do przeszłości, nie chce o niej opowiadać, trudno namówić go na wspomnienia, napędza go teraźniejszość. Świetnie odnajduje się w nowych sytuacjach, chce wszystko sprawdzić, wszystkiego dotknąć. Potrafi też rozwalać – idzie na gruzowisko i coś tam burzy. Największą radość sprawiają mu jednak frytki. Najpierw patrzy na nie, jakby właśnie przyniesiono mu je pierwszy raz w życiu. Potem wacha. I metodycznie, powoli wyciąga po jed-

nej, z radością wkładając do ust. To jeden z niewielu momentów, w których Jarek jest wyciszony, w całości oddany frytkowemu rytuałowi. Świetnie rozróżnia smaki: słodkiego nie lubi, gorzkie i słone mile łechcąc jego podniebienie. Uwielbia rukolę. Gdyby mógł, pewnie wszystkie potrawy jadłby palcami, jednak jego dłonie dręczy słabość, czasami nie może utrzymać sztuczków w dłoni – zdarza mu się, że nie potrafi donieść do stołu kubka z herbatą, trochę już w życiu narozlewał. W Domu Chłopaków w końcu nikt mu tego nie wyrzuca, nikt nie krzyczy: „Zrobiłeś to specjalnie!”.

Dumne pingwiny

– Ludzie czasem mówią, że jesteśmy przyzwywanymi matkami chorych dzieci, a my z tej opieki nad chłopakami jesteśmy dumne! Będąc w zakonie, dostałyśmy możliwość bycia prawnymi opiekunkami, matkami niepełnosprawnych, a dzięki temu Boga mamy jeszcze bliżej, na wyciągnięcie ręki, w drugim człowieku – wyznaje siostra Eliza. Nie przeszkadza im nawet to, że nazywają je pingwinami. To skojarzenie przekuły na kampanię promującą w internecie zbiórkę na Dom Chłopaków. Dzięki filmikowi puszczonego w sieci w „Światowym Dniu Pingwina”, na którym wygłupiały się, imitując pingwiny chód, wytupały sobie kolejne pieniądze na budowę.

Największą ciekawość chłopaków budzą pokoje w nowym domu, choćby dlatego, że na ścianach mają już unikalne fototapety, które odzwierciedlają ich zainteresowania. – Któryś zażyczył sobie nawet świnię na traktorze i okazało się, że udało się spełnić to marzenie – cieszy się siostra Tymka. Elegancki Adrian, gdy pierwszy raz zobaczył swój nowy pokój z fototapetą pokazującą Wojsko Polskie w akcji, stanął na baczność, zaszalutował i nie chciał wyjść.

A poza domem – czego im brak? – Żeby ktoś z nimi pograł w piłkę, powyglądał się. My możemy być ich matkami, ale nie zastąpimy im ojców; czasem po prostu potrzebują połobuzować. Wielu ludzi nam pomaga, modli się za nas, wspiera finansowo, lecz wciąż jeszcze niewielu chce pobyc z niepełnosprawnymi – podsumowuje siostra Eliza. Wystarczy czasem pogonić z nimi po parku, pogadać, zjeść wspólnie kebab i frytki, wystarczy z nimi pojechać tramwajem.

© ŁUKASZ WOJTUSIK

SZYMON

Hołownia: Teraz wy głodujcie



TO, ŻE PROTESTY POD SENATEM I POD PAŁACEM Prezydenckim nie przyniosły skutku, zaskoczeniem nie jest. Mam jednak wrażenie, że buta, z jaką obecna władza przepychała model upartyjnionego sądownictwa, przyniesie skutek odłożony w czasie. Że władza

owszem, skutecznie co chciała, to przepchała, uczyniła sobie jednak przy tym niepozorne draśnięcie, które za parę lat (nie wiem, za ile) stanie się ogniskiem gangreny. Wiele rzeczy w polskiej polityce ostatnich 30 lat się zmieniało: rozum odchodził i powracał, Ryszard Czarnecki to był w ZChN-ie, to w Samoobronie, Jarosław Gowin to z PO, to z PiS-em, ale jedna zasada działa w niej z niezmienną skutecznością, przerobiona przez literalnie każdą z dotychczas rządzących ekip: pycha zawsze kroczy przed upadkiem.

Święty Graal politycznej nieśmiertelności, tak wytrwale poszukiwany przez coraz to nowych spin doktorów, nie istnieje. Sycenie się poczuciem władzy, panowania, tym, że można skutecznie wziąć za twarz a to „pisiarzy”, a to „kodomitów”, to zawsze początek końca. Nawet dziś, w czasach, kiedy taka postawa wydaje się premiowana, w czasach nie Bartoszewskich, lecz Trumpów.

Nieprzypadkowo zestawilem te dwa – z tak różnych parafii – nazwiska, na nich łatwo pokazać aksjologiczny charakter tej zmiany. Władysław Bartoszewski znany był z bon motu „Warto jest być przyzwoitym, choć się to nie opłaca. Opłaca się być nieprzyzwoitym, ale nie warto”. W politycznym pokoleniu Trumpów (zagranicznych i krajowych) wymiar przyzwoitości jest już zupełnie nieistotny: można nakłamać w kampanii, poobrazić kogo się da, zmanipulować wszystko do ostatniego słowa, a i tak ludzie okrzykną cię Mesjaszem.

Na swoim Facebooku wywołałem znów w ubiegłym tygodniu wilka z lasu, informując, że wybieram się (po raz drugi w życiu) na uliczną manifestację, w sprawie sądów rzecz jasna. Mam alergię na politykę partyjną w obecnym wydaniu, zawodowym mówcą owszem jestem, ale nie wiecowym (gdy co chwila ktoś wyrywa coś z twojej mowy, żeby ludzie mogli to sobie poskandować), zapowiedziałem więc, że stanę sobie gdzieś z boku, a w aucie będę woził białą kartkę na znak, że ja mandatu do takich zmian nikomu nie dawałem. Placę pensję i senatorom, i prezydentowi, mam więc chyba prawo wyrazić swój sprzeciw, gdy uważam, że sięgają po władzę, której nikt im nie dał.

Nie chodzi tu rzecz jasna tylko o to, ile będzie ważył wyrok w sytuacji, w której pensja oskarżyciela i sędziego zależeć będzie od tego samego partyjniaka. Ale i o upartyjnienie instytucji zajmującej się kontrolą wyborów. Żyjemy nie w latach 90. ubiegłego wieku, lecz po uszy w wieku XXI, w którym boty i trolle pomogły wybrać prezydenta największego mocarstwa

świata. Na polskim Twitterze, gdzie robi się dziś sporą część polityki, „zaparkowanych” jest może i kilkadziesiąt tysięcy botów (badająca to Anna Mierzyńska naliczyła ich 10 tysięcy), fałszywych kont zalewających wskazane profile fałszywymi wiadomościami (najbardziej robotne generują na polskim Twitterze ponad 400 postów dziennie). Codziennosc polskiego Facebooka to już maszynowe generowanie lajków i „obserwujących” (można to zwyczajnie kupić), stąd trolli zalewające nas (mnie też) partyjnymi przekazami dnia i osobistymi obelgami.

Politycznym leśnym dziadkom III i IV RP wydaje się, że będą – w tej czy innej konfiguracji – rządzić wiecznie. Nie mają pojęcia, że wystarczy jedna decyzja kogoś, kto będzie miał ochotę zdestabilizować sytuację w Polsce, i wybory może u nas wygrać siła, o której nikomu się dotąd nie śniło. I że teraz ta siła po przejściu władzy w pięć sekund weźmie Sąd Najwyższy. Nieważne. Ważne, że teraz „kasta dostała po ryju” – jak był uprzejmy stwierdzić jeden z komentujących mój post na Facebooku.

Ów post dotarł do 1,4 mln osób, przeczytało go ponad 250 tysięcy, setki zostawiły swoje komentarze. Fascynujące pole do amatorskich socjo- i psychorefleksji. O tym, jakie spustoszenie może wywołać kampania zohydzająca (na przykład na billboardach) jakąś grupę, by w publiczności narosła nienawiść do niej, a rozładowanie nienawiści atakiem na ową grupę przyniosło ukojenie i przyjemność (ubraną w poczucie dziejowej sprawiedliwości). O tym, jak bezradni się stajemy, gdy oczekuje się od nas skonkretyzowania naszego poczucia, „że jest źle”, jak dyskusje zapętłają się po wymianie dwóch, zawsze tych samych argumentów (po nich pada sakramentalne: „Mam wyliczać jeszcze?” albo „Przecież wszyscy wiemy, że tak jest, niech pan nie różnie głupa”).

A przede wszystkim o tym, jak poważnym problemem – kompletnie ignorowanym na przykład przez naszych duszpasterzy – jest poczucie, że jedna grupa obywateli (i chrześcijan) ma pełne prawo (mentalnie i w zakresie urzędowania życia wspólnego) okupować drugą grupę obywateli (i chrześcijan). Argumentując to najbardziej zwięzłą definicją ludowej sprawiedliwości: że „wyście już się nażarli, myśmy głodowali, teraz wy głodujcie, bo jest nasza kolej”. Nieważne, że bliźni czują się teraz źle, ważne, że ja się wreszcie czuję dobrze. Kropka.

To chyba najbardziej obrzydza mi polską politykę ostatnich (więcej niż trzech) lat. Nominalnie chrześcijański kraj, ćwierć wieku od gromkich przestróg Jana Pawła II (w 1991 r.), w istocie niczym nie różni się już od pato-korporacji, w której jedyna droga rozwoju wiedzie przez zablokowanie możliwości rozwoju innemu; gdzie rośnie się przez eksterminację. Nie jest mi specjalnie szkoda polityków, którzy sadzać się teraz będą – przy pomocy partyjnych sędziów – do więzień na zmianę co jedna lub dwie kadencje (to norma w wielu znanych mi krajach, np. Afryki). Żal mi kraju.

Jeśli nie doczekamy się przywódcy, który będzie potrafił pokazać Polakom, że naprawdę wszyscy mieszcza się na chodniku, gdyby tylko przestali się przepychać, przed sobą widzą dwie perspektywy: konieczność emigracji lub wojnę domową. Oto mój prywatny – składany dziś z wdzięcznością na biurkach naszych liderów tej i poprzednich kadencji – bilans osiągnięć 30 lat odzyskanej polskiej wolności.

©

KIEDYŚ BĘDZIEMY SZCZĘŚLIWI

Do zrujnowanej Rakki – niedawnej stolicy tzw. Państwa Islamskiego – wraca życie. Jednak nie da się naprawić tego, co wojna pozostawiła w ludzkich głowach.

TEKST I ZDJĘCIA **MICHAŁ ZIELIŃSKI** Z RAKKI (SYRIA)

WOJSKOWE PIKAPY RÓWNYM TEMPEM przemierzają leżące w gruzach ulice. Ponury widok ciągnie się kilometrami. Po drodze auta mijają zdewastowany Szpital Narodowy, który podczas walk służył Daesh (tym arabskim słowem nazywa się tutaj tzw. Państwo Islamskie) jako sztab i stadion, przez bojowników przerobiony na okrutne więzienie. Konwój objeżdża też cieszące się złą sławą rondo Naim. Jeszcze niedawno na otaczającym je ogrodzeniu wisiały nabite głowy.

Przez niemal trzy lata Rakka, położona w centrum Syrii, była nieformalną stolicą Państwa Islamskiego – z policją obyczajową, publicznie przeprowadzanymi egzekucjami i skorumpowanymi sądami, skazującymi na śmierć tych, którzy nie mieli pieniędzy na łapówkę.

Niewinni ludzie ginęli też podczas operacji prowadzonej przez Syryjskie Siły Demokratyczne (koalicję milicji kurdyjskich i arabskich), które wyzwoliły miasto. W ciągu czterech miesięcy walk samoloty międzynarodowej koalicji zrzuciły na Rakkę kilka tysięcy bomb, miało zginąć ok. 1300 cywilów. Dziś ponad 90 proc. miasta leży w gruzach.

Dziewięć miesięcy po wyparciu stąd Daeshu w Rakce budzi się życie. Na ulicach pracują zespoły usuwające gruz, funkcjonuje coraz więcej sklepów, a zmę-

czeniu tułaczka ludzie wracają do porzuconych kiedyś domów. Można nawet trafić na kafejki internetowe, cieszące się popularnością. Ale do normalności wciąż jest daleka droga.

Ahmed używa liny

Chwilę po tym, jak konwój dojeżdża do celu, Ahmed Hiiab Ibrahim zakłada kuloodporną kamizelkę. Choć czynność nie jest skomplikowana, przybrała formę rytuału. Mężczyzna kilkakrotnie poprawia stalowe płyty i starannie dociska wszystkie pasy. Kamizelka jest jednak karykaturalnie mała. Gdy Ahmed wchodzi do budynku, jego brzuch pozostaje odsłonięty.

Dom należy do doktora Abdullaha Al-Issy. Mężczyzna postanowił sprawdzić, ile zostało z jego dobytku. – Jeśli Bóg pozwoli, to miejsce będzie bezpieczne. Co mnie martwi najbardziej, to obserwujący nas sąsiedzi. Boję się, że wrócą później i rozkradną moje rzeczy – spojrzenie zatroskanego Abdullaha wędruje w kierunku okien po drugiej stronie ulicy.

W tym czasie saperzy przeczesują kolejne pokoje. Ich praca polega na przekładaniu przedmiotów z kąta w kąt. Nie używają przy tym specjalistycznego sprzętu. Jeśli coś wydaje im się podejrzane, po prostu trącają to nogą. W ten sposób codziennie oczyszczają do 30 domów.

Bojownicy tzw. Państwa Islamskiego zostawili po sobie miny-pułapki. Zaminiowane może być wszystko: zabawki, wyposażenie kuchenne, kawałek tynku zalegający w rogu pokoju. Pomysłowość konstruktorów zadziwia nawet zachodnich ekspertów, którzy wspierają lokalne zespoły saperskie. Zdarza się, że detonacja następuje w wyniku przzerwania wiązki laserowej lub wychwycenia dźwięków o odpowiedniej częstotliwości. Niektóre pułapki są wyposażone w baterie i mogą być aktywne jeszcze długo.

Po dziesięciu minutach w drzwiach pojawia się pokryty kurzem Ahmed. Niesie elementy umundurowania bojowników Daesh, które wyciąga przed siebie niczym trofea. Stwierdza, że teraz mieszkanie





W ruinach Rakki, 1 lipca 2018 r.

jest czyste. Od jego słów zależy życie doktora Abdullaha, jego żony, córki i trzech synów. Może też sąsiadów, którzy pod osłoną nocy mogą przyjść na szaber.

Ahmed mówi, że najtrudniejsze do rozbrojenia są miny wykorzystujące podcierwień. A najbardziej boi się tych, które wybuchają po otwarciu drzwi. Samo rozminowywanie zwykle odbywa się przy pomocy najprostszyc narzędzi, np. liny. – Obwiązujemy nią ładunek i, szarpiając za drugi koniec, próbujemy go wyciągnąć. Albo wybuchu od razu i nikt nie zostaje ranny, albo detonujemy go w specjalnym miejscu – mówi saper.

Według władz Rakki na rozminowanie czeka ok. 45 proc. miasta. Nikt nie jest w stanie stwierdzić, jak sytuacja wy-

gląda na prowincji. Wiadomo jedynie, że gorzej.

Pytany o ofiary, Ahmed wzrusza ramionami: – Nie mam pojęcia, ilu dziennie ginie ludzi.

Osama rozdziela krew

Osama Halaf (imię zmienione na jego prośbę) przerywa opowieść, sięga po dwie torebki z krwią i przekazuje je mężczyźnie w średnim wieku. Ten składa podpis na formularzu i pakuje worki do reklamówki. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, niebawem krew zostanie wpompowana w żyły jego córki. Wcześniej przez ponad godzinę leżała na biurku. Po prostu.

– To nasze drugie centrum, pierwsze zostało zbombardowane. Nasi pacjenci stracili rezerwy krwi, a ja kolegę – Osama pracuje w banku krwi od 17 lat. Robił to za rządów Asada, później Frontu Nusra (jednej z organizacji powstańczych, bliskiej Al-Kaidzie), na końcu Daeshu.

Osama twierdzi, że mieszkańcy Rakki byli podzieleni, ale nigdy nie żalowali krwi. Nawet bojownicy Daeshu mieli patrzeć na ich centrum przychylnie. Może nawet z niego korzystali. Osama nie sprawdzał, kogo ratuje. Wyznaczył tylko jedną zasadę: broń miała zostać za drzwiami.

Osama mówi, że wraz z początkiem walk większość ludzi uciekła z miasta i zaczęło brakować krwi. Z nieba spadały →



Osama od 17 lat pracuje w centrum krwiodawstwa. Ta dawka krwi trafi do potrzebującej dziewczynki. Rakka, 30 czerwca 2018 r.



Doktor Mohammed opisuje ekshumowane zwłoki. Mówi, że znalezione ciała traktuje czule, jak własnych przyjaciół. Rakka, 28 czerwca 2018 r.

⇒ bomby, w oknach pojawili się snajperzy. Do Osamy strzelali siedem razy – niecelnie.

– Nigdy nie przerwaliśmy pracy, ale musieliśmy być oszczędni. Jeśli ktoś potrzebował dwie dawki krwi, otrzymywał jedną. Jeśli miał rzadką grupę, dawaliśmy mu osocze – głos mężczyzny jest nienaturalnie spokojny. – Kiedyś do naszego centrum trafiły dzieci, które w wyniku nalotu straciły całą rodzinę. Jednemu chłopcu wybuch urwał nogi. Jego siostra ciągle dopytywała, gdzie jest ojciec. Powtarzałem, że przyjdzie później. Okazało się, że ona wiedziała, że nie żyje, tylko chciała usłyszeć, czy trafił do nieba.

Rakka została odbita z rąk Daeshu, ale sytuacja w centrum krwiodawstwa wciąż jest skrajnie trudna. Brakuje podstawowego sprzętu, urządzeń do testów, wirówek do krwi. Brakuje też torebek, igieł, gazy, plastikowych rurek, odczynników. Oraz prądu. I krwiodawców. Nie brakuje jedynie potrzebujących.

– Głównym problemem są miny – ich ofiary zwykle wymagają nie jednej, lecz czterech dawek krwi. W przypadku jednego dziecka użyliśmy ich 25 – Osama otwiera lodówkę. W niedbale ułożonych piramidkach leży kilkanaście toreb z ciemnoczerwoną cieczą. Osama z dumą podkreśla, że nawet imamowie zachęcają wiernych do oddawania krwi. Tyle że są to imamowie żyjący w Indonezji.

Mohammed ogląda ciała

Plac ma ok. 200 m długości i 50 m szerokości. Wcześniej były tutaj zoo, park i basen. Dziś po kompleksie rekreacyjnym nie ma śladu. Została zryta ziemia, podzielona

na 12 równych okopów. Przy jednym leżą cztery niebieskie worki.

W czasie zeszłorocznych walk o Rakkę ludzie, którzy zostali w mieście, nie mogli dotrzeć do cmentarzy. Ciała zabitych i zmarłych zaczęto chować w prowizorycznych grobach, także masowych. Często pośpiesznie, bez dokumentów lub przedmiotów umożliwiających późniejszą identyfikację. Czasem tylko krewni zostawiali na płytkim grobie podpisaną cegłę albo wbijali w ziemię oznaczony farbą pręt.

Dotąd w Rakce odkryto trzy takie miejsca. – Pierwszym był Czarny Stadion, gdzie chowano ludzi, którzy zmarli w okolicy Szpitala Narodowego. Znaleźliśmy tam ok. 400 ciał. Na drugim obszarze, zwanym Panorama, spoczywa 500-700 zwłok. A tu może ich być 200-300 – doktor Mohammed Asad jest medykiem sądowym. W czasie swej kariery widział wiele, ale nie przypuszczał, że w rodzinnym mieście będzie ekshumował masowe groby.

Do doktora czasem zgłaszają się bliscy, którzy chcą pochować swych krewnych z godnością. Jak ten mężczyzna, który w wybuchu bomby stracił żonę, dwoje dzieci i brata.

Po wstępnych ustaleniach grabarze zaczynają kopać. Starczy kilka ruchów łopaty, by odkryć zwłoki owinięte w koc. Doktor bada szczątki, w użębieniu i na pischelach szuka wskazanych przez krewnego znaków szczególnych. Okazuje się, że to szczątki nastolatka.

Zwłoki są w stanie posuniętego rozkładu, ale dysponując wiedzą można określić wiek ofiar i przyczynę zgonu. Większość obrażeń wskazuje na śmierć w wy-

niku eksplozji lub zasypiania. Czasem egzekucji – np. gdy czaszki zostały oddzielone od kręgosłupów za pomocą ostrych narzędzi.

Niektóre rodziny nie zgadzają się na ekshumację ze względów religijnych. Ciała leżą warstwami, dlatego takie sytuacje uniemożliwiają dalsze prace.

Wielu ofiar nie udaje się zidentyfikować. Te zostają pochowane w nagrobkach oznaczonych numerami. W niektórych spoczną zwłoki noworodków.

– Na początku miałem koszmary, ale szybko przyzwyczailem się do tego widoku i złe sny odeszły. Po powrocie do domu biorę prysznic, piję kawę i zabieram się za swoje sprawy – doktor podkreśla, że wszystkie ciała traktuje z szacunkiem. Czule, jak własnych przyjaciół.

Laila szuka wody

Młoda kobieta nie pasuje do tego ponurego gabinetu. Laila Mustafa ubiera się na zachodnią modę i w taki sposób zachowuje. Pierwsza wyciąga rękę, do rozmówców zwraca się bezpośrednio i konkretnie. Jej twarz zdobi delikatny, ciepły uśmiech. Ale spojrzenie ma ostre. Laila Mustafa jest politykiem, przewodniczącą Rady Cywilnej Rakki.

– Gdy po raz pierwszy weszliśmy do miasta, przeżyliśmy szok. Zniszczenia przerosły nasze wyobrażenia – Laila podkreśla, że od tego czasu Rada ma sporo sukcesów. W ostatnich miesiącach na terenie całej prowincji uruchomiono ponad 240 szkół i otwarto 20 stacji, które zaopatrują mieszkańców w pitną wodę. W samym mieście działa już sześć szpitali. Niestety są słabo wyposażone. Poważnie cho-

rych wciąż transportuje się do Kobane lub Hasaki. A że ludność prowincji utrzymuje się głównie z rolnictwa, duże znaczenie miało uruchomienie na nowo systemów irygacyjnych. Obecnie nawadniana jest już większość okolicznych pól.

Zdawałoby się, że najgorsze minęło. Ale nad Rakką zbierają się kolejne czarne chmury.

Turcja, pozostająca w konflikcie z Kurdami, postanowiła zamknąć tamy na Eufracie. Zatem gdy tureckie zapory niemal trzeszczą pod naporem wody, północna i centralna Syria stoi na progu suszy. Jeśli taki stan utrzyma się przez najbliższe tygodnie, sytuacja w regionie będzie dramatyczna.

Ograniczenie dostępu do wody przekłada się na deficyt prądu, ale to ma drugorzędne znaczenie. – Turbiny w zaporach są uszkodzone, nie mamy też środków na odbudowę sieci energetycznej. To przeraża nasze możliwości – Laila Mustafa podkreśla, że prócz pieniędzy brakuje też podstawowego wyposażenia, jak młoty pneumatyczne czy koparki.

Problemem Rakki jest też bezpieczeństwo. Choć walki zakończyły się jesienią 2017 r., czasem słychać strzały. Arabska ludność nie chce zaakceptować władzy Kurdów. To prowadzi nie tylko do prote-

stów, ale też do rozłamów w strukturach Syryjskich Sił Demokratycznych. Kilka dni przed naszą rozmową jedna z grup, utożsamiająca się z Wolną Armią Syryjską, starła się z kurdyjskimi Powszechnymi Jednostkami Obrony. W wymianie ognia zginęło kilka osób.

Nieoficjalnie mówi się, że w tym samym czasie Rakkę wizytowała delegacja z Damaszku. Również nieoficjalnie można usłyszeć, że być może Kurdowie porozumieją się z syryjskim prezydentem Baszarem al-Asadem i – po spełnieniu pewnych warunków – przekazą mu władzę nad prowincją. Po rządach opozycji, Daeshu i Kurdów historia zatoczyłaby więc koło. Paradoxs? W mieście można usłyszeć, że właśnie tego oczekuje znaczna część mieszkańców.

Ludzie tu wróć

Stojąc nad Eufratem, można się przez chwilę przenieść do innego, lepszego świata.

Słońce mieni się w błękitnej wodzie, a pokryty zaroślami brzeg daje wytchnienie od upału. Tylko zarys wysadzonego mostu przypomina, że niedawno toczyły się tu walki.

W pobliżu zniszczonego mostu bawią się dzieci. Chłopcy dokazują, śmieją się

i przepychają. Niektórzy nurkują. Woda jest tak przejrzysta, że widać ich sylwetki.

To dzieci miejscowych rybaków. Jednym z ich rodziców jest Muhammad, może pięćdziesięcioletni mężczyzna z krzaczastą brodą przyprószoną siwizną. – Teraz życie jest trudne, dlatego pracuję na okrągło. W nocy łowią ryby, a za dnia przewożę ludzi – na potwierdzenie swoich słów Muhammad wskazuje niewielką łódkę, na którą właśnie załadowano motocykl. Jego właściciel usadowił się na ławce i czeka, aż Muhammad złapie za wiosła. W ciągu dnia rybak przemierzy tak rzekę kilkanaście razy.

– To nic trudnego, jestem wysportowany. Ale ucieszę się, gdy zobaczę odbudowane mosty. Drogi zostaną otwarte, przyjadą podróżni z Aleppo, z Damaszku, z innych miast. Ludzie będą szczęśliwi i zaczęną kupować więcej ryb.

Wokół łodzi biega chłopiec. Twarz kilkulatka wykrzywiona jest w grymasie. Oczy jakby zapadły się w głąb czaszki, wystawiony na zewnątrz język przygryzają zaciśnięte zęby. Dziecko zaczepia rówieśników, bije na oślep, wpycha do wody. W pewnym momencie podbiega do jednego z nich i kilkakrotnie przesuwając ręką po drobnej szyi. Jakby chciał odciąć mu głowę.

© MICHAŁ ZIELIŃSKI



Dzieci miejscowych rybaków nad brzegiem Eufratu, 1 lipca 2018 r.

Człowiek, który zmienił Waszyngton

JAN SMOLEŃSKI

Wszystko, co Paul Manafort osiągnął w życiu – wpływy i bogactwo, a dziś więzienną celę – zawdzięcza wyjątkowym zdolnościom lobbystycznym. Oraz elastycznemu kręgosłupowi moralnemu.

TO WŁAŚNIE PAUL MANAFORT – JEDEN z najbardziej wpływowych lobbyistów Waszyngtonu (a przez to i świata), w 2016 r. szef sztabu wyborczego Donalda Trumpa, obecnie przebywający w więzieniu w miejscowości Warsaw w stanie Wirginia – jest dziś główną *dramatis personą* w śledztwie specjalnego prokuratora Roberta Muellera w sprawie rzekomej umowy między sztabem Trumpa a Kreml w celu wpłynięcia na wynik wyborów prezydenckich w USA.

Jedyny milczący

Dotąd w ramach rosyjskiego śledztwa oskarżono 32 osoby, w tym 26 obywateli Rosji. 12 z nich to oficerowie wywiadu wojskowego GRU, oskarżeni o kradzież danych z serwerów Partii Demokratycznej i próbę przekazania ich niezidentyfikowanej osobie związanej ze sztabem Trumpa (zapewne chodzi o Rogera Stone'a).

Prawdopodobieństwo, że Rosjanie staną przed sądem w USA, jest zerowe. Natomiast spośród pozostałych oskarżonych wszyscy poszli na współpracę z FBI, przyznając się do zarzutów. Uległ nawet Rick Gates, długoletni współpracownik Manaforta, który też początkowo odmawiał przyznania się do winy. Manafort jako jedyny pozostał nieugięty i milczący.

Żaden ze stawianych mu zarzutów nie dotyczy bezpośrednio rzekomej umowy.

Jego właśnie zaczynający się w sądzie federalnym w Wirginii proces dotyczy przestępstw finansowych: prania brudnych pieniędzy, oszustw podatkowych i bankowych oraz reprezentowania rządu Ukrainy przed 2014 r. bez zarejestrowania się jako lobbysta. Na postawienie takich zarzutów pozwolił Muellerowi szeroki mandat, który ma od Departamentu Sprawiedliwości.

Manafort próbował też nakłaniać świadka do fałszywych zeznań. Z jego przechwyconej przez FBI komunikacji wynika, że kontaktował się w tym celu z Konstantynem Kilimnikiem, swoim współpracownikiem z czasów biznesu na Ukrainie. Tym samym naruszył warunki aresztu domowego i musiał zamienić garnitur na zielony kombinezon aresztanta.

Lobbysta katów

Stwierdzenie, że Manafort zmienił Waszyngton, nie jest wyolbrzymieniem. To jego pierwsza firma stworzyła lobbystyczny taki, jakim go dziś znamy.

Manafort pomógł Ronaldowi Reaganowi wygrać wybory prezydenckie w 1980 r. i uczestniczył w części decyzji dotyczących obsady administracji. Z kolei potem reprezentował przed administracją Reagana różnych aktorów biznesowych. Niektórzy nazwali to „zinstytucjonalizowanym konfliktem interesów”.

To także on jako pierwszy zajął się lobbieniem na rzecz obcych rządów na dużą skalę. „Doktryna Reagana” – wywieranie presji na Związek Sowiecki, w tym przez podtrzymywanie konfliktów, których Kreml nie był już w stanie finansować – wymagała różnych sojuszników. Także tych, których określa maksyma: „Może sukinsyn, ale nasz sukinsyn”. Poprawianiem image'u takich aliantów zajmował się właśnie Manafort. Był na tyle niewybredny,

że Center for Public Integrity (organizacja non-profit zajmująca się dziennikarstwem śledczym) w swym raporcie z 1992 r. określiła jego firmę jako „Lobby katów”.

Jednym z klientów Manaforta był filipiński dyktator Ferdinand Marcos. Ale chyba największym sukcesem była przemiana Jonasa Savimbiego, przywódcy antykomunistycznej partyzantki z Angoli, którego oddziały oskarżano o zbrodnie wojenne. Dzięki zabiegom Manaforta Savimbi stał się „bojownikiem o wolność”, został zaproszony do Białego Domu, a w neokonserwatywnym American Enterprise Institute witano go jako „jednego z niewielu bohaterów naszych czasów”.

Podobno gdy współpracowniczka powiedziała mu, że ona musi wierzyć w to, co robi, Manafort odparł: „Dla mnie byłby to koniec w tym biznesie”.

Złotonośna Ukraina

Jeszcze gdy pracował jako lobbysta na rzecz dyktatorskich reżimów, Manafort zajął się też pośrednictwem w handlu bronią. Ale żaden z tych biznesów nie był tak lukratywny jak jego działalność na Ukrainie.

Oficjalnie zaczął ją w 2005 r., choć plotki głoszą, że nieoficjalnie doradzał prorosyjskiemu kandydatowi na prezydenta, Wiktorowi Janukowyczowi, już podczas kampanii w 2004 r. Dziennikarz „The Atlantic”, Franklin Foer, twierdzi, że Manafort zjawił się w Kijowie na zlecenie rosyjskiego oligarchy Olega Deripaski, który inwestował na Ukrainie. Przeczuwając prozachodnią zmianę wiatrów, Deripaska miał wysłać Amerykanina, by ten minimalizował szkody. Istotnie, w wyniku pomarańczowej rewolucji Janukowycz przegrał z Wiktorem Juszczenką.

W 2005 r. ukraiński oligarcha o prorosyjskiej orientacji Rinat Achmetow zatrudnił Manaforta jako doradcę biznesowego. Faktycznym celem lobbysty miało być obsadzenie Janukowycza w fotelu prezydenckim w wyborach w 2010 r. To się udało: Manafort zmienił politycznego pariasa w polityka zapraszanego do ambasad. „Nauczył go, jak się uśmiechać i jak wymieniać uprzejmości” – wspominał Andres Åslund, szwedzki ekonomista i doradca byłego prezydenta Leonida Kuczmy.

Ale nie wszyscy wspominają Manaforta w ten sposób. „Aby wypromować swego klienta, Partię Regionów [partię Janukowycza – red.], Manafort wykorzystał najbardziej drażliwe kwestie w ukraińskim społeczeństwie, radząc partii, by podnosiła



JAN SMOLEŃSKI będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę 1 sierpnia o godz. 16.00.

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl



BILL CLARK / GETTY IMAGES

Trump i Manafort (trzeci od lewej) podczas kampanii prezydenckiej. Manafort był wtedy szefem sztabu Trumpa. Obok Ivanka, córka przyszłego prezydenta. Cleveland, 20 lipca 2016 r.

tematy dzielące kraj” – pisał Serhij Leszczenko, ukraiński poseł.

Ta praca była żyłą złota. Mógł żądać niebotycznych sum, a stojący za Janukowyczem oligarchowie płacili. Gdy po obaleniu Janukowycza w 2014 r. znaleziono tzw. czarny notes Partii Regionów, zawierający niekoniecznie legalne wypłaty dla różnych osób, kwoty dla Manaforta sumowały się na 12,7 mln dolarów. On sam twierdzi, że nie otrzymał tych pieniędzy.

Rosyjscy łącznicy

Właśnie pracując dla Janukowycza, Manafort miał nawiązać dwa kontakty ważne z punktu widzenia obecnego śledztwa.

Jeden to wspomniany Deripaska, oligarcha z bliskimi kontaktami na Kremlu.

W 2006 r. Manafort i jego wspólnik Robert Gates założyli fundusz kapitałowy Pericles, a w 2007 r. Manafort otrzymał od Deripaski 100 mln dolarów na inwestycje w ramach Periclesa. Pierwszą transakcją miał być zakup firmy telekomunikacyjnej Morze Czarne z Odessy. Manafort miał zapłacić za nią 18,9 mln dolarów. Sam za zarządzanie funduszem pobrał 7,35 mln. Gdy po kryzysie 2008 r., który Deripaska boleśnie odczuł, Rosjanin chciał wycofać udziały w Periclesie, nie zobaczył pieniędzy. Prawnicy Deripaski, którzy w 2015 r. złożyli pozew w USA, twierdzą, że aktywa Morza Czarnego nigdy nie zostały kupione. Deripaska tych długów nie odpuścił (na marginesie: dziś w akcie oskarżenia mowa jest o tym, że przez wspólne konta Manaforta i Gatesa w rajach podatkowych przewinęło się ponad 75 mln dolarów).

Drugim kontaktem – ważniejszym dla Manaforta i może także dla śledztwa Muellera – był Konstantyn Kilimnik. Ten zdolny lingwista jeszcze w czasach sowieckich współpracował z GRU. Gdy poznali się w 2005 r., Kilimnik pracował w amerykańskiej organizacji International Republican Institute. Został zwolniony, gdy przełożeni dowiedzieli się o jego pracy dla Manaforta. Oficjalnym powodem było naruszenie zasady zabraniającej dorabiania na boku, ale plotki mówią, że coraz więcej wątpliwości budziła jego prorosyjskość. Dziś FBI uważa, że Kilimnik nadal jest agentem GRU.

Manafort nie mówi po rosyjsku ani po ukraińsku, więc polegał na tłumaczeniach Kilimnika, który chodził z nim na wszystkie spotkania. Stał się jego prawą ręką i szefem jego biura w Kijowie. Gdy w 2014 r. Janukowycza obalono, Kilimnik w imieniu swego szefa pomógł Partii Regionów przetransformować się w pozorowanie nową formację: Blok Opozycyjny.

Puzzle Muellera

W lutym 2016 r., gdy jego sytuacja staje się trudna (wystawne życie finansuje bankowymi pożyczkami, podając fałszywe informacje), Manafort zwraca się do Trumpa. W marcu dołącza do jego ekipy, w czerwcu zostaje szefem sztabu wyborczego. Już w sierpniu rezygnuje: jego prorosyjskie powiązania i interesy zaczęły zbyt ciężko.

Jednak między marcem a sierpniem stało się kilka rzeczy. Dwa tygodnie po przyjęciu do sztabu Trumpa Manafort zwrócił się do Kilimnika, by nawiązał kontakt z Deripaską. Miał oferować oligar-

skie informacje w zamian za rozwiązanie sprawy długu (Deripaska twierdzi, że do tego nie doszło). Sam Kilimnik w 2016 r. przyjeżdżał do USA, by spotkać się Manafortem: w kwietniu i późnym latem. Przyznał też, że był z nim w regularnym kontakcie podczas wyborów prezydenckich.

W czerwcu 2016 r. Manafort uczestniczył w spotkaniu w Trump Tower, podczas którego Donald Trump junior spodziewał się otrzymać od rosyjskiej prawniczki związanej z Kremlu „brudy” na Hillary Clinton. Spotkanie to jest kluczowe dla śledztwa Muellera – tym bardziej że Michael Cohen (były prawnik Trumpa seniora) właśnie wyznał, iż jego ówczesny klient wiedział o tym spotkaniu, zanim jeszcze do niego doszło.

Są też inne ślady działalności Manaforta: gdy szefował sztabowi Trumpa, ekipie obecnego prezydenta udało się zmienić język programu Partii Republikańskiej tak, aby nie było mowy o wsparciu Ukrainy – broniącej się przed rosyjską agresją – sprzętem wojskowym.

Wszystko to układa się w dość przerażający obraz, w którym za kolejny puzzle można uznać szczyt w Helsinkach. Trump przyznał na nim rację Putinowi (twierdzącemu, że Rosja nie ingerowała w wybory w USA), stając w kontrze do własnych służb i ich ustaleń. Były prokurator generalny Eric Holder nazwał ten szczyt „zmową dokonaną na naszych oczach”.

Cel osiągnięty

Możliwe, że oskarżenie Manaforta o przestępstwa finansowe to strategia Muellera, by zmusić lobbystę do współpracy i złapać najgrubszą rybę. Tak w końcu Mueller rozpracował mafijną rodzinę Gambino w Nowym Jorku, posyłając za kratki wcześniej nieuchwytnego Johna Gottiego.

Dlaczego Manafort nie przyznaje się do winy, choć dowody są mocne? Może liczy na ulaskawienie przez Trumpa, może boi się zemsty swych wschodnich kontaktów? Tak czy inaczej, jeśli to on trzyma klucz do rozwiązania zagadki owej zmywy, jego milczenie może utrudnić Muellerowi doprowadzenie śledztwa do końca.

Ale niezależnie od tego, czy cała zмова była misterną intrygą, czy tylko zbiegiem okoliczności, pewne jest, że żadna odpowiedź nie zadowoli wszystkich i zawsze będą istniały podejrzenia co do jej rzetelności. Jeśli podważenie wiary w amerykańskie instytucje było pierwotnym celem rosyjskiej operacji, został już osiągnięty. ©



Paszke: kobieta, która wybrała życie w roli mężczyzny. Thethi w Albanii, 1996 r.

Zaprzysiężone dziewice trzymają się mocno

AGNIESZKA ROSTKOWSKA Z ALBANII

Od czasu do czasu w prasie pojawia się wzmianka o śmierci „ostatniej zaprzysiężonej dziewczyny”. Tymczasem na Bałkanach wciąż żyją kobiety, które złożyły przysięgę, że będą wyglądać i zachowywać się jak mężczyźni.

NIE PŁACZĄ PO SPÓDNICACH I ŚCIĘTYCH włosach, nie żałują, że musiały zrezygnować z intymnych relacji, małżeństwa i macierzyństwa. Bo przeistoczenie się w mężczyznę dało im wolność, o której jako kobiety mogły tylko pomarzyć. Większość z nich żyje dziś w trudno dostępnych górskich wioskach na północy Albanii.

Przemiana nie do poznania

Sędziwa dziś Szkurta stała się mężczyzną nie do końca świadomie. Decyzję pod-

jeli za nią rodzice, kiedy była małą dziewczynką. Wszystko przez wielkie nieszczęście: śmierć jej starszego brata.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu gospodarstwo, w którym zabrakło syna, było w Albanii postrzegane jako problem natury praktycznej, a wręcz logistycznej. Obowiązki dzielono bowiem na męskie i żeńskie. Dziewczynka bądź kobieta nie mogła tak po prostu przejąć męskich powinności. Chyba że została zaprzysiężoną dziewczicą.

Poza tym pozostawała jeszcze kwestia dziedziczenia, tylko w linii męskiej. Jeśli

w rodzinie nie było męskiego potomka powyżej 15. roku życia ani zaprzysiężonej dziewczyny, wówczas po śmierci pana domu gospodarstwo przechodziło na własność najbliższego krewnego wdowy. Brak syna oznaczał zatem spore ryzyko.

Ale przede wszystkim był powodem do wstydu, plamą na honorze. A w albańskiej tradycji honor to rzecz święta. Ważniejsza niż życie.

Mała Szkurta przyjęła decyzję rodziców, a wraz z nią męski odpowiednik swojego imienia: Szkurtan. Kilkanaście lat później trudno było uwierzyć, że tak naprawdę jest kobietą. Wyróżniały ją ciężki chód, mocny uścisk dłoni, nieznoszący sprzeciwu ton głosu i nieco szorstki sposób bycia.

Z kolei Paszke stała się mężczyzną późno i z własnej woli. Imienia nie zmieniła. Wychowywana była przez babcię i wujka, również w górskiej wiosce na północy Albanii. Na swoje osiemnaste urodziny dostała okrutny prezent: śmierć babci. A że nieszczęścia często chodzą parami, tuż potem jej wuj ciężko zachorował. W domu brakowało gospodarza, wuj potrzebował opieki. Paszke uznała, że nie ma wyboru. Została zaprzysiężoną dziewczicą.

Historie Szkurty i Paszke spisała brytyjska antropolozka Antonia Young w książce „Women Who Become Men. Albanian Sworn Virgins” (Kobiety, które stają się mężczyznami. Albańskie zaprzysiężone dziewice) opublikowanej w 2001 r.

Paszke była pierwszą zaprzysiężoną dziewcziną, którą Antonia Young poznała. – Siedziała w gronie mężczyzn, ubrana w elegancką koszulę i spodnie, ze szklanecczą winą w dłoni i papierosem wotkniętym za ucho. Tak ją zobaczyłam – mówi mi dziś Young.

Kodeks trwalszy niż komunizm

Nie wiemy, kiedy padła pierwsza przysięga. Nie ma dokumentów, które ułatwiłyby dociekania na temat początków tego zwyczaju, nie ma też zgody badaczy w tej kwestii. Pierwsze pisemne wzmianki o bałkańskich zaprzysiężonych dziewczinach pojawiły się w XIX stuleciu. Wcześniej nie ma o nich żadnych relacji pisanych – z jednym wyjątkiem, ale znamionym: „Kanunu”, kodeksu spisane w XV w. To zaś, jak zauważa Young, najprawdopodobniej oznacza, że już wtedy od wieków musiały być częścią „tradycyjnego życia”.

Antonia Young od wczesnych lat 50. XX w. prowadziła badania w ówczesnej Jugosławii. Ale zaprzysiężonymi dziewczynami zajęła się dopiero na początku lat 90. Dobrze pamięta, jak na międzynarodowej konferencji na temat kobiet podróżujących po Bałkanach, zorganizowanej na Uniwersytecie Bradford w 1987 r., badacze z całego świata spekulowali, czy to możliwe, aby zaprzysiężone dziewice jeszcze istniały.

Niemal wszyscy obecni przypuszczali, że zwyczaj ten zanikł w czasach komunizmu. Albo precyzyjniej: że został unicestwiony przez Envera Hodżę – komunistycznego dyktatora, który rządził krajem żelazną ręką od 1944 r. aż do swojej śmierci w 1985 r. Hodża zdelegalizował praktyki zawarte w „Kanunie” – kodeksie, którego nie miał się czas. Dokładnie 1262 artykuły, zawarte w 12 księgach, regulowały dosłownie każdy aspekt życia. Spisane w XV w., pięć stuleci później wciąż stosowane były w górskich wioskach Albanii.

– Komunistom udało się na pewien czas zmarginalizować rolę tego kodeksu. Ale po upadku komunizmu, kiedy okazało się, że kolejne rządy są tak słabe, że nie radzą sobie z egzekwowaniem prawa, ludzie wrócili do „Kanunu” – mówi mi Young.

Na poszukiwanie zaprzysiężonych dziewczyn pojechała po raz pierwszy w 1993 r., już po upadku komunizmu. – W tym czasie nawet mieszkańcy stołecznej Tirany nie wierzyli, że ta tradycja przetrwała – wspomina antropolozka. – A ci, którzy podejrzewali lub nawet wiedzieli, że na północy wciąż żyje niejedna zaprzysiężona dziewczina, w rozmowach zaprzeczali temu. Dlaczego? Bo zwyczaj ten uznawali za wsteczny, wstydzieli się go. Nie chcieli, aby ich kraj w oczach obcokrajowca wyszedł na zacofany.

Jednak właśnie z pomocą miejscowych w końcu udało jej się dotrzeć do wielu zaprzysiężonych dziewczyn. A te przyjęły ją z otwartymi ramionami. Bo gościnność to podstawa kodeksu „Kanun”.

Przysięga, czyli poświęcenie

To z tych podróży, długich rozmów i badań po siedmiu latach powstała książka „Women Who Become Men”. Oprócz tradycyjnych zwyczajów i ich historii Antonia Young z wielką dokładnością opisała w niej swoje bohaterki. Zamieściła ich imiona, zdjęcia, szczegółowo udokumentowała kolejne ich życia.

– Bardzo obawiałam się ich reakcji na tę publikację – wspomina dziś. – Jak się okazało, niepotrzebnie. Kiedy przejrzały książkę, kiedy opowiedziałam im, jak zostały przedstawione, były naprawdę zadowolone. Zresztą niemal wszystkie od początku z pełną otwartością odpowiadały na wszystkie pytania. Niczego nie starały się ukryć, zachować dla siebie. To zaskoczyło mnie najbardziej. Ta otwartość. I duma. Były bardzo dumne z tego, kim są.

Miały prawo do dumy. Większość z nich zrezygnowała z życia kobiety nie dla siebie, lecz z myślą o rodzinie, której poświęciły swoją wolność. Weszły w rolę gospodarza domu, opiekuna bliskich, gwaranta ich bezpieczeństwa oraz honoru.

Złożenie przysięgi często bliższe było więc poświęceniu niż emancypacji. Niektóre z zaprzysiężonych dziewczyn składały śluby tylko po to, aby móc pomścić śmierć brata bądź ojca w przypadku, gdy w rodzinie nie było mężczyzny. „Kanun” traktował zabójstwa honorowe jako powinność – konieczną, aby ocalić honor rodziny. Mógł ją wypełnić każdy mężczyzna, a nawet chłopiec (był wystarczająco duży, by utrzymać broń). Albo też – zaprzysiężona dziewczina.

Większość zaprzysiężonych dziewczyn zmagiała się z trudami życia zupełnie sa-

motnie. Nie znały się wzajemnie, nie kontaktowały. Nie wychodziły poza mikrokosmos swoich wiosek.

Jak oceniają decyzję o złożeniu ślubów z perspektywy czasu? Szkurtan na tego typu pytania nie odpowiada, o emocjach nie rozmawia. W jej odczuciu nie przystoi to mężczyźnie. Paszke po latach przyznała w rozmowie z Young: „Okoliczności były takie, że nie miałam wyboru. Wszystkim zaprzysiężonym dziewczynom, które również muszą żyć w ten sposób, współczuję”.

Paszke umarła 10 lat temu. Do końca swych dni cieszyła się szacunkiem swojej społeczności. Podobnie jak Szkurtan, która zmarła w marcu tego roku.

Wesele z piekła rodem

Ale były i takie, które zostawały zaprzysiężonymi dziewczynami, myśląc wyłącznie o sobie. Przysięga była dla nich jedynym sposobem, aby uniknąć aranżowanego małżeństwa. Rodzice powszechnie żenili dzieci w dowód przyjaźni rodzin, planując im przyszłość niekiedy jeszcze przed ich narodzinami. W efekcie wiele par wdziało się na oczy po raz pierwszy dopiero na własnym ślubie.

Dla panny młodej dzień ten był szczególnie trudny. Antonia Young tak to ujęła w swojej książce: „Panna młoda jest jedyną osobą, która nie bierze udziału w weselu. Podczas gdy goście jedzą i piją, ona stoi z oczami utkwionymi w podłogę. Po przeprowadzce do domu męża zajmuje miejsce w kącie, gdzie stoi bez ruchu, bez podnoszenia oczu, z rękoma złożonymi na piersiach. W takiej pozycji, bez jedzenia i picia, ma wytrwać trzy dni i trzy noce”.

To, jak dotkliwie były dla niej następne miesiące, zależało wyłącznie od rodziny męża: jak bardzo obciążyła ją praca czy pozwoliła się odzywać (niepytana nie mogła zabierać głosu przez sześć miesięcy) albo odwiedzać bliskich. Nic więc dziwnego, że wiele kobiet szukało ucieczki – właśnie w przysiędę.

Niektórzy doszukiwali się w tym również drugiego dna: rzekomo homoseksualnych skłonności zaprzysiężonych dziewczyn. Ale badacze są zgodni: nic na to nie wskazuje. Takiego zdania jest też Antonia Young. – Koncept homoseksualizmu wśród kobiet był obcy wszystkim zaprzysiężonym dziewczynom, z którymi rozmawiałam – zaznacza.

Można sobie wyobrazić, że ucieczka w taką przysięgę przed niechcianym małżonkiem musiała być konsekwencją →



ARCHIWUM ANTONII YOUNG

Antonia Young z Paszke podczas jednej z podróży antropolożki do Albanii

→ wyjątkowej determinacji. Bowiem niezależnie od tego, jakie były motywacje kobiet, które ją składały, wszystkie obowiązywała ta sama zasada: od decyzji nie było odwrotu, przysięga wiązała je na całe życie. Złożona w złej wierze, np. bez zamiaru do trzymywania, miała przynieść rodzinie hańbę (według reguł hańba taka miała ciążyć na rodzinie przez kolejnych siedem pokoleń).

Nie chcą już rozmawiać

Antonia Young zapewnia mnie, że te tradycje wciąż żyją w górach Albanii.

– Małżeństwa aranżowane niewiele straciły na popularności. Praktykowane są przez ludzi zarówno z wyższych, jak też z niższych warstw społecznych. Poza Albanią w Europie nie ma drugiego społeczeństwa, w którym rozpowszechnione byłyby na taką skalę – zaznacza.

Ale zaprzysiężone dziewice nie chcą już rozmawiać. – Większość ma dość badaczy i reporterów. Jeśli uda się je przekonać, za rozmowę żądają wysokiej zapłaty. Są tacy, co płacą, ale wtedy rodzi się pytanie, czy

zyskują prawdziwą historię, czy jej życzeniową wersję – mówi mi Young.

Antropolożka chętnie porozmawiała jeszcze w szczególności z Medi. Była to najmłodsza – wówczas 22-letnia – z zaprzysiężonych dziewcz, które poznała. A zarazem jedna z tych, które zdołały zaadaptować tradycję do zmieniającego się świata.

Young: – Medi była jedną z niewielu miejskich dziewcz. Mieszkała w stolicy, Tiranie, z dala od rodziny. Zdobyła wykształcenie, ubierała się na zachodnią modłę. Będąc tak postępową, jednocześnie zdawała się być niepewna swojej roli, nieśmiała, nawet nieco zagubiona. Przynajmniej w czasie naszej pierwszej rozmowy. Obecnie Medi nie chce, aby ktokolwiek się z nią kontaktował, więc nie dowiemy się, jak przystosowała się do nowego modelu życia i rzeczywistości dynamicznie zmieniającego się miasta, jakim jest Tirana.

Od czasu publikacji jej książki minęło 17 lat. W międzyczasie Albania poczyniła kroki na rzecz równouprawnienia płci. Milowy krok w 2008 r., wprowadzając

30-procentową kwotę dla kobiet na stanowiskach decyzyjnych. W ciągu ostatnich 10 lat liczba posłanek w albańskim parlamencie wzrosła z 7 do 28 proc. Ośmiu na 20 ministrów w rządzie oraz dziewięciu na 61 burmistrzów to kobiety. Choć wciąż zarabiają mniej od swoich kolegów: w miastach średnio o 18 proc., na wsiach o połowę mniej (to dane ONZ).

W nowych czasach

Jednak to nie liczby są kluczowe, lecz to, co można wyczytać między wierszami.

Agustela Nini-Pavli z albańskiego biura ONZ zwróciła niedawno uwagę na następujące fakty: „19 sierpnia 2017 r. w okolicach miasteczka Fier 53-letnia kobieta została zabita w czasie pracy w polu, mąż załutkował ją narzędziem, którym pracowała. 20 sierpnia w mieście Elbasan jeden z byłych posłów groził śmiercią swojej partnerce. 21 sierpnia na przedmieściach Tirany mężczyzna zabił żonę, a potem sam popełnił samobójstwo. Oprócz samej fali przemocy wobec kobiet przeraża brak jakiegokolwiek reakcji społecznej. Tego typu informacje nie powodują żadnych protestów. Media podają je z taką częstotliwością, że stały się częścią codziennego życia”. Według danych ONZ 60 proc. Albańczyk w wieku 15-49 lat doświadczyło przemocy domowej.

Biorąc pod uwagę, jak ogromna jest skala dyskryminacji kobiet w Albanii, narzuca się pytanie: czy przysięgi w takim kształcie jak kiedyś wciąż jeszcze są składane?

– Bardzo chciałabym to zbadać! – mówi mi z przejęciem Antonia Young. – Sądzę, że to możliwe. Choć prawdopodobne jest, że obecnie takie decyzje zapadają w sposób mniej formalny.

– Badacze mają problem z określeniem, jak wiele zaprzysiężonych dziewcz wciąż żyje na Bałkanach. Nie ma oficjalnych statystyk. W mojej książce szacowałam wtedy, że było ich około setki, i nie zdziwiłabym się, gdyby to wciąż była prawda. Nie wszystkie zostały odkryte i opisane, o wielu z nich nic nie wiemy – opowiada antropolożka.

Po chwili dodaje: – W ostatnich latach spotykałam Albanki, które mówiły: „Nie pozwolę się tłamsić, zabijać mojego indywidualizmu, chcę swobodnie podejmować decyzje o własnym życiu”. I zaczynały żyć jak mężczyźni. Ale przysięgi jako takiej nie składały. Czy one są więc współczesnymi zaprzysiężonymi dziewczycami? To otwarte pytanie... © AGNIESZKA ROSTKOWSKA

WOJCIECH

Bonowicz: Żaby



BARDZO PRZYJEMNIE JEST OBSERWOWAĆ, CO wyrabia prezydent Trump. Człowiek zapomina na chwilę o polskich kłopotach, a zajmuje się amerykańskimi. Zamiast sobie współczuć, Amerykanom współczuje. „Nasz prezydent coś palnął? Eeee, posłuchaj tamtego”. Beka za darmo. To znaczy za darmo o tyle, o ile. Ktoś za to przecież zapłaci i skąd wiadomo, że akurat nie my. No ale póki co – nie martwmy się. Nawet popierajmy. Program jest rozrywkowy, łapać się za głowy będziemy potem.

Nasz myślał, myślał i wymyślił, że my, lud, mamy podyktować prawnikom konstytucję. Świetny pomysł! Ja w ogóle jestem za tym, żeby lud wszystko dyktował, a prawnicy tylko ewentualnie spisywali i jeszcze opłaty notarialne ludowi wnosili, bo się należą. Nie bardzo tylko rozumiem, po co robić referendum; wystarczy przejść się po losowo wybranej galerii handlowej, ludu tam teraz pod dostatkiem, można zapytać, zanotować i konstytucję na pewno się z tego zrobi. Każdy przecież jakieś pomysły ma: jeden każe zlikwidować sądy, inny Sejm rozpedzić, jeszcze inny wsadzić burmistrza do ciupy, a przedtem wychłostać. Tym trzeba zabrać, tamtym dodać, a przede wszystkim – należy obniżyć podatki i wydatki zwiększyć. Wczasy mają być tanie, jedzenie tanie i mieszkania też tanie, a za moją robotę żeby mi płacili dwa razy więcej niż teraz. Wszystko to można w konstytucji zapisać, niech by nawet były tam zapisy wzajemnie sprzeczne. Przecież i tak konstytucji przestrzegać nie trzeba, więc wszystko jedno, co się tam znajdzie.

W jednym tylko nasz prezydent okazał się niekonsekwentny. Zaproponował na referendum pytania, które są zupełnie nie po

naszemu. Już poprzednio mu się ten sam błąd przydarzył. „Czy jest Pani/Pan za konstytucyjnym zagwarantowaniem szczególnej ochrony pracy jako fundamentu społecznej gospodarki rynkowej...”. Kto tak mówi? My? Jakież elity mu to chyba napisały! Lud podwójnym dopełniaczem się nie posługuje, a na społeczną gospodarkę rynkową mówi zupełnie inaczej. Tyle takich przymiotników w jednym krótkim zdaniu? Oczywiście, widzę ratunek. Trzeba szybko te pytania dać do przetłumaczenia pani profesor Krystynie Pawłowicz. Ona język ludu (czy raczej jeden jego dialekt – bo to mowa zaledwie części ludu i to w określonym stanie) zna doskonale. Na pewno znajdzie na wszystko odpowiednie, godne konstytucji określenia. Chlewu w każdym razie nie zrobi.

Program jest rozrywkowy, ale czasem człowiek czuje się tak, jakby ktoś stał za jego plecami, palce wskazujące wsuwał mu do ust i kąciaki ust w górę podnosił. Albo jakby łachotał go w pięty i tym sposobem śmiech wymuszał. Czuję się tak łachotany, ilekroć czytam, jak politycy i publicyści powołujący się na najwyższe konserwatywne wartości, biorą prezydenta Trumpa w obronę. Ba, żeby w obronę! Oni go nie tłumaczą, oni z zachwyty pieją. Wszak dzięki jego działaniom nowy porządek się wyłania, w którym to porządku ich – jak wierzą – będzie na wierzchu. Stół wywrócony, klocki rozsypane, można je będzie na nowo poskładać. Co mam powiedzieć? Że nie podoba mi się styl, w jakim ten stół się wywraca? Że podejrzanie mi to wygląda bardzo, a na dodatek z prawdziwym konserwatyzmem (nie mówiąc o chrześcijaństwie) niewiele ma wspólnego? Z wiarą dyskutować trudno, więc milczę i argumentu nasłuchuję, ale zamiast tego słyszę, jak raz po raz żabę przełykają. Przełkną, popiją, tokują dalej. A ledwo przełkną, znów prezydent (tamten) z nową żabą wyskakuje. Już i nasz premier łykać się nauczył. „Dobra żaba – mówi – niczego sobie żaba. Mógł przecież gorszą żabą nas poczęstować, a tu tylko taką...”.

W jednym natomiast prezydent Trump bardzo mi się przydaje: w wychowaniu. Włączam telewizor, on akurat przemawia, więc wołam syna, żeby chwilę pooglądał, a potem mówię: „Synu, masz być zupełnie innym mężczyzną niż ten pan. Zupełnie innym”. I to wystarczy. ©

REKLAMA

PERSPEKTYWA
WIEKU
DOJRZEWANIA

SZAPOCZNIKOW
WRÓBLEWSKI
WAJDA



23.06 – 30.09.2018

Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowolskiego 1
40-205 Katowice
www.muzeumslaskie.pl



Muzeum
Śląskie



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Muzeum Śląskie jest instytucją kultury
Samorządu Województwa Śląskiego
współprowadzoną przez Ministerstwo
Kultury i Dziedzictwa Narodowego

OKRUCHY CYWILIZACJI

Rola chleba w historii ludzkości od zawsze zdawała się
nie do przecenienia.
Teraz okazuje się jeszcze większa.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

PALENISKO MIAŁO OKOŁO METRA ŚREDNICY, zbudowano je z płaskich, bazaltowych kamieni. Znajdowało się pośrodku prehistorycznej struktury zachowanej pod półmetrową warstwą osadów. Ponad nim, w późniejszej fazie osadnictwa, powstał kolejny, podobny budynek z paleńskim. Stanowisko archeologiczne Shubayqa 1 w północno-wschodniej Jordanii odkryli w latach 90. Brytyjczycy, a przebadali między 2012 a 2015 r. archeolodzy z Uniwersytetu Kopenhaskiego.

Lud, który zamieszkiwał to miejsce, nazywa się czasem Natufijczykami, od kultury natufijskiej, obejmującej obszar dzisiejszego Bliskiego Wschodu od Izraela po północną Syrię. Wiek stanowiska Shubayqa 1 sięga 14,6 lat. Natufijczycy, którzy podtrzymywali ogień w tutejszych paleńskich, byli ostatnimi łowcami-zbieraczami.

W reliktach paleniska archeolodzy znaleźli 642 okruchy zwęglonych resztek pożywienia. 24 z nich okazały się zupełnie wyjątkowe: były okruchami prehistorycznego pieczywa datowanego na ok. 14,4–14,2 tys. lat temu.

Odkrycie to zmienia nasze wyobrażenia o początkach cywilizacji.

Łan numer one

Najstarsze znane dotąd pozostałości chleba pochodzą z neolitycznych stano-

wisk archeologicznych w Europie i południowo-zachodniej Azji, zamieszkiwanych przez wczesne, ale w pełni już rozwinięte i osiadłe społeczności rolnicze sprzed ok. 9,1 tys. lat, dysponujące udomowionymi roślinami uprawnymi. I choć wiadomo było, że już łowcy-zbieracze schyłku paleolitu nauczyli się żywić ziarnami dzikich roślin, to wynalezienie pieczywa – a mowa tu o płaskich podpłomykach czy naleśnikach z mąki i wody – wiązano dotąd właśnie z tzw. rewolucją neolityczną, kiedy ludzie nauczyli się uprawy.

Okolo 12 tys. lat temu kończy się ostatnie zlodowacenie plejstoceny i zaczyna nasza epoka: holocen. Południowa część Europy i Bliski Wschód stają się trawiastym stepem. Wraca cykl mokrych zim i suchych lat. Wokół Morza Śródziemnego i pomiędzy Morzem Czarnym a Kaspijskim rozprzestrzeniają się trawy dobrze przystosowane do trudnych, suchych warunków. Ich kłosa pękają, gdy ziarna są dojrzałe, dzięki czemu może je rozsiać wiatr. Długie wasy chronią przed gryzoniami, a skrobia umożliwia szybki wzrost. Wszystko to razem sprawia, że trawy błyskawicznie opanowują kolejne, nawet najsurowsze terytoria.

Są wśród nich dzikie zboża. Pszenicę płaskurkę i samopszę, bogate w skrobie i białka, i dające obfity zbiór, szybko uczą

się wykorzystywać paleolityczne plemiona.

Nasza epoka jest epoką traw. Niedaleko Aleppo w Syrii archeologowie na początku lat 70. odkryli relikty neolitycznej, zamieszkiwanej przez Natufijczyków osady Abu Hurejra – w typie zwanym przez archeologów *tell*, czyli płasko ściętego stożka usypanego z tego, co zostawało po kolejnych pokoleniach mieszkańców. Początkowo osadę zamieszkiwała garstka łowców-zbieraczy, a w warstwach archeologicznych z tego okresu zachowały się ślady około 120 roślin dających nasiona, w tym 34 traw, które wchodziły w skład ich diety. Z kolejnymi pokoleniami mieszkańców osady ich menu coraz bardziej się zawęża. W końcu obejmuje już tylko kilka odmian pszenicy, żyta i jęczmienia, do tego soczewicę i ciecierzycę. Rośnie za to populacja: Tell Abu Hurejra staje się miastem, zamieszkiwanym stale przez 4-6 tys. ludzi.

W Jerychu, w dziesiątym tysiącleciu przed naszą erą tamtejsze obozowisko natufijskich łowców-zbieraczy także zmienia się w wieś. W ówczesnych osadach pojawia się nowość: odmiany jęczmienia i pszenicy o mocniejszej łupinie, których nasiona nie wypadają samoistnie, jak w trawach, lecz dojrzewają – i czekają na zbiór – w kłosie. Rolnik nie ryzykuje więc, że nim się obejrzy, jego plon zostanie rozniesiony na cztery wiatry. Ludzie suk-





ALEXIS PANTOS / SHUBAYQA PROJECT

Pozostałości najstarszego z zabudowań na stanowisku archeologicznym Shubayqa 1, z paleniskiem, w którym znaleziono okruchy pieczywa sprzed 14 tys. lat

Uniwersytetu Kopenhaskiego Lara Gonzalez Carratero z Instytutu Archeologii University College London. – My ustaliliśmy nowy zestaw kryteriów, pozwalający zidentyfikować produkty przypominające znane z innych badań archeologicznych podkłomyki, ciasta czy owsianki”.

24 okruchy obejrzano dokładnie pod skaningowym mikroskopem elektronowym, co pozwoliło dostrzec szczegóły wielkości 500, a nawet 50 mikrometrów. Rozmiary pęcherzyków w cieście to informacja, czy mamy do czynienia z ciastem zakwaszonym i wyrośniętym, czy z płaskim podkłomykiem. Wybrzuszony wzór na połamanych krawędziach mikrostruktur będzie świadczył o tym, że ziarna zmielono, zanim uległy spaleni. Rozmiar drobin zachowanych w okrucu otrąb powie badaczom, czy i jak dokładnie mąka była przesiewana. Mała ilość lub brak pozostałej skrobi to znak, że ciasto z mąki upieczono – bo skrobia ulega wtedy żelowaniu i podatna jest na rozkład. Wreszcie, zachowane struktury roślinnych tkanek i rodzaj skrobi pozwalają stwierdzić, z jakich ziaren pieczywo powstało.

I tak wyszło na jaw, że placki z Shubayqa 1 wyrabiano z dzikich odmian pszenicy, żyta, prosa i owsa, ale nie wykluczono też jęczmienia. Do niektórych ówczesni piekarze dodawali też bulwy sitowca – rośliny z rodziny turzycowatych, które były ważnym elementem ich diety i – jak wykazali archeolodzy doświadcza – lepiej smakują, gdy się je przerobi na kleik lub mąkę, niż ugotuje.

Dzięki takiej analizie badacze mogli jednak ustalić coś więcej niż listę składników ciasta. Udało się im odtworzyć całą procedurę wypiekania natufijskich podkłomyków! Ziarna dzikich zbóż wielokrotnie mielono, przesiewano i starannie owiewano, żeby usunąć plewy, aż uzyskiwano mąkę podobną do dzisiejszej. Następnie mieszano ją z wodą, tworząc gęste ciasto, i pieczono w popiele lub na rozgrzanym kamieniu.

Był to więc bardzo pracochłonny proces – zwłaszcza w warunkach, w jakich żyli wciąż jeszcze przecież nomadyczni łowcy-zbieracze, którzy naprawdę oszczędnie musieli gospodarować czasem. Po co więc poświęcali tyle energii na upatrane

cesywnie wybierali spośród plonów i odkładali na zasiew takie kłosa: w Jerychu odkryto świadectwo efektów cierpliwej, hodowlanej selekcji. Ono samo zmienia się wtedy w olbrzymią jak na tamte czasy, bo obejmującą cztery hektary, aglomerację (o natufijskich pierwszych rolnikach pisaliśmy w „TP” 8/2018: powszech.net/pierwsirolnicy).

Żeby w pełni korzystać z dobrodziejstw nasion, trzeba prowadzić osiadły tryb życia. Tylko wtedy można rok po roku wybierać te najlepsze, siać je i znowu zbierać – czyli doskonalić dzikie rośliny tak, aż powstaną odmiany uprawne. Ale żeby prowadzić osiadły tryb życia, trzeba korzystać z nasion. Bo gromada łowców-zbieraczy, gdyby gdzieś na stałe osiadła, błyskawicznie zużyłaby miejscowe zasoby naturalne. Pierwotne społeczności były nomadyczne, ale rolnictwo całkiem zmienia zasady gry. Umożliwia gromadzenie zapasów, wyżywienie większych społeczności. Mogą powstać wsie i miasta.

Rośliny uprawne są nie tylko pożywieniem dla ludzi, lecz też paszą dla zwierząt: w ślad za uprawą idzie więc ich udomowienie, selekcja, a w końcu hodowla. Gromadzone zapasy zaś są również kapitałem i narzędziem władzy. Na zwanych „Żyznym Półksiężycem” terenach od Nilu po Tygrys, Eufrat i Zatokę Perską wraz z uprawami zbóż rośnie Egipt, Izrael,

Fenicia, Syria i Babilon. Ziarna rodzą cywilizację.

U zarania tego procesu Natufijczyków do efektywniejszego pozyskiwania roślin skłonił zapewne niedostatek grubej zwierzyny, wynikający ze zmian klimatu. Odkrycie z Shubayqa 1 sugeruje jednak coś jeszcze. Bo skoro znalezione tu okruchy podkłomyków okazały się o przynajmniej 4 tys. lat starsze od początków rolnictwa, to znaczy, że to nie chleb zawdzięczamy wynalezieniu rolnictwa, lecz odwrotnie.

„Możliwe, że wczesne i niebywale czasochłonne wytwórstwo pieczywa na bazie dzikich zbóż mogło być jednym z kluczowych czynników prowadzących do późniejszej rewolucji rolniczej, dzięki której dzikie zboża zaczęto uprawiać dla dogodniejszego pozyskania źródeł pożywienia” – stwierdza dr Amaia Arranz-Otaegui z Uniwersytetu Kopenhaskiego, współautorka lipcowej publikacji, w której brytyjsko-duński zespół naukowców ogłosił wspomniane w pierwszych zdaniach tego artykułu wyniki badań okruców z natufijskich placków.

Chleb pod mikroskopem

Jak stwierdzić, z czego pochodzi zaszuszona czy wypalona drobiną sprzed tysięcy lat? „Identyfikacja »chleba« czy innych produktów zbożowych w archeologii to nie taka prosta sprawa – mówi w materiale

→ w popiele naleśniki? Autorzy badań zadali sobie również i to pytanie.

Wielorakie korzyści z pieczywa

Dla ludzkości wynalezienie chleba oznaczało zamianę ciężkostrawnych ziaren traw w uniwersalne dla niemal wszystkich kultur pożywienie. Łuskanie, mielecie, przesiewanie i wianie pozwala usunąć niestrawne, bo obfitujące w celulozę części rośliny, a obróbka termiczna sprawia, że żelowaniu ulega skrobia i w efekcie trawimy ją bez porównania wydajniej. W wysokiej temperaturze rozkładają się też roślinne toksyny.

Autorzy omawianych badań zauważają także drugi powód: pozostałe przy paleniskach resztki sugerują, że podpłomyki w Shubayqa 1 upieczono na krótko przed opuszczeniem tego miejsca. Może więc chodziło o sposób przechowania zebranego pożywienia w postaci lekkich, pożywnych i łatwych w transporcie placzków, które nadają się do spożycia przez wiele miesięcy?

Wskazują oni jednak jeszcze na trzeci powód. Otóż pracochłonny wypiek, przemiana twardych darów ziemi w nieporównywalny z niczym dotąd pokarm, stanowi potężny symbol. Równocześnie badania archeologów pokazują, że w mezolicie, gdy żyli Natufijczycy, podstawą diety były raczej drobonasienne trawy, owoce, orzechy i korzenie, a zboża konsumowano rzadziej. Oznaczałoby to, że chleb stanowił raczej pokarm wyjątkowy, ceremonialny, zarezerwowany na szczególne okazje. Podpłomyki, zdaniem autorów, mogły być związane z ucztowaniem, świadczyć o zaможności i prestiżu społeczności, imponować gościom.

Szło więc nie tylko o strawność czy wygodę w transporcie. To właśnie doświadczenie transformacji nieatrakcyjnej, mdłej mącznej papki w pokarm pobudzający zmysły, wspomnienia i uczucia mogło zainspirować ludzkość do zainteresowania się zbożami. I tak jak setki tysięcy lat wcześniej w przypadku pieczonego mięsa, tak i teraz kluczową rolę bez wątpienia odegrał jeszcze jeden, pozornie banalny czynnik: smak.

Gdy mąka zostaje zmieszana z wodą, ruszają do pracy zawarte w ziarnie enzymy: ich zadaniem w naturze jest zadziwiać wtedy, gdy nadchodzi czas kiełkowania. Amylaza rozkłada skrobię – znakomitą do magazynowania pokarmu, ale bezużyteczną dla kiełkującej rośliny – na

W reliktach paleniska archeolodzy znaleźli 642 zwęglone okruchy pożywienia. **24 z nich to najstarsze znane nauce resztki pieczywa.**



Jeden z okruchów w powiększeniu wykonanym skaningowym mikroskopem elektronowym. Analiza m.in. rozmiarów pęcherzyków, kształtów struktur i śladów tkanek roślinnych pozwoliła zidentyfikować go jako pozostałość po wyrobieniu podpłomyków.

cukry proste, a proteaza zaczyna rozkładać białka na aminokwasy: pojawia się słodycz i obiecujący sytość smak umami. W wysokiej temperaturze enzymy przyspieszają działanie i żeluje skrobia. Cukry karmelizują, z bezwonnej substancji zmieniając się w setki nowych, niosących aromaty związków. Reagują też z aminokwasami w jednym z najbardziej twórczych dla smaku procesów w naturze: reakcjach Maillarda. W efekcie pieczywo rozwija paletę woni, od owocowych po orzechowo-korzenne. Swoje robi również dym: w wysokiej temperaturze nadająca drewnu sztywność lignina rozpada się na lotne związki fenoli, z których wiele odbieramy jako zapachy ostre lub słodkawe.

Tak więc pożywność i poręczność, symbolika i smak – wszystko to sprawi, że przez kolejne millenia pieczywo i inne produkty zbożowe zaczną się stawać podstawowym pokarmem ówczesnych ludzi. Apejtyt na nie pobudzi ich zaś do odkładania co lepszych ziaren na zasiew. Będą sporządzać sierpy i żarna, osiadać, osuwając zwierzęta, rozbudowywać swoje osady. 9 tys. lat temu pieczone chlebowe pojawiają się w gospodarstwach rolniczych południowo-zachodniej Azji. Chleb jest już powszedni.

Natufijskie placiki dają początek takiemu światu, jaki dziś znamy.

Ferment u zarania

Oczywiście, jest też konkurencyjna teoria. W pochodzącej sprzed ok. 11 tys. lat monumentalnej budowli Göbekli Tepe na terenie dzisiejszej południowo-zachodniej Turcji, miejscu – jak się uważa – kultu, gdzie ówcześni łowcy-zbieracze gromadzili się na huczne uczty, znaleziono wapienne koryta o pojemności nawet do 160 litrów. Stwierdzono w nich ślady szczawianów. A te powstają w procesie fermentacji alkoholowej zboża.

Otóż część naukowców uważa, że ludzkość nie zaczęła się interesować uprawą zbóż ze względu na produkcję pieczywa, lecz piwa. Znalezione w Göbekli Tepe świadczą, że również piwo zostało wynalezione jeszcze przed rolnictwem. I zaiste, również ono ma niewymagający głębszych wyjaśnień potencjał, by zainspirować człowieka do uprawy zbóż. Datowanie okruchów z Shubayqa 1, przeszło trzy millenia starszych od piwa z Göbekli Tepe, przemawia raczej za tym, że rewolucję neolityczną zawdzięczamy pieczywu. Ale przecież jedno drugiego nie wyklucza.

Tak czy inaczej, na scenę wkracza tu jeszcze jeden czynnik. Być może najwcześniej udomowiony przez człowieka organizm: drożdże. Pozyskując energię z glukozy, wytwarzają one alkohol oraz dwutlenek węgla. Temu pierwszemu ludzkie z Göbekli Tepe zawdzięczali niepowtarzalną atmosferę swoich uczt. Temu drugiemu zawdzięczamy chleb w dzisiejszej postaci. Historycy dość zgodnie twierdzą, że wynaleźli go starożytni Egipcjanie, około 6 tys. lat temu – najpewniej przypadkiem.

Chleb stanie się podstawowym pokarmem i potężnym symbolem: ofiarą dla bogów, znakiem wspólnoty i życia.

© MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Korzystałem m.in. z: Amaia Arranz-Otaegui i in. „Archaeobotanical evidence reveals the origins of bread 14,400 years ago in northeastern Jordan”, „Proceedings of the National Academy of Sciences”, lipiec 2018; „Archeologists discover bread that predates agriculture by 4,000 years”, University of Copenhagen, news.ku.dk, 16 lipca 2018; Maguelonne Toussaint-Samat „Historia naturalna i moralna jedzenia”, W.A.B. 2002; Thor Hanson „Tryumf nasion”, A4 Oficyna 2016.

Tekst zawiera fragmenty książki autora o jedzeniu i nauce, która ukaże się w styczniu 2019 r. nakładem wydawnictwa Znak.



ESA/ROSCOSMOS/CASSIS/ CC BY-SA 3.0 IGO

Warstwy lodowych osadów na południowym biegunie Marsa: ich zabarwienie zależy od ilości pyłów w lodzie

Ledwie płyn, ale płyn

ŁUKASZ LAMŻA

**Na Marsie odkryto wodę w stanie ciekłym.
Tym razem chyba naprawdę.**

MAŁO TEMATÓW TAK ELEKTRYZUJE świat badaczy Układu Słonecznego – i nas, którzy śledzimy ten świat z przejęciem – jak woda na obcych planetach.

W naszym układzie planetarnym istnieje tylko garstka miejsc, gdzie woda ma szansę występować w stanie ciekłym, choć wody w sensie chemicznym, czyli H_2O , oczywiście nie brak. Obok naszej kochanej planety ciekłe są tylko oceany ukryte głęboko pod wielokilometrowej grubości skorupami lodowymi ciał zewnętrznych Układu Słonecznego – jak Enceladus czy Europa. 25 lipca dowiedzieliśmy się, że do tego elitarnego grona najprawdopodobniej należy Mars.

NA MARSIE KIEDYŚ BYŁA CIEKŁA WODA – to wiadomo od lat. I było jej sporo. Potężne wawy pozostałe po rzekach, grube warstwy osadów, a nawet ślady potężnego oceanu na północnej półkuli planety nie pozostawiają wątpliwości: Czerwona Planeta była błękitna. Było to jednak miliardy lat temu, a dziś Mars wydaje się suchy jak pieprz. To zastanawiające – bo te kilometry szczęśliwych wód musiały gdzieś się podziać. Część wody mogła zupełnie dosłownie wyparować i uciec w kosmos, jednak obliczenia nijak się nie zgadzają: nie mogła w ten sposób zniknąć cała marsjańska hydrosfera. W światku planetologów tli się więc przekonanie, że schowana głęboko w warstwach skalnych woda czeka na odkrycie.

Gdy słyszymy słowo „woda”, przed oczami staje nam szklanka pysznej, klarownej cieczy, która daje życie naszej planecie. W Układzie Słonecznym występuje ona jednak najczęściej w postaci brudnego, zapylonego lodu. Woda pozostaje płynna tylko w bardzo wąskim zakresie 0-100 st. C. Na powierzchni Marsa panuje tymczasem średnia temperatura -63 st. C. Choć więc od dekad wiemy o obecności na Marsie lodu wodnego – który obok lodu z dwutlenku węgla stanowi jeden z głównych składników potężnych czap lodowych na biegunach Marsa – dotychczas nikomu nie udało się przyszpilić wody w postaci wody.

Intrygujące wskazówki napłynęły we wrześniu 2015 r., kiedy NASA doniosła o pojawianiu się ciemnych smug na niektórych marsjańskich stokach. Wyglądały, jakby fragment stoku... spłynął. Jednak trudno było zrozumieć, jak w tak niskich temperaturach woda może płynąć. Do dziś uznaje się zwykle, że za te smugi odpowiada silnie nasycona solanka – woda z rozpuszczonymi w niej znacznymi ilościami soli magnezu czy chloru. Mogłaby ona być też przepełniona drobinami pyłu, tworząc gęstą, brudną pastę, a nie szmerzący strumyk.

25 LIPCA W CZASOPIŚMIE „SCIENCE” ukazał się artykuł R. Orosei i innych włoskich badaczy, którzy wykryli – przy pomocy danych z radaru sondy Mars Express – warstwę południowej czapy polarnej Marsa,

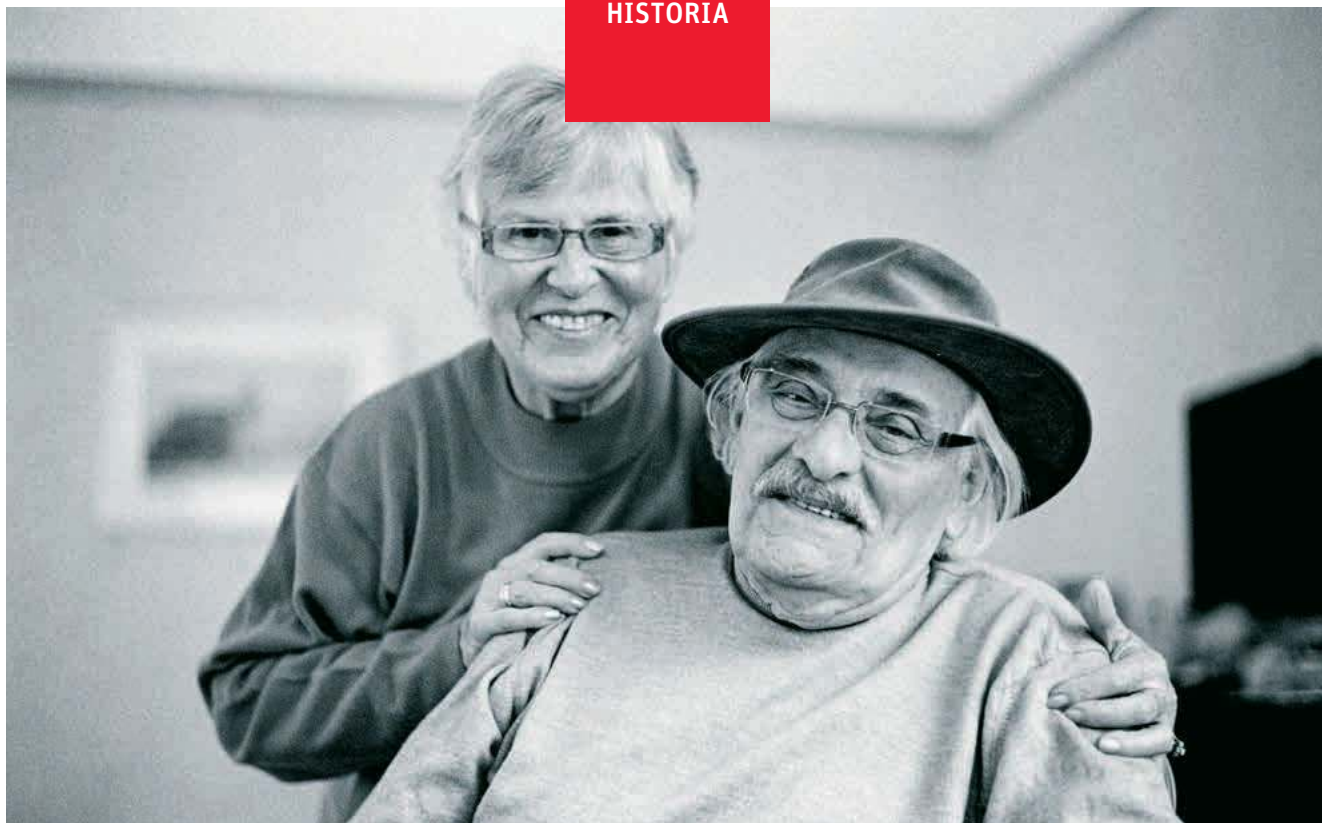
która wydaje się płynna. Mowa o obszarze ok. 1,5 km pod powierzchnią lodu, o średnicy ok. 20 km. Sygnał radarowy przenika lód, odbijając się od wszelkich napotkanych po drodze niejednorodności, a ze sposobu jego odbijania się można wywnioskować, jakie właściwości ma materiał pod powierzchnią. Podczas rutynowego „nasłuchiwania” naukowcy wykryli warstwę zbyt „jasną” i „gładką” (na obrazie radarowym), jak na sztywny lód czy osady. Wydaje się, że mamy do czynienia z ciałem płynnym.

Lód na tej głębokości powinien mieć ok. -70 st. C. Nawet dodatki chemiczne – jak najrozmaitsze sole, zwłaszcza tzw. nadchlorany, czy rozrobiony w wodzie pył – to za mało, żeby w tych warunkach woda była płynna. Na ratunek przychodzi ciśnienie; przy zwiększonym ciśnieniu spada temperatura topnienia: zjawisko to wykorzystują łyżwiarze, którzy ślizgają się tak naprawdę na cieniutkiej warstwie wody powstałej z nadtopionego pod ciśnieniem ostrza łyżwy lodu. Gdy zsumuje się wpływ dodatków i ciśnienia, jest ledwo, ledwo możliwe, że obszar pod marsjańskim lodem mógłby być ciekły. To więc znów brudny, zapiaszczony ledwie-płyn. Ale jednak płyn!

MEDIA ROZGORZAŁY OCZYWIŚCIE od fantazji o ukrytym w marsjańskim jeziorze życiu. Rzeczywiście, znamy z ziemskiego doświadczenia przypadki schowanych głęboko pod antarktycznym lodem jezior, w których kwitną mini-ekosystemy, głównie bakteryjne. Ale te jeziora tętnią od życia tylko dlatego, że cała nasza planeta prześląknięta jest nim na wylot z mocą, z którą rozchodzą się epidemie, a chwasty rozsadzają chodnik. Powierzchnia Marsa jako żywo – *nomen omen* – tak nie wygląda i trudno o prostą analogię „skoro woda, to i życie”.

Z drugiej strony – kto wie?

©



CHUCK FISHMAN / GETTY IMAGES

Żona i mąż: Ada i Samuel Willenbergowie, Warszawa, 2013 r.

IMIĘ Z INICJAŁÓW

„Nie miałam zwyczajnego dzieciństwa. Rodzice stale mówili o Treblince”
– opowiada Orit Willenberg-Giladi, izraelska architekt i córka Samuela Willenberga,
uczestnika powstania w tym obozie zagłady.

PATRYCJA BUKALSKA

SWOJĄ KSIĄŻKĘ, KTÓRA OPOWIADA o zbrojnym powstaniu więźniów Treblinki – 75 lat temu, 2 sierpnia 1943 r. – Samuel Willenberg zaczął tak: „Ryk syreny przerywa swym żalosnym wyciem ciszę pogodnego kwietniowego poranka. Ulice miasta, oświetlone ciepłymi promieniami słońca, owiane są zapachem dochodzącym z okolicznych gajów pomarańczowych. Jadę z żoną i córką do pracy zatłoczonymi ulicami Tel Awiwu. Ruch uliczny zamiera.auta zatrzymują się. Znajdując się w nich pasażerowie i kierowcy wyśiadają. Wszyscy stoją wyprostowani na baczność. Każdy przy swoim aucie. Roznoszący się w tej chwili nad całym Izraelem

ryk syren obwieszcza początek dnia zagłady. Minuta ciszy poświęcona jest pamięci 6 milionów zgładzonych”.

Jego książka „Bunt w Treblince” to relacja o walce o życie i godność w obozie śmierci. Jej autor był jednym z kilkudziesięciu zaledwie więźniów Treblinki, którzy przeżyli II wojnę światową – na ponad 900 tys. Żydów, którzy tam trafili, zwożeni przez Niemców pociągami w ramach Akcji Reinhardt (eksterminacji Żydów z okupowanej Polski). Samuel Willenberg zmarł w 2016 r. Wcześniej przez kilka lat był ostatnim żyjącym uczestnikiem powstania w Treblince. Córka, o której pisze na początku książki, to Orit.

Szczepionka dla duszy

– Pamiętam szczególnie dobrze, jak podczas Dnia Pamięci Holokaustu [czyli tego dnia, o którym pisał Willenberg – red.] mama opowiadała mi i mojej przyjaciółce jakieś smutne historie. Koleżanka płakała, a ja po prostu siedziałam i słuchałam. Mama była zszokowana: dlaczego nie płaczę, co jest ze mną nie tak? A ja dziś myślę, że to była taka szczepionka dla duszy. Musiałam się uodpornić na to, co stało się moim rodzicom. Gdyby ich doświadczenia stały się częścią mnie, byłoby to nie do zniesienia. Zbudowałam wokół siebie mur, inaczej bym tego nie wytrzymała – mówi dziś Orit Willenberg-Giladi.

Orit jest jedynym dzieckiem Samuela i Ady Willenbergów. Oboje jej rodzice pochodzą z Polski, oboje cudem przeżyli Zagładę i wojnę.

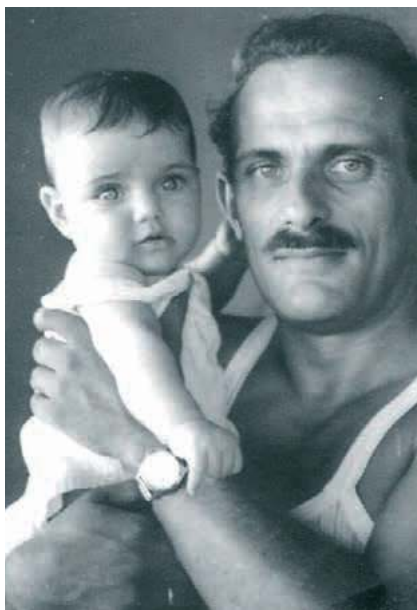
Samuel, rocznik 1923, uczestniczył w powstaniu więźniów Treblinki, a rok później także w powstaniu warszawskim (odznaczony Orderem Virtuti Militari). Ada miała 13 lat, gdy jej matkę zabrano do Treblinki; ona zdołała wydostać się z warszawskiego getta. Zaopiekowała się nią polska rodzina Majewskich. Po wojnie odnalazła wujka, który wraz z żoną ją przysparzył. Zamieszkali wtedy tymczasowo w Kaliszu.

Ada i Samuel poznali się po wojnie, w Łodzi. Jak wielu innych starali się odbudować życie, odnaleźć w świecie, w którym nie było już ich bliskich. Ada przyjechała tam do szkoły, mieszkała u koleżanki, ale szukała mieszkania dla wujostwa. W tym pierwszym powojennym okresie o mieszkania czy nawet miejsce do spania było trudno, więc zagadywała o to wszystkich.

– Pewnego dnia odwiedzałam koleżankę, która działała w jednej z organizacji żydowskich. Tam poznałam „Igo”. Nie nazywałam go Samuelem, lecz jego pseudonimem – opowiada dziś Ada Willenberg. – Pamiętam, że był taki przystojny, w mundurze oficera. Zapytałam, czy nie słyszał o jakimś mieszkanku dla małej rodziny. Odpowiedział, że ma mieszkanie, dwa pokoje z łazienką, i że mogę z nim zamieszkać. Ale pod warunkiem, że wyjdę za niego za mąż! Taki żart. Cóż, potem powtarzał, że w życiu już więcej nie będzie żartował...

Wtedy ich drogi się jednak rozeszły. W 1946 r. Samuel, który w latach 1945-46 służył w wojsku, wyjechał z komunistycznej Polski przez zieloną granicę wraz z grupą Żydów zmierzających do Włoch i Palestyny. Działał w organizacji syjonistycznej. Spotkali się znów, gdy wrócił na chwilę do Polski, z powodu śmierci ojca. W 1950 r. wyjechali już razem do Izraela, zabierając matkę Samuela.

W 1960 r. urodziła się Orit. Po ojcu odziedziczyła jasnoblękitne oczy. I chyba też artystyczną duszę. – Pochodzę z rodziny artystów. Mój dziadek Percec, ojciec Samuela, był w Polsce znanym malarzem. W jego pracach obecne były też elementy architektury, bo np. dekorował synagogi. A mój ojciec po przejściu na emeryturę został rzeźbiarzem. W rzeźbie przełał wspomnienia z obozu w Treblince. Jedna stoi



Samuel z córeczką Orit w Izraelu, 1961 r.

w rezydencji prezydenta Izraela. Pewne artystyczne geny są więc obecne w naszej rodzinie od pokoleń – mówi Orit.

Ale dostała też coś jeszcze: ciężar przeszłości. – Czy historia moich rodziców na mnie wpłynęła? Na to, jaka jestem? – zastanawia się – Może... Nie jestem bardzo emocjonalną osobą, może właśnie dlatego. W każdym razie, musiałam się od tego emocjonalnie odciąć.

Piekiełto spalone

2 sierpnia 1943 r. był pogodnym letnim dniem. „Było upalnie i słonecznie. Drzewa w lesie w gospodarczej części obozu stały nieruchomo” – pisze Samuel Willenberg w swej książce. I dalej, w kontraście do tego, czego po pięknym dniu w lesie zwykle się spodziewamy: „Nad całym obozem Treblinka rozniósł się odór spalonych, rozkładających się ciał tych, którzy przedtem zostali zagazowani”.

Konspiracja w obozie działała wtedy od kilku miesięcy, przygotowywała się do zbrojnego powstania (bo określenie „powstanie” pasuje tu chyba lepiej niż „bunt”).

Plan był pozornie prosty: otworzyć magazyn broni dorobionym kluczem, rozprowadzić broń wśród więźniów, zaatakować załogę obozu, podpalić wszystko, co się da. I jeśli jeszcze w tym momencie będzie się wśród żywych – uciekać. Zbiorowa ucieczka była jednak tylko jednym z celów. Chodziło też o zniszczenie obozu oraz – jak podkreślał Willenberg – o zemstę.

Nie wszystko przebiegło zgodnie z planem. Dysproporcja sił między więźniami a strażnikami była olbrzymia. Ale jednak w końcu obóz stanął w ogniu.

Samuel zaczął wtedy biec, podobnie jak inni jeszcze żyjący koledzy. Biegając widział leżące wszędzie ciała, również na drutach kolczastych i zaporach na granicy obozu. Po tych ciałach przeskoczył na drugą stronę i biegł dalej, choć został ranny w nogę. Biegł i krzyczał: „Piekiełto spalone!”.

W rzeczywistości obóz nie spłonął wtedy doszczętnie, pozostały np. komory gazowe. Treblinka funkcjonowała jako obóz zagłady jeszcze przez kilka tygodni, potem Niemcy zlikwidowali obóz, a wszelkie jego ślady zatarli. Na jego miejscu zasiano łubin.

Kiedy w obozie zaczynało się powstanie, przebywało w nim ponad 800 więźniów. Jak ocenia dr Edward Kopówka, dyrektor Muzeum Treblinka, jedynie ok. 200 udało się wydostać z obozu i uciec obławie, zaś wojnę przeżyło ok. 100.

Mój sukces – ich zwycięstwem

„Gdyby ktoś w dniu, w którym uciekłem z płonącego obozu w Treblince, powiedział mi, że kiedyś moja córka zaprojektuje symbol państwa Izrael w sercu Berlina, nie uwierzyłbym” – mówił Samuel Willenberg kilkadziesiąt lat później, w 2001 r., podczas uroczystości otwarcia ambasady Izraela w Berlinie.

Orit: – Ojciec przekazywał doświadczenia z Treblinki w swoich rzeźbach. Ja w moich własnych pracach zmierzałam się z tematem Holokaustu dopiero projektując ambasadę Izraela w Berlinie. Był to najważniejszy moment w mojej karierze architekta. Zanim się na to zdecydowałam, zapytałam o zdanie rodziców. O to, jak będą się z tym czuli.

– Okazało się, że są bardzo dumni z tego, że ja, ich córka, mam zaprojektować znak obecności Izraela w Niemczech – opowiada. – Zapowiedzieli, że przyjadą na otwarcie. A muszę podkreślić, że nigdy wcześniej nie zdecydowali się na podróż do Niemiec, było to dla nich zbyt traumatyczne.

– Budowa ambasady trwała dwa lata, ale rodzice przyjechali już po pierwszym roku – wspomina Orit. – Bali się, że mogą nie dożyć końca prac. Budynek już stał. Potem przyjechali także na oficjalne otwarcie ambasady. Tata wygłosił mowę. Mój sukces był ich zwycięstwem.

Powroty do Treblinki

⇒ Orit: – Do Treblinki ojciec jeździł wielokrotnie. Z grupami izraelskiej młodzieży, z wojskowymi. Wiedział, że jego czas jest ograniczony, że niedługo nie będzie nikogo, żeby opowiedzieć o tym, co działo się w obozie.

Towarzyszyła mu żona. – To była dla nas satysfakcja zabierać tam młodych ludzi – mówi Ada Willenberg.

Nie były to łatwe podróże. Kalman Taigman, inny uczestnik powstania w Treblince, długo nie był w stanie tam pojechać. Choć nie uciekał od przeszłości: w rocznicę, 2 sierpnia, zwykli spotykać się w domu Samuela. Ale na podróż do Treblinki Taigman zdecydował się dopiero w 2010 r., na dwa lata przed śmiercią.

Potem Willenberg był już ostatnim żyjącym świadkiem. Wiedział, że musi znaleźć sposób, by opowiedzieć o tym, co stało się w tym miejscu, była przekazywana również po jego śmierci. A także zrozumiana.

Orit: – To szczególne miejsce. Tam po obozie nie zostało nic, jest tylko pustka. Jeśli się przyjedzie bez przygotowania, nie zrozumie się potworności tego miejsca. Ładny krajobraz, tyle można zobaczyć w letni dzień. Stąd ojcu zależało, by powstało tam centrum edukacyjne: miejsce, gdzie można będzie się czegoś dowiedzieć jeszcze przed wejściem na teren obozu. To dylemat: jak zrobić w Treblince coś, co nie naruszy wyjątkowości tego miejsca,

właśnie tej pustki. To przecież największy cmentarz europejskich Żydów. Chcielibyśmy stworzyć coś u wejścia na teren obozu, coś, co w żaden sposób nie będzie konkurencją wobec istniejącego już pomnika, lecz emocjonalnie przygotuje ludzi, pomoże im zrozumieć.

Ada: – W ten projekt, na którym tak zależało mojemu mężowi, zaangażowało się wiele osób dobrej woli. Trudno wymienić wszystkich, ale chciałabym wspomnieć o Alonie Goldmanie, przewodniczącym Związku Żydów Częstochowian w Izraelu. Igo miał też inne marzenie: chciał, aby w przyszłym budynku stanęły jego rzeźby, obrazujące życie i zagładę w obozie.

Pomysł budowy Centrum Edukacyjnego wyszedł od Samuela Willenberga, a projekt jest w planach Fundacji Ochrony Pamięci Obozu Zagłady w Treblince (w internecie: pamiectreblicki.org). Na razie jest to faza bardzo wstępna. W tej chwili Fundacja tworzy bazę danych ofiar obozu w Treblince. Udało się jej zgromadzić dane

około 35 tys. zamordowanych, w tym ok. 500, których nie ma w żadnej innej znanej bazie ofiar Holokaustu.

Nazwiska w Treblince nie były dla Niemców ważne. Droga do śmierci po przybyciu transportu była krótka: przez rozebranie się, ostrzyżenie, prosto do komory gazowej. Zdaniem dr Kopówki list nazwisk nie tworzone celowo, aby w ten sposób zatrzeć liczbę ofiar. Także dlatego tak trudno dziś ustalić, kim imiennie byli zamordowani.

Zresztą właśnie z tego powodu Willenberg już wtedy czuł, że imiona są ważne. Gdy w obozie Niemcy postanowili sporządzić listy więźniów – tylko tych, których oszczędzili (chwilowo), aby wykorzystywać ich do pracy – każdy mógł podać jakiegokolwiek nazwisko. Willenberg uznał, że trzeba podać prawdziwe, bo w ten sposób zostanie jakiś ślad.

Podobnie zdecydował w czasie powstania warszawskiego: gdy dowódca oddziału zapytał go o nazwisko, podał prawdziwe, a nie to z „aryjskich” papierów. Jeśli miał ginąć, to jako Willenberg.

Nieuwieczni

– Igo był człowiekiem niezwykły. Nigdy się z nim nie nudziłam, był pełen energii i zapału. Do samego końca – mówi Ada Willenberg. – Gdy miał 70 lat, zaczął budować katamaran. Pytałam: „Igo, po co ty to budujesz? Przecież nie umiesz nawet pływać”. Miał tyle pomysłów... Kiedy przyjechalismy do Izraela, nie mieliśmy grosza przy duszy, a on wymyślił, że zbu-

Obóz w Treblince płonie po wybuchu powstania więźniów. Zdjęcie zrobił pracownik stacji kolejowej Treblinka, 6 km od obozu. 2 sierpnia 1943 r.





GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCIA GAZETA

Ada, Samuel i Orit Willenbergowie przed zaprojektowanym przez Samuela pomnikiem ofiar getta w jego rodzinnej Częstochowie. 20 października 2009 r.

duże sztuczne lodowisko. Po tym, przez co przeszedł, miał powody być raczej pośepnym. A jednak taki nie był, był pełen życia.

Jednocześnie Samuel cały czas opowiadał o przeszłości: uważał to za swój obowiązek.

Opowiadając o Treblince, musiał też mówić o nich – swoich siostrach. „Wracam do tego każdego dnia. Żyję tym razem z moim codziennym życiem” – powiedział kiedyś.

Tamara i Ita zostały zadenuncjowane w Częstochowie. Przyjechały tam z Samuelem i mamą z getta w Opatowie. Wcześniej zaplanowane schronienie (mama miała koleżankę z kontaktami

wśród księży) okazało się nieaktualne, ale znaleźli jakieś mieszkanie. Wszyscy mieli „aryjskie” papiery. Samuel i mama pojechali do Opatowa po resztę rzeczy. Gdy wrócili do Częstochowy, siostr już nie było. Samuel wrócił do Opatowa, poszedł do transportu. Nie wiedział, co stało się z siostrami. Miał tylko nadzieję, że przeżyją.

Potem, już w Treblince, został przydzielony do segregowania ubrań po zagazowanych. Pewnego dnia, po całonocnym deszczu – Willenberg zapamiętał ten szczegół, bo esesmani bardziej ich poganiiali, by ubrania ludzi z transportu nie zniszczyły się na mokrym placu – a więc tego dnia

w stosie odzieży mignął mu znajomy kolor. „Nachyliłem się i wyciągnąłem małe brązowe paletko mojej najmłodszej siostrzyczki Tamary i połączoną z nim spódniczkę mojej starszej siostry Ity, jak gdyby splecione w siostrzanym uścisku. Trzymałem spódniczkę i paletko z dosztukowanymi mankietami z zielonego materiału, które nasza mama przyszyła w getcie. Tamara podrosła i paletko zakupione jeszcze przed wojną było na nią za małe” – pisał w książce. Napisał też, że chciał krzyczeć, ale to byłoby ryzykowne. Chciał płakać, ale nie mógł. Wieczorem jego przyjaciel Alfred zapytał: „One dzisiaj przyjechały?”. „Tak” – odparł Samuel. Wiedział, że tego dnia jego siostry zginęły.

W swoich rzeźbach Samuel Willenberg przywołał wiele przejmujących chwil z obozu: ojciec pomagający synkowi zdjąć buty przed wejściem do komory gazowej; naga dziewczyna z ostrzyżonymi włosami (zapamiętał jej imię: Rut Dorfman; choć ich spotkanie trwało tylko chwilę); oszalała dziewczynka w butach na obcasach, sama na peronie. Ale nigdy nie uwiecznił artystycznie chwili, gdy znajduje ubrania siostr.

Teraz nasza kolej

– Moje imię powstało z pierwszych liter imion siostr taty, które zginęły w Treblince, Tamary i Ity, oraz mojej babci Rachel, matki mojej mamy. „O” zostało dodane jako samogłoska – mówi Orit Willenberg-Giladi.

– Po hebrajsku orit znaczy „światłana”, a córka rzeczywiście wniosła światło w naszą rodzinę – mówi Ada Willenberg.

– Czy takie imię to ciężar? – Orit powtórza pytanie. – To nie chodzi o imię, to chodzi o życie... Teraz już wiem, że nie mogę od tego uciec, że takie jest moje przeznaczenie. Moją rolą jest być rzecznikiem drugiego pokolenia. Mówić o tym, o czym chciał mówić i mówił ojciec, zachować pamięć.

– Ojciec już nie żyje, więc teraz moja kolej. Moje dziedzictwo, któremu ani nie mogę się wymknąć, ani nie mogę o nim zapomnieć – dodaje.

– Wyszłam za mąż, ale nadal noszę także nazwisko Willenberg – mówi Orit. – Wiem, że to dla ojca było ważne. „Jesteś ostatnim Willenbergiem na świecie” – powtarzał. Moje dzieci też przyjęły nazwisko Willenberg. To taki prezent dla dziadka. Wszyscy jesteście Willenbergami.

©© PATRYCJA BUKALSKA



BŁĘKITNE LAGUNY

Wakacje – chcemy wyjechać w miejsce, które będzie naszym przejściowym rajem na ziemi. Miejsce często rozczarowuje, ale nasza elementarna gotowość do poszukiwania go mówi o nas wiele. Są książki, które wam to uprzytomnią.

PIOTR SIKORA

CZY NIE MIELIŚCIE KIEDYŚ WRAŻENIA, że z tym światem jest coś nie tak? Czy zajmując się zwykłymi codziennymi czynnościami – myjąc rano zęby, zarabiając pieniądze, wydając zarobione, oglądając nocą serial, pijąc wino z przyjaciółmi – nie mieliście nigdy wrażenia, że prawdziwe życie, szczęście, sens i spełnienie jest zupełnie gdzie indziej?

Starochrześcijański „Hymn o perle” opowiada o człowieku jako księciu z da-

lekiego kraju na Wschodzie, wysłanym do Egiptu w poszukiwaniu zaginionego skarbu. Książę ów napił się miejscowego napoju i zapomniał, kim jest – został niewolnikiem kieratu egipskiego życia. Tylko czasami majaczyła mu na moment w tyle głowy niewyraźna myśl: „nie jestem stąd”. A w sercu pojawiało się pragnienie: „ruszyć, wyjść, przestać tkwić w miejscu...”.

Udręczeni mozołem codzienności – najczęściej dziś powiązanym z pracą zawo-

dową – wyczekujemy czasu przerwy. Chcemy ten moment wykorzystać na choćby krótką odmianę: wyjazd w miejsce, w którym będzie inaczej, a przez to lepiej niż tu, gdzie zwykle żyjemy. Bardzo różnie wyobrażamy sobie ów chwilowy „raj na ziemi”, różne więc są miejsca spędzania urlopu: all-inclusive w Hurghadzie, wędrowka górkim szlakiem z dobytkiem w plecaku, podziwianie Partenonu, wakacyjne rekolekcje w ciszy. Są to



Na plaży w Gokarna, Goa, Indie

jednak w gruncie rzeczy różne formy wyruszenia w tę samą Podróż, na poszukiwanie, o którym mówi Ewangelia Tomasza: „Kto szuka, niech nie ustaje, aż znajdzie. A gdy znajdzie, zatrwóży się. A gdy się zatrwóży – zdumieje się. I będzie panował nad wszystkim. I odpocznie”.

Są książki – opowieści o ruchu i drodze, i ludziach, którzy (jakby za nas) podążają naprzód, a o których wędrowce czytając przypominamy sobie naszą – nie stąd – tożsamość. Czytajmy więc takie książki, aż zrozumiemy, czym jest ów ruch, konieczny duszy do życia. Na przykład „Na wschód od zachodu” Wojciecha Jagielskiego i „Biegunów” Olgi Tokarczuk.

Indie mistyczne

Jeśli to życie tutaj, w Warszawie, Londynie czy Gliwicach, staje się zbyt wyblakłe – musi istnieć (świta nam w głowach) gdzieś miejsce inne, właściwe, gdzie można odnaleźć to, co najważniejsze. Tylko gdzie ono?

Na przykład – Indie! Kraj mnichów, ascetów i mistyków, którzy porzucili ziemne złudzenia (nam narzucają się one jako najbardziej realne), podążają ścieżką wyzwolenia i którzy mogą stać się naszymi mistrzami. Tak, jest w nas, ludziach Zachodu, tęsknota za krainą na Wschodzie, więc wielu z nas, którym zachodnia krzątanina wydaje się pusta, pielgrzymowało i pielgrzymuje do kraju nad Gangą. Do Benares, Dharamsali, aśramów Kerali. Na plaże Goa.

Jak choćby „Święty” z pierwszego pokolenia hippisów (noszący imię, które nadał mu pewien sławny guru, choć nauczyciel ten ostatecznie okazał się szarlatanem), którego spotkał i o którym napisał Wojciech Jagielski w swojej najnowszej książce „Na wschód od zachodu”. Albo Kamal spotkana przez Grażynę Jagielską, żonę reportera.

A zatem: czy możliwe jest znalezienie raju na ziemi? Są tacy, którym zdawało się, że znaleźli, a „Święty” był jednym z nich.

Wyruszył do Indii w poszukiwaniu wolności, miejsca bez żadnych obowiązków, sztywnych reguł, przestrzeni czystej, spontanicznej radości i harmonii. Szybko uznał za swój raj plażę Goa. Gdy chodził pustym brzegiem oceanu, był przekonany, że już nigdzie nie musi wędrować. Lecz na kartach książki Jagielskiego spotykamy go w Delhi, gdzie uciekł z Goa – jego raj został zniszczony przez tłumy turystów i rosnącą niechęć miejscowych. „Święty” przesiaduje teraz w jednej z kultowych kafejek. Na pozór wyluzowany i spokojny, naprawdę nie wie, co robić. W głębi duszy tęskni do nieistniejących już pustych plaż, a jeszcze głębiej – do dziewczyny, którą poznał w czasach młodości w Amsterdamie i z którą wyruszył w drogę do Indii. Los go z nią rozłączył, potem znów zetknął, a on ją opuścił przywiązany do własnego poczucia swobody.

Czy „Święty” jest nie do końca spełnionym mędrcem? Czy też pomimo siwych włosów pozostał jednym z tych, o których

→ Jagielski, doświadczony korespondent wojenny, pisze z sympatią, ale nie bezkrytycznie: „długowłosi włóczędzy, dzieci kwiaty głoszące miłość, pokój i braterstwo między ludźmi i zapatrzone tak bardzo we własny obraz świata, że prawdziwy obraz życia (...) umknął ich uwadze”. Traktowali Indie – i inne krainy na szlaku na Wschód, jak Afganistan czy Kaszmir – jako krainę pokoju, harmonii i miłości, nie zauważwszy, że przybywali do miejscznaczonych podziałem i wojną oraz wcale nie dobrowolną tułaczką, która przyniosła śmierć około milionowi osób.

Czytając „Na wschód od zachodu” nie sposób nie zdziwić się, jak bardzo perspektywa widzącego wpływa na widziany świat. Jagielski dostrzega zupełnie inny Afganistan czy nadgraniczne rejony Pakistanu i Indii, niż ledwie parę lat przed nim widzieli hippisi w swojej drodze do wysnionej „ziemi obiecanej”, opływającej w ich wizjach w haszysz, sens i doświadczenie duchowe.

Nie jest tak oczywiście, że długowłosi poszukiwacze ducha mylili się całkiem, że wymyślili sobie Indie, których w ogóle nie ma. Indie są krajem (zauważa to także korespondent wojenny), gdzie ceni się opuszczenie osiadłego, codziennego życia i podjęcie niekończącej się wędrówki jako drogi do duchowego, ostatecznego wyzwolenia – i gdzie taką pielgrzymkę podejmują miliony. Ale – i takich bohaterów pełno na kartach książki Jagielskiego – codzienna krzątania właścicieli hotelików i knajp, rybaków i ulicznych sprzedawców ujawnia jakąś nieuchwytną wartość przekraczającą materialne zyski. Mało tam romantyzmu, ale patrząc na tych ludzi nie przeoczmy odwagi i cierpliwości, zdrowego rozsądku i troski o najbliższych: by zapewnić im godziwe życie, by wykształcić dzieci, wysłać je na Zachód, gdzie nie będą musiały – jak myśli duża część (większość?) Hindusów – martwić się o brak wody, powołanie do frontowego oddziału wojska, terrorystyczny zamach w okolicy, w której mieszkają.

Może zatem – nasuwa się przypuszczenie – błąd dzieci kwiatów polegał na tym, że szukali spełnienia, mitycznej krainy Szangri-La, niebiańskiego Królestwa, tam, gdzie go nie ma – w konkretnym miejscu na ziemi. Żadne zaś konkretne miejsce nie jest w stanie unieść ciężaru ludzkich marzeń.

By więc swoich marzeń nie zniszczyć, trzeba przeoczyć to, co mamy przed

Indie są krajem, gdzie ceni się opuszczenie osiadłego, codziennego życia i podjęcie niekończącej się wędrówki jako **drogi do duchowego, ostatecznego wyzwolenia** – i gdzie taką pielgrzymkę podejmują miliony.

oczami, i widzieć obraz, który niesiemy wyśniony w duszy. Nie jest to przecież przypadek tylko pokolenia hippisów. Czyż nie to samo marzenie kierowało naszymi przodkami, gdy wybierali się pielgrzymować do Jerozolimy? Czy nie ono zostało zapisane w opowieściach o poszukiwaniu Świętego Graala?

Wędrowanie

U Jagielskiego Kamal chce uciec z Zachodu znacznie dalej niż „Święty” i większość hippisów. Tak daleko, że jej umysł i dusza wymyka się reporterowi – by ją nam przedstawić, musi skorzystać z pomocy swojej żony. Kamal porzuca całe poprzednie życie, całą zachodnią tożsamość i przechodzi – tak widzi ją Jagielski – „na drugą stronę”.

Co roku wędruje z synem z północy na południe Indii – i z powrotem. Co ważniejsze jednak: myśli, tak się przynajmniej wydaje, całkowicie jak hinduska, i to hinduska nietknięta wpływami Zachodu. Nie rozumie pytania dziennikarza o wybór życia („przecież życia się nie wybiera”), o zmianę wiary w Boga (wedle hindusów różne drogi prowadzą do tej samej Reczywistości), a tym bardziej o praktyczne, społeczne korzyści rozwoju duchowego. Szuka miejsca na narodziny dziecka, zasięgając rad ludowych guru, by znaleźć to najwłaściwsze ze względu na skutki karmiczne (choćby była to samotna pieczara w górach, pozbawiona wszelkich istotnych dla Zachodu cech miejsca porodu, na czele z higieną). Nie pamięta, na czym polega podłączenie domu do prądu, co robi się z gazową płytą kuchenną; obawia się tego. Chce za wszelką cenę uchronić dorastającego syna od stania się człowiekiem „zachodnim”.

Uważne spojrzenie pozwala jednak dostrzec jakiś fałsz. Kamal, jeszcze jako Ka-

mila, była przecież kilkanaście lat wcześniej, w latach 90., studentką dziennikarstwa na polskim uniwersytecie i jeździła z przyjaciółmi po Europie własnym samochodem. Teraz korzysta z karty bankomatowej, a pieniądze ma – jak się okazuje na końcu historii – z wynajmu mieszkania w Polsce. Czego więc nie pamięta, a czego pamiętać nie chce?

Kamal robi wszystko, by „świat zewnętrzny jej nie określał” (jak brzmi jedno ze sformułowań hinduskiego duchowego ideału). Czy jej droga z północy na południe i z południa na północ Indii jest jednak swobodnym wędrowaniem wolnego człowieka? Czy to raczej paniczna ucieczka przed tym, czym w jej mniemaniu jest Zachód? I czyż ucieczka przed czymś nie wiąże się z określeniem egzystencji uciekającej przez to, co – jak się jej zdaje – ją goni?

Wszędzie tak samo

Warto postawić sobie pytanie, co w obrazie Zachodu (a więc w obrazie nas samych i naszego życia), jaki widzimy oczami Kamal, w ogóle jest prawdą. Czy nasz, ponoć przyziemny, obszar kulturowy różni się tak bardzo od Indii, gdzie ponoć czeka na nas d/Duch? Trzeźwiącym doświadczeniem może być zwrócenie uwagi na syna Kamal, Lhamo. Chroniony przez matkę przed zachodnimi wpływami, staje się bardzo podobny do swych hinduskich sąsiadów – prowadzących sklepiki, kafejki, hotele, starających się zdobyć możliwość korzystania z nowoczesnych urządzeń ułatwiających życie, zarabiających pieniądze na pięknoduchach z Zachodu. Lhamo sprzedaje na ulicy własne gastronomiczne wyroby, buduje piec w domu, w którym zamieszkał z matką, prowadzi ją do sklepu ze sprzętem AGD w Dharamsali i namawia do kupna kuchenki. Obmyśla też plan wykorzystania faktu, że matka posiada na Zachodzie własne mieszkanie.

Lhamo należy w pełni do Indii – nie tych mitycznych, ale prawdziwych – i właśnie przez to nie bardzo różni się od swoich europejskich rówieśników. Uwikłanie ducha w sieci przyziemnych powiązań to nie kwestia miejsca w przestrzeni, jakiejś szczególnej kultury, Zachodu i Wschodu – mówi nam Lhamo formą swego dorastania – lecz raczej sprawa ludzkiej natury, ciała i jego potrzeb, cielesnego wymiaru samego życia. Czy przed tym można/warto uciekać? Czy liczy się sama wędrówka? Brak stałego adresu zamieszkania, prze-

chodzenie z miejsca na miejsce? Tak właśnie myśleli bieguni – prawosławna sekta, która stała się inspiracją książki Olgi Tokarczuk, nagrodzonej niedawno międzynarodową nagrodą Bookera (w przekładzie Jennifer Croft).

Jeśli wyznacznikiem, warunkiem duchowego życia, głębi egzystencji jest ruch, przemieszczanie się, jeśli rację mają bieguni – czyż nie jest to właśnie fundamentalna cecha współczesnej, globalnej cywilizacji? Może Tokarczuk w „Biegunach” ma rację, gdy pisze, że „płynność, mobilność, iluzoryczność – to właśnie znaczy być cywilizowanym”? Czy Kamal uciekłaby z Polski, z Zachodu do Indii, gdyby potrafiła spojrzeć na świat tak, jak widzi go polska pisarka?

Bo przecież – „Bieguni” genialnie to przedstawiają – świat cały jest w ruchu. Nie ma centrum, każde miejsce może być zwykłe lub święte. W ruchomym świecie nie ma sensu poszukiwać jakiegoś trwałego raju na ziemi. W tym ruchu – jak refren powtarza Tokarczuk – „celem pielgrzymki jest inny pielgrzym”. Lotniska, promy, hostele, nocne pociągi... Lecz ich rzeczywistość tworzą w gruncie rzeczy spotykani tam ludzie.

Jedyny układ współrzędnych, który pozwala odnaleźć jaką taką życiową orientację, wyznaczają pytania: „Skąd pochodzisz?”, „Skąd tu przyjechałeś?”, „Dokąd jedziesz dalej?”. Zadają je nam inni, a my, odpowiadając na nie, orientujemy się, gdzie jesteśmy. Zauważyliśmy jednak subtelny różnicę pomiędzy pytaniem pierwszym a dwoma następnymi. To, zaznacza Tokarczuk, wyznacza pionową oś układu współrzędnych. Tamte dwa – osie poziome. Nie da się więc na to pierwsze odpowiedzieć, rysując drogę swego życia od czasu narodzin – choć przecież ostatecznie tu, gdzie teraz jesteśmy, przyjechaliliśmy właśnie z miejsca swego urodzenia.

Wszechobecna droga

Skąd pochodzisz? Przyglądając się światu oczami Tokarczuk trudno znaleźć jedną, wyraźną, dobrą odpowiedź. Przede wszystkim dlatego, że świat, przynajmniej na swojej powierzchni, rusza się tak szybko i chaotycznie, że nie da się ogarnąć w jednym spojrzeniu, wyjaśnić jedną teorią. Owszem, jest w człowieku pragnienie takiego wyjaśnienia i ma ono swe konsekwencje.

Cywilizację, ludzkość, jaką spotykamy w „Biegunach”, cechuje napięcie pomiędzy

Świat cały jest w ruchu.
Nie ma centrum, każde
miejsce może być zwykłe
lub święte. Nie ma więc sensu
poszukiwać trwałego raju
na ziemi. W tym ruchu
**celem pielgrzymki
jest inny pielgrzym.**

dzy brakiem zakorzenienia, kiedy dom staje się hotelem, hotele zaś są domem i nieustannym ruchem, a fascynacją tym, co już nieruchome. Jak ciało poddane plastynacji, któremu obca jest wszelka zmiana, nawet zmiana rozkładu, czyli martwe aż tak, że nie karmi sobą żadnego nowego życia. Są na tym świecie „pielgrzymi” – o wielu z nich opowiada Tokarczuk – którzy dążą do wiedzy o tym, kim my, ludzie, jesteśmy, lecz tej wiedzy szukają w martwych, splastynowanych ciałach innych pielgrzymów. Cóż jednak warta jest taka wiedza? Badanie i oglądanie preparatów wyjętych z zawsze ruchomego potoku życia?

Istnieją zatem dwa rodzaje poznania: uważne uczestnictwo w życiowym strumieniu oraz plastynacja i opis. Być może bowiem każdy opis (nawet opis pielgrzyma i pielgrzymki) jest czymś w rodzaju plastynacji, zatrzymaniem tego, co w rzeczywistości jest płynne – łapaniem nieuchwytnego. Usiłowanie, by poznać życie w sposób, który jest *de facto* poznawaniem miejsca, skąd życie już wyciekło, nie ogranicza się bowiem do badania anatomii ludzkich zwłok.

Oto jeden z bohaterów powieści Tokarczuk, Kunicki, próbuje dotrzeć do prawdy o żonie, odkrywając ukryte znaczenie przedmiotów, które po niej pozostały. W tym celu rozkłada je na stole i fotografuje. Daremne to działania, nie zauważał bowiem właściwie najbliższych w momencie, gdy przy nim byli, a nawet nie wiedział wówczas, że musi uważać. Właściwy moment już minął. Nawet jeśli prawosławni bieguni mają rację, że tylko ruch jest sposobem uratowania duszy, Kunickiemu wyruszenie z pustego domu w powtórny podróż w miejsce, w którym wszystko stracił, już nic nie pomoże.

Nic nie pomoże – nie tylko Kunickiemu, ale nam wszystkim – poruszanie się po powierzchni tego świata. Wchodzimy – mówi Tokarczuk – na pokład samolotów (myślę, że może to być i autobus) w nadziei, że gdzie indziej „być może narodzimy się ponownie i tym razem będzie to właściwy czas i właściwe miejsce”. Jeśli jednak tak jest, znaczy to, że najgłębszemu, najcenniejszemu naszemu dążeniu nadajemy złudną postać – niczym Kamal i „Święty”. Nie dowiemy się w ten sposób, co tak naprawdę trzeba, by uzyskać najwyższy stan ducha dostępny wędrowcom, o którym pisze Tokarczuk – czystą świadomość „jestem”, niezależną od miejsca, gdzie właśnie jesteśmy.

Starożytna Ewangelia Tomasza (którą, wedle jej własnych słów, gdy ktoś pojmie, nie zakosztuje śmierci) ostrzega słowami żyjącego Jezusa (pierwszego, który wymknął się całkowicie możliwości plastynacji): „Jeśli wasi przywódcy powiedzą: »Królestwo jest w niebie« – ptaki niebieskie wyprzedzą was. Jeśli powiedzą: »Królestwo jest w morzu« – wyprzedzą was ryby. Ale Królestwo jest wewnątrz was i wokół was”. Dlatego właśnie, jak przypomina mędrzec Laozi: „bez wychodzenia z domu możesz poznać świat, bez wyglądania przez okno możesz ujrzyć Dao – Drogę Nieba”. Gdzie jednak jest ta droga? Skoro siedzimy w domu, ale nie widzimy nawet jej początku?

Nikt ci nie powie. „Poznaj – to znów słowa Ewangelii Tomasza – co masz przed oczami, a to, co ukryte, ujawni ci się”. Ale i tak na pewno niedługo wyruszenie w poszukiwaniu waszego przejściowego raju. Przynajmniej zabierzcie ze sobą „Na wschód od zachodu” Jagielskiego i „Biegunów” Tokarczuk! O czymś wam przypomniał.

© PIOTR SIKORA



PIOTR SIKORA będzie
gościem Conrado Moreno
w środę 1 sierpnia

o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

Wilczyca prowadzi

ROBERT KASPRZYCKI

Kora Jackowska górowała dykcyjnie, intelektualnie i wizualnie nad całą śpiewającą konkurencją. Trafiła równie dobrze do serc i kory mózgowej słuchaczy. Muzyka ją niósła, słowa przebiły się na drugą stronę języka polskiego. Właśnie umarła.

JĘŚLI WIERZYĆ TEMU, CO POWIEDZIAŁA w autobiografii, śmierć nie była dla niej niczym nowym: „Jako mała dziewczynka dwa razy umarłam i zmartwychwstałam. Do dziś tego nie rozumiem. Było to podczas wakacji. Bawiłam się plasteliną – uwielbiałam to robić – lepiłam śmieszne ludziki, zwierzątka. I zjadłam tę plastelinę, a ponieważ dorośli mi mówili, że jak się plastelinę je, to się umiera, położyłam się na murku i umarłam. A potem zmartwychwstałam. (...) Być może nie umarłam na murku po zjedzeniu plasteliny, ale byłam przekonana, że nie żyję. Później – jeszcze jako dziecko – odbierałam sobie życie wielokrotnie. Już całkiem świadomie nie chciałam żyć”.

Wszystkie te dziecięce śmierci, samobójcze wizje i „zakazane zabawy” w nieistnienie łatwo położyć na karb wrażliwości i nieokiełznanej wyobraźni, które towarzyszyć jej będą przez całe życie. Konfabulacją nie była natomiast trauma dzieciństwa i wczesnej młodości.

Niemyte dusze

Rodzice, Marcin i Emilia Ostrowscy, trafili do Krakowa z Kresów. Ojciec Kory, przed 17 września 1939 r. komendant Policji Państwowej w Buchaczu, dosłownie uciekł Stalinowi spod noża, matka – absolwentka studium pedagogicznego, również niespecjalnie mogła liczyć u władzy sowieckiej na taryfę ulgową.

Państwu Ostrowskim, mimo iż znaleźli pracę w Krakowie jako urzędnicy, nie dane było wstąpić w strumień nowego życia. Ze względu na trudną sytuację materialną i zdrowotną zmuszeni byli wysłać Olgę Aleksandrę, swe piąte, najmłodsze z dzieci, do sierocinca. Nie był to jednak zwykły sierociniec, lecz ośrodek prowadzony w Jordanowie przez siostry prezydentki. Metodami jako żywo przypominał te z „Drewnianego różańca” Natalii Rol-

leczek – dominował chłód, opresja, inwigilacja i przemoc, także seksualna. Kora przebywała tam od czwartego roku życia do ukończenia II klasy szkoły podstawowej. Po śmierci ojca wróciła do domu rodzinnego, by niemal już po chwili trafić na rok do wujostwa, mieszkającego w Jabłonowie Pomorskim. Po powrocie do Krakowa kontynuowała naukę w szkole podstawowej i średniej.

Kraków przełomu lat 60. i 70. w opowieściach Kory jawi się z kolei jako Swingin’ Cracow. I to nie tylko dlatego, że dzięki Piwnicy Pod Baranami, Tadeuszowi Kantorowi, Staremu Teatrowi, niezliczonym aktorom, reżyserom, performerom i muzykom stał się mekką wszelkiej maści freaków. Kultura wysoka przenikała się z kontrkulturą, panował czas „dobrego snobizmu”, Kora, jak przyznaje, bywała tam, gdzie wypadało być ambitnej licealistki i, jak mawiano, najpiękniejszej hip-pisze: w Piwnicy Pod Baranami, w Krzysztoforach, Teatrze Starym, w teatrach studenckich, w knajpkach Rio i Kolorowej.

Czas przyjaźni z Piotrem Skrzyneckim, Jerzym Beresiem, Wiesławem Dymnym, Krystyną Zachwatowicz czy Piotrem Markiem nawiązywał się na okres intensywnego poszukiwania sztucznych rajów, dusz niemytych i czystej sztuki. To wtedy ze zlotu hippisowskiego przywiozła nowe imię – w tym środowisku zresztą każdy miał przydomek. Prorok, Pies, Psycholog, Dzik – oznaczające niejako nowe życie. Przez pewien czas wielką miłością Kory był guru krakowskich hippisów, Pies – dzisiaj szef klubu parlamentarnego PiS, Ryszard Terlecki.

Boskie Buenos

Na drodze Kory, szukającej życiowego osadzenia, pojawił się młody muzyk z Łodzi, Marek Jackowski – który po koncercie zagrany z zespołem Vox Gentis w Piwnicy

Pod Baranami postanowił zostać w Krakowie. Owocami tej decyzji będzie nie tylko związek z Korą, ale także współpraca z Markiem Grechutą, stworzenie z Jackiem Ostaszewskim grupy Osjan oraz założenie komuny, która bardziej niż na wolnej miłości skupi się na uprawianiu wolności mentalnej, artystycznej i duchowej.

W 1975 r. Jackowski tworzy, wraz z Młotem Kurtisem, formację M and M, której nazwa zmieni się później w brzmiący jak buddyjskie „om” – Maanam. Grają muzykę eksperymentalną, orientálną, mistyczną. Rok później dołącza do nich Kora. Po odejściu Kurtisa drugim gitarzystą i wokalistą zostaje John Porter, zaś formacja przybiera nazwę Maanam Elektryczny Prysznic.

Późniejsza chwilowa emigracja do stolicy nie oznacza wsiąknięcia w tamtejsze środowisko, choć przyjaźń z Maciejem Zembatym zaowocuje w 1978 r. udziałem w spektaklu telewizyjnym Tomasza Zygadły „Leonard Cohen – Pieśni miłości i nienawiści”. Widzimy tam Korę jako piękną długowłosą kobietę, która śpiewa chórki, stojąc w cieniu Jana Kantego Pawluśkiewicza, Macieja Zembatego, Romana Wilhelmiego i gwiazd piosenki autorskiej: Elżbiety Adamiak, Andrzeja Poniedziałskiego i Waldemara Chylińskiego.

W roku 1979 z zespołu odchodzi Porter, Jackowski zaś po latach grania muzyki etno-folkowej wchodzi w etap fascynacji muzyką bliższą Rolling Stones czy intelektualnemu postpunkowi w wydaniu Talking Heads. Jackowscy zrzucając muzyczną skórę, sięgają jednocześnie po „krakowskie zasoby kadrowe” i wraz z muzykami grupy Dżamble nagrywają pierwszy przebój – „Oprócz”. W późniejszym składzie obok Kory i Jackowskiego znajdują się gitarzysta Ryszard Olesiński, basista Krzysztof Olesiński (zmieniany później przez Bogdanę Kowalewską) oraz perkusista Paweł Markowski.

Rzadko zdarza się, żeby jedna piosenka zapoczątkowała epokę. W Portugalii sygnałem do wybuchu Rewolucji Goździków (nazwa wzięła się od kwiatów włożonych w lufy żołnierskich karabinów) było wyemitowanie w Rádio Renascença pieśni „Grândola Vila Morena”, której autorem i wykonawcą był portugalski bard Zeca Afonso. W Polsce taki przełom stanowiło zagranie „Boskiego Buenos” na festiwalu opolskim w roku 1980. Tego lata, tuż przed wybuchem Sierpnia, mimo iż triumfy święciły „Bananowy song” grupy Vox, „Najwięcej witaminy” Andrzeja Ro-



siewicza czy „Jeszcze się tam żagiel bieli” Alicji Majewskiej, coś musiało wisieć w powietrzu. Decyzją cenzury wycięto z emisji „Mury” Jacka Kaczmarskiego, ale Maanamowi udało się zagrać w koncercie rockowym.

W Opolu, mateczniku piosenki lekkiej, łatwej i przyjemnej, na tle żenującego sporu o to, któż jest większą gwiazdą – Rodowicz czy Sipińska – Maanam zabrzmiał jak lądujący statek kosmiczny. Kora, ostrzyżona niemal jak więzień gu-

łagu, w zwykłej koszulce i białych butach na wysokim obcasie, wypływając tekst jak Ewa Demarczyk w wersji turbo, podkreślała tę kosmiczną obcość. Po „Boskim Buenos” nic nie było takie samo. „Cykady na Cykladach” opowiadały historię, która dziś znana jest każdemu miłośnikowi greckich all inclusive, wtedy jednak stanowiła kwintesencję egzotyki. „Boskie Buenos”, wywiedzione z powieści „Żeby cię lepiej zjeść” Eduarda Gudiño Kieffera, antycypowało czasy celebrytek,

udzielających wywiady pełne samolansu. „Lucciola”, zawieszona na fenomenalnym riffie basowym Kowalewskiego, wzmocniona klipem, którego dominantą był neo-realistyczny filtr godzin Pawła Pawlikowskiego, w jakiś inny, „światowy” sposób wyrażała mieszaną namiętności i niemożności.

Jeśli można powiedzieć o głosie, że jest fotogeniczny – wokal Kory taki właśnie był: znakomicie sprawdzał się w połączeniu z obrazem, czego dowiodły →

→ filmy „Czuje się świetnie” Waldemara Szarka z 1983 r., a zwłaszcza „Wielka majówka”, z młodzieńcem Zbigniewem Zamachowskim, grającym chłopaka, który zwał z domu poprawczego. Na dobrą sprawę wszyscy mogliśmy identyfikować się z pensjonariuszami takiego domu, choć Jacek Kaczmarski i Przemysław Gintrowski poszli jeszcze dalej – w ich wydaniu metaforą PRL był wszak dom dla psychicznie i nerwowo chorych.

Mówić Korą

Nic nie oddawało karnawału Solidarności, spuentowanego chłodem grudniowej nocy w 1981 r., tak trafnie jak muzyka Maanam i poetyckie teksty Kory z ich trzech pierwszych albumów: „Maanam”, „O!” i „Nocny patrol”. Jeszcze lepiej Maanam sprawdził się w przekazaniu atmosfery stanu wojennego i powojennego – niemal widziało się spacyfikowany świat oświecany żarem koksowników, infernalną aurę ulic niknących we mgle, niemal czuło się lepki smog, płytkość oddechu i kwaśny posmak w ustach, niemal wdychało się jałowość czekania na wiosnę, która uparcie nie chciała nadejść. „Krakowski spleen” był prawdziwie „polskim spleenem”, cóż innego bowiem mogliśmy czuć, skoro obiektem westchnień władz był sznur do snopowiązałek, a twarzami wojskowego komitetu antyalkoholowego generałowie Oliwa, Baryła i Żyto...

Co ciekawe, Kora nigdy nie starała się być „dziewczyną z sąsiedztwa”, frunęła ponad miałością tekścików o cierpiącym serduszkach, górowała dykcyjnie, intelektualnie, wizualnie, a przecież jako poetce nie tylko udało jej się trafić do serc i kory mózgowej słuchaczy, ale i przebić się na drugą stronę języka – tam, gdzie poeta nie tyle korzysta z zasobu języka zastanego, co ów język tworzy. Mówiło się Korą, myślało się Korą, czuło się Korą.

Jej język był rockowym dopowiedzeniem tego, co na innym poziomie rozwijała Agnieszka Osiecka – dopowiedzeniem, które zdawało się znacznie lepiej utrafiać w potrzeby pokolenia jej rówieśników i ludzi znacznie młodszych. Tu zapewne więcej do powiedzenia miałyby dzisiejsze śpiewające „damy, dziewczuchy i dziewczyny”: Renata Przemyk, Kayah, Anja Orthodox, Edyta Bartosiewicz, Katarzyna Nosowska, Kasia Kowalska. To Kora była matką ich wszystkich. To spod jej „szynela” odważyły się wyjść na świat.

Kora, jako wokalistka i przede wszystkim autorka tekstów, decydowała o tym, co będzie śpiewane, jaki będzie przekaz, w którą stronę skreśli koncert.

Była niczym wilczyca prowadząca stado.

W pewnym sensie postać Kory stanowiła przeciwwagę dla Grzegorza Ciechowskiego, jako poety, lidera, mężczyzny. To ona, jako kobieta, otwierała (czy raczej wykopała) drzwi – nie tylko dlatego, że jej współpraca z Markiem Jackowskim była twórczym duetem, ale również ze względu na fakt, iż stojąc przy mikrofonie, będąc frontwoman, odwracała klasyczny mechanizm show-biznesu, w którym kobieta może i jest jakąś tam gwiazdą, ale faktycznym sprawcą jej sukcesu jest Pan i Władca, producent, kompozytor, tekściarz. Kora, jako wokalistka i przede wszystkim autorka tekstów, decydowała o tym, co będzie śpiewane, jaki będzie przekaz, w którą stronę skreśli koncert. Była niczym wilczyca prowadząca stado.

Kiedy po latach od rozpadu zespołu przyjdzie czas na rozliczenia, to ona „weźmie na klatę” cały problem, twardo tłumacząc swoje racje, bez biadolenia i uchylania się od odpowiedzialności. Być może dlatego na dobrą sprawę nigdy nie miała jakiegś wyrazistej epigonki. Odbiegała od stada tak daleko i na tyłu polach, wymykając się, wyróżniając się odwagą kobiety-wizjonerki, kobiety-lidera, kobiety-twórcy, kobiety-muzyka, płacąc wysoką cenę za bezkompromisowość z perspektywy współpracowników – że trudno ją było złapać, osadzić, osądzić, zdefiniować.

Rak

Postaci z piosenek Kory były silne, ale wrażliwe, zmysłowe, lecz inteligentne, nie przyjmowały jakiegś żeńskiego bądź męskiego systemu wartościowania, można rzec żartobliwie, że przewartościowywały wszelkie wartości, tworząc nowy, spójny szkielet relacji damsko-męskich. Bo przecież był w jej feministycznym manifestie własnego „ja” także czas na rodzinę, nietypową, niesymetryczną, niesformatowaną wedle filisterskich wyobrażeń, jednak stanowiącą fundament i sens.

Mężczyźni Kory to nie byli jacyś przypadkowi „mężczyźni jej życia”, przynajmniej dwaj, jak się zdaje najbardziej istotni z nich: Marek Jackowski oraz Kamil Sipowicz – poeta, malarz, filozof – dawali jej poczucie cielesnego i duchowego partnerstwa, jej dumę stanowili także dwaj synowie i wnuk, o którym mówiła z miłością i zaangażowaniem.

Ci, co nie mieli szansy widzieć jej na scenie (Maanam zakończył działalność w 2008 r.), mogli podziwiać ją jako jurorkę w telewizyjnym „Must Be the Music” – charyzmatyczną, konkretną, bezlitosną dla wszelkiej hucpy. Jako juror żądała od każdego, żeby wiedział, po co w ogóle wchodzi na scenę. Jej kilkuletnia obecność medialna nałożyła się na czasy, kiedy prywatność artysty przestała mieć znaczenie. Wiedzieliśmy zatem o wyniszczającej ją chorobie, tym bardziej podziwiając to, co widzimy: lekcję niezależności, siły, klasy, lekcję osobistej godności i artystycznej młodości, cały czas mając nadzieję, że jednak wyrwie się suchej kostusze, tej miss-wykidajło...

Tak, dziś możemy pocieszyć się myślą, że artysta żyje, póki żyją jego piosenki, i czerpać otuchę z fantastycznej wyliczanki: „Boskie Buenos”, „Żądza pieniądza”, „Szare miraż”, „Stoję, stoję, czuję się świetnie”, „Ta noc do innych jest niepodobna”, „Cykady na Cykladach”, „Oddech szczura”, „Karuzela marzeń”, „Szał niebieskich ciał”, „O! nie rób tyle hałasu”, „Paranoja jest gołą”, „Nie poganiaj mnie, bo tracę oddech”, „Kocham Cię, kochanie moje”, „To tylko tango”, „Krakowski spleen”, „Simple story”, „Lucciola”, „Lipstick on the Glass”, „Wyjątkowo zimny maj”, „Bez Ciebie umieram”, „Róża”, „Zapatrzenie”, „Po prostu bądź”, „Po to jesteś na świecie”, „Miłość od pierwszego spojrzenia”, „Chińskie morze”, „Kraków – ocean wolnego czasu”... Tak, możemy czerpać z niej otuchę. Jakąś otuchę.

Cóż z tego, skoro jedyne, co się ciśnie na usta, to bolesna anegdota o Janie Himilbachu, dzwoniącym po śmierci przyjaciela Zdzisława Maklakiewicza do jego matki: „Jest Zdzisiek?”. „Ależ panie Janku, przecież umarł! Był pan przecież na pogrzebie...”. „Wiem, k... Ale nie mogę się z tym pogodzić”.

© ROBERT KASPRZYCKI

Korzystałem z książek Kamila Sipowicza „Kora, Kora. A planety szaleją” oraz Jana Skaradzińskiego i Konrada Wojciechowskiego „Piosenka musi posiadać tekst i muzykę”.



JORGE ZAPATA / UNSPLASH

SMAKI

gotowanie jedzenie restauracje przepisy porady

Dołącz do nowej grupy dyskusyjnej „Tygodnika Powszechnego” na Facebooku

GRUPĘ MODERUJĄ:



PAWEŁ BRAVO – felietonista kulinarny „Tygodnika Powszechnego”, animator akcji gastrokulturalnych, współtwórca książki „Kuchnia Dantego”, z której autorami współprowadził warsztaty kuchni włoskiej. Prowadził też niszowe działania cateringowe związane z warszawską

Stacją Muranów, przez dwa lata był współwłaścicielem i menedżerem włoskiej knajpki Culi-in-aria, nadal jest wiernym jej gościem. Produkty kupuje na targach, szczególnie tych zwyczajnych, jak warszawski Wolumen, ale mnóstwo zawdzięcza panu Ziółko z warszawskiej Fortecy. Od pół roku eksploruje krakowski rynek spożywczy i restauracyjny. Przez kilka lat członek zespołu redakcyjnego „Magazynu Wino”, obecnie współpracuje z kwartalnikiem „Ferment”.

TU DZIELIMY SIĘ NAJCIĘKAWSZYMI PRZEPISAMI, ale także najlepszą publicystyką o jedzeniu, bo gotowanie i jedzenie jest jednym z najważniejszych fenomenów społecznych, wpływa na nasze relacje i odwrotnie – nasze relacje i stosunki społeczne wpływają na to, co i jak jemy. Dyskutujemy o wszystkim, co dotyczy jedzenia: jak je przyrządzać, gdzie zjeść na mieście, jak zadbać o jakość produktów, ale także na temat narzędzi takich jak patelnia czy nóż.

ZADAWAJCIE PYTANIA – WSPÓLNYMI SIŁAMI POSZUKAMY ODPOWIEDZI!



MICHAŁ KUŹMIŃSKI – w „Tygodniku Powszechnym” od 2001 roku, obecnie jest wicenaczelnym i kieruje działem internetowym, wcześniej m.in. twórca i wieloletni kierownik działu naukowego. Smakuje mu szczególnie temat relacji między kuchnią a nauką oraz kuchnią

i kulturą; na łamach „Tygodnika” publikował na ten temat teksty i wywiady. Od 2012 roku – dotąd *incognito* – tworzy blog kulinarny „Facet z nożem” (facetznazem.blogspot.com). Fan zwłaszcza kuchni śródziemnomorskiej i bliskowschodniej, ale w fundamentalnym sporze „Włochy czy Francja” ostrożnie opowiada się za Francją. Poza tym współautor (z Małgorzatą Fugiel-Kuźmińską) powieści etnokryminalnych i tekściarz.

GRAŻYNA MAKARA X2

W relacjach z członkiniami i członkami grupy moderatorzy są wspierani przez **MONIKĘ OCHĘDOWSKĄ** – autorkę bloga kulturalnego miszong.pl, znaną też z łamów „Dwutygodnika” i „Tygodnika Powszechnego”, oraz moderatorkę liczącej ponad 3,2 tys. członków i członków grupy dyskusyjnej „Tygodnika Powszechnego” o książkach Book's not dead.

Dołącz do dyskusji, wejdź na powszech.net/smaki

Protest pop

JAN BŁASZCZAK

**Dorastała przy huku
wyrznięć. Później głośno
było już tylko o niej. M.I.A.
jest Brytyjką o tamilijskich
korzeniach. Jej przeboje łączą,
a opinie polaryzują.
Wystąpi 3 sierpnia na
katowickim OFF Festiwalu.**

STUDENCI KIERUNKÓW ARTYSTYCZNYCH robią wiele, by wyróżnić się wśród rówieśników. Ekstrawaganckie stroje, niszowe tytuły płyt i książek na półkach i także hobby po godzinach. Ucząca się na londyńskim Central Saint Martins Matangi Arulpragasam nie musiała o to zabiegać. Wyjątkowość zapewniała jej tamilska uroda oraz widniejące w indeksie imię i nazwisko.

Niecodzienna była także historia jej rodziny, ale o tym zapewne nie wiedzieli jej rówieśnicy. Z wyłączeniem Steve'a Love-ridge'a – kolegi ze szkolnej ławy, który przez niemal dekadę pracował nad dokumentem „Matangi/Maya/M.I.A.” (premię odbyła się w tym roku). W jednej z pierwszych scen tego pełnometrażowego filmu jego bohaterka w prowokacyjny sposób mówi o odczuwanym w Londynie wyobcowaniu: „Ludzie tutaj utożsamiają się z tobą, jeśli twój ojciec jest bankierem, prawnikiem, sędzią czy kimś takim. A oto, co dzieje się z dziećmi, którego ojciec postanawia zostać terrorystą”.

Kiedy znana dziś jako M.I.A. Arulpragasam wypowiadała te słowa, nie mogła się spodziewać takiej puenty. Oto dorastająca w cieniu wojny domowej uchodźczyni ze Sri Lanki zostaje jedną z największych gwiazd muzyki popularnej XX wieku. Jako kompozytorka i wokalistka zgarnia najbardziej prestiżowe nagrody i nominacje (w tym do Grammy i Oscara), jest ikoną stylu oraz aktywistką, której działania wywołują medialne burze. Lubi stawiać na swoim, choć przecież z cytowanej powyższej wypowiedzi szybko się wycofała. W rezultacie jej ambiwalentny sto-



JIM DYSON / GETTY IMAGES

M.I.A. na festiwalu Meltown, Royal Albert Hall w Londynie, 2017 r.

sunek do Tamilijskich Tygrysów sprawił, że musiała mierzyć się z kolejnymi zarzutami o wspieranie terrorystów.

Choć M.I.A. nigdy nie nawoływała do przemocy, umiejętnie podsycala emocje kolejnymi polaryzującymi opinie wypowiedziami. Na jej obronę należy dodać, że od samego początku miała do zaproponowania znacznie więcej niż tylko kontrowersyjne poglądy. Jej pierwszych dwóch płyt łączących dźwięki Sri Lanki, Karaibów i brazylijskich faweli z cytatami z zachodniej popkultury wciąż słucha się jak muzyki z przyszłości. Później nie było już tak dobrze, choć na każdej płycie M.I.A. znajdowała się przynajmniej jedna piosenka świadcząca o jej wielkości. Dużą

część z nich usłyszymy zapewne podczas jej koncertu na OFF Festiwalu.

Lady Galang

Zanim Arulpragasam zaczęła tworzyć muzykę, zajmowała się fotografią, grafiką i kręceniem klipów. W tym ostatnim celu wyruszyła w trasę z britpopowym zespołem Elastica. Jak wieść niesie, pierwsza, surowa wersja „Galang” – pierwszego utworu M.I.A. – została skomponowana w prezencie dla zaprzyjaźnionej grupy. Jej liderka namówiła jednak Arulpragasam do wykonania utworu na własną rękę. Tamilka długo się opierała, ale ostatecznie podjęła wyzwanie. Efekt był spektakularny i natychmiastowy.

Czerpiące z karaibskich stylów „Galang” stało się jednym z ostatnich hitów ery przed-youtube’owej. Grano go w klubach, stacjach radiowych oraz na pokazach mody. „Galang” triumfowało również wśród krytyków. Zarówno tych młodszych, chwylących popową chwytliwość połączoną ze stylistycznym nowatorstwem, jak i starszych, doceniających nawiązania do The Clash nie tylko na poziomie cytatu, ale także społecznej wrażliwości. Pierwszy przebój M.I.A. jest bowiem naznaczoną punkową ironią krytyką oportunistów i bezbarwności narzucanej masom przez współczesny kapitalizm.

Szybko okazało się, że w przypadku „Galang” nie może być mowy o przypadku. Debiutancki album M.I.A. trzymał niezwykle wysoki poziom. Z pewnością niebagatelną rolę odegrał producent o pseudonimie Diplo, którego słabość do tzw. baile funk, czyli muzyki brazylijskich faveli, zaowocowała świetnym singlem „Bucky Done Gone”. Muzyka, jaką zawierał debiutancki album M.I.A., budziła powszechny zachwyt, inaczej było z jego stroną tekstową i wizualną. Sam pseudonim artystki odnosił się do skrótownicy *missing in action* (zaginiony w akcji) i przypominał o jej kuzynie, który przepadł bez śladu na Sri Lance.

Imię ojca w tytule pierwszego albumu („Arular”, 2005), a także czołgi, myśliwce i tygrysy w teledyskach kazały publicystom zastanowić się głębiej nad twórczością Tamilki. Na łamach „The Village Voice” problem ten diagnozował krytyk Robert Christgau, który próbował dopasować lekką formę piosenek M.I.A. do metaforyki, która kręciła się wokół militariów. Autorka nie ułatwiała mu zadania. W przebojowym „Sunshowers” mówiła wprost, że broń nie jest rozwiązaniem, ale dodawała zaraz, że sama nigdy się nie podaje, tak jak Organizacja Wyzwolenia Palestyny. To ostatnie porównanie nie spotkało się ze zrozumieniem władz MTV, które momentalnie wciągnęły piosenkę na czarną listę.

Jimmy, Ben i Boney M

Być może Arulpragasam mogłaby się z tego wytłumaczyć, gdyby nie fakt, że nie mogła wjechać do Stanów. W tym czasie miała jednak problem z uzyskaniem wizy ze względu na życiorys ojca. Drugi album, „Kala” (zatytułowany na cześć matki, 2007) M.I.A. nagrywała więc w Azji,

Australii, Afryce i na Karaibach. To ciągle podróżowanie znajdowało ujęcie w jej kolejnych utworach, które stanowiły kolaż cytatów i estetyk. Taki gatunkowy miszmasz wynikał również z fascynacji hip-hopem, na którym wychowywała się w Londynie i którego podejście do praw autorskich było wówczas bardzo liberalne. Tamilka sampłowała więc na potęgę. Jej metodą twórczą stało się szybko zderzanie muzyki świata z cytatami wyciągniętymi z radiowych przebojów.

Jej zapożyczenia często działały na dwóch poziomach. Muzyczne nawiązania do klasyki popu sprawiały, że jej piosenki były przystępniejsze dla szerszego grona. Takie zderzenia na poziomie tekstów kończyły się czasem subwersją – zmianą znaczenia cytowanego utworu poprzez zderzenie go z perspektywą peryferii. Świetnym tego przykładem jest „Baboo Banga”, w którym artystka obszernie cytuje przebój „Roadrunner” The Modern Lovers. Utwór o przyjemności jazdy samochodem z włączonym radiem i bez żadnego celu. W utworze M.I.A. w drzwi samochodu w pewnym momencie zaczynają stukać zdesperowani bezdomni, prosząc o wsparcie. Pobudka.

Sztandarowym przykładem zderzenia stylistyk przez Arulpragasam jest „Jimmy”. To ślizgające się na granicy kiczu disco, którego pierwowzorem był bollywoodzki hit bazujący na francuskim disco. W wykonaniu M.I.A. słychać echa całej plejadi artystów z epoki, nawet prząsnętego Boney M. Równie zaskakujący był tekst utworu, w którym tytułowy Jimmy zabierał swoją ukochaną w romantyczną podróż śladami zbrodni przeciwko ludzkości. Na tle prostego bitu, którego niedostatki starają się tuszować smyczki, słuchamy o Rwandzie, Kongo i Darfurze.

Eskapizm zachodniej popkultury znów musi zmierzyć się z trudnymi realiami współczesnego świata. Sama historia miała zresztą oparcie w rzeczywistości. M.I.A. spotykała się wtedy z Benem Andersonem – korespondentem wojennym, który pracował w wymienionych wyżej miejscach.

Milionerka z ulicy

Na albumie „Kala” znalazł się największy hit M.I.A. – „Paper Planes”. Arulpragasam nie po raz ostatni podejmowała problem uchodźstwa. Przedrzeźniała w nim ksenofobów, dając do zrozumienia, że

jako imigrantka zależy jej tylko na strzelaniu z broni i zabieraniu pieniędzy rodowitym Brytyjczykom. W ukazujących się w tym czasie wywiadach dodawała, że nie rozumie strachu, jaki wywołują w społeczeństwach Zachodu ich przyszli tak-sówkarze. Jak pokazał wynik referendum w sprawie brexitu, jej rodacy nie złapali ironii.

Popularność „Paper Planes” nie wynikała jednak z wdzięku, z jakim M.I.A. poruszała ważne tematy. Piosenka znalazła się po prostu na ścieżce dźwiękowej do obasypanego Oscarami filmu „Slumdog. Milioner z ulicy”. Arulpragasam była zresztą nominowana do nagrody Akademii jako współtwórczyni innego utworu, który znalazł się w tym soundtracku. Fakt, że nagroda wylądowała w innych rękach, miał już drugorzędne znaczenie. Hollywood zapewniło artystce nową publiczność, która tłumnie nuciła tę popową piosenkę, przełamaną serią wystrzałów. Jak to często bywa, sukces „Paper Planes” zmienił nie tylko pozycję M.I.A., ale także – w dłuższej perspektywie – jej twórczość.

Wojny domowe, wojny prasowe

Wokół premiery trzeciego albumu M.I.A. wydarzyło się tak dużo, że muzyczna obniżka formy zeszła na dalszy plan. Przede wszystkim w 2009 r. zakończyła się krwawa wojna domowa na Sri Lance. Arulpragasam nawoływała do osądzenia byłego prezydenta w Hadze oraz krytykowała BBC za zaniżanie liczby ofiar konfliktu. Jeszcze mocniej zaatakowała redakcję „New York Timesa”, która w 2010 r. uznała Sri Lankę najlepszym miejscem do spędzenia tropikalnych wakacji. Nawiązując do słów amerykańskich dziennikarzy, M.I.A. zmieszała z błotem gazetę i opublikowała drastyczne zdjęcia z egzekucji, do jakich dochodziło w jej ojczyźnie.

Tym samym Arulpragasam rozpoczyna wojnę z popularną redakcją, której kulminacją jest wywiad, jakiego udzieliła dziennikarce Lynn Hirschberg. Została tam przedstawiona jako bogata hipokrytka, która ubolewa nad losami biedoty. Zespół Tamilki był przygotowany na taką ewentualność i opublikował zapis rozmowy, udowadniając dziennikarce przekłamania. Sama artystka wytłumaczyła zaś tytułowi neokolonialną mentalność, która zabrania uchodźczyni stać się kobietą sukcesu. Tak jakby bogactwo pozbawiało ją wiarygodności.

⇒ Nie jest tak, że sam album „Maya” (2010) nie dostarczył materiałów do rozmów. Dotyczyły one jednak tylko singla „Born Free”, a dokładniej – towarzyszącego mu teledysku. Bardzo sugestywnego *political fiction*, w którym trwa masowa eksterminacja rudowłosych. Obsadzenie nastolatów w rolach głównych oraz drastyczne sceny z ich udziałem sprawiły, że nagranie bardzo szybko zniknęło z YouTube’a. Wątpliwości dotyczące teledysku mieli także krytycy. Artystka udawała zaś zaskoczenie takim obrotem spraw, przypominając, że nikogo nie bulwersowały zdjęcia egzekucji na Sri Lance, które publikowała w internecie. A tam krew nie była sztuczna.

Trudniej byłoby M.I.A. odpowiedzieć na zarzut dotyczący wtórności warstwy muzycznej. Na tym poziomie „Born Free” zawdzięcza wszystko obszernemu cytatorowi z „Ghost Rider” kultowej grupy Suicide. Oczywiście, Arulpragasam już wcześniej posługiwała się samplingiem, ale wówczas robiła to w twórczy sposób. W tym przypadku kreatywności wystarczyło tylko na teledysk.

Aktywizm i środkowy palec

Następne dwa albumy Arulpragasam „Matangi” (2013) oraz „AIM” (2016) to świadectwo postępującej kompozytorskiej niemocy. Niezależnie od tego M.I.A. udawało się podtrzymywać zainteresowanie mediów kontrowersyjnymi wypowiedziami oraz bardzo dobrymi singlami, którym towarzyszyły jeszcze lep-

sze klipy. Promująca „Matangi” piosenka „Bad Girls” to świetnie skrojony pop z elementami hip-hopu i bliskowschodniej melodyki. Przebojowi pomógł nąkrecony w Maroko teledysk, w którym ubrani w kefije mężczyźni podziwiają samochodowe akrobacje na pustyni, w których bierze udział sama M.I.A. Klip jest nie tylko znakomity wizualnie, ale stały też za nim szczytne idee – Arulpragasam wsparła tym samym saudyjski ruch, który domagał się dla kobiet prawa do prowadzenia samochodu.

Za sprawą „Bad Girls” M.I.A. zaskarbiła sobie życzliwość dużej grupy odbiorców. Zbyt dużej. Według artystki promowane tą piosenką „Matangi” nie spodobało się wytwórni, która uznała album za zbyt łagodny i tym samym nie licujący z wizerunkiem Arulpragasam. Jeśli to prawda, to wydawcy mogli się poczuć w pełni usatysfakcjonowani po występie M.I.A. w przerwie Super Bowl. Występująca obok Madonny i Nicki Minaj artystka pokazała wówczas publiczności środkowy palec i automatycznie stała się w USA wrogiem numer jeden.

Termin premiery ostatniego dotychczas albumu – „AIM” – był uzależniony od władz w USA. Płytę wydawała amerykańska wytwórnia, a Arulpragasam znów miała problemy z uzyskaniem wizy. Choć ostatecznie dostała dokument, zdążyła zapowiedzieć, że „AIM” to jej ostatni album. I jeśli to prawda, żałować powinniśmy przede wszystkim jej kolejnych singli, bo na tym polu nigdy nie zawiodła. Komentujące kryzys uchodźczy „Borders” to bardzo prosty utwór oparty na powtórzeniach i jednostajnym bicie, a jednak transowością uzależniający. Promujący go teledysk to już dzieło sztuki, które przekształca kolejne elementy śmiertelnie niebezpiecznej podróży imigrantów w wysmakowany videoart.

Biorąc pod uwagę rodzinną historię Arulpragasam i jej wieloletnie zaangażowanie w sprawy imigrantów, trudno tu mówić o niestosowności czy nadużyciu. Niezależnie od poziomu swoich ostatnich albumów Arulpragasam ma dość przebojów, by wypełnić nimi koncertowy program. Niewykluczone jednak, że najciekawsze podczas katowickiego koncertu będą przerwy pomiędzy utworami. Bo można zgadywać, co M.I.A. nam zaśpiewa, ale nie sposób przewidzieć, co powie. © JAN BŁASZCZAK

W domu ojca

ANITA PIOTROWSKA

W opowieści o nieposłusznym tradycji kochankach, zamkniętej klamrą przez dwie żydowskie uroczystości, nade wszystko wybrzmiewa słodko-gorzki hymn o miłości, która przynosi ból, a zarazem uwalnia i otwiera.

NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI EROTYKI I RELIGII. Ekscytowały filmowych opowiadaczy od zawsze. Odsłanianie tego, co wstydliwie zakryte, czy dramatyzowanie napięcia między intymnością a kontrolującą ją instytucją stało się synonimem ekranowego „przekroczenia”. Tego też można było spodziewać się po filmie o zakazanej miłości, wybuchłej między ortodoksyjną Żydówką a jej wyzwoloną przyjaciółką.

Kto jednak miał okazję widzieć wcześniejsze filmy Sebastiana Lelio, domyśli się, że i tym razem karty zostały rozdane trochę inaczej. Nagrodzona w Berlinie „Gloria” (2011) nie była przecież opowieścią o erotycznych przygodach starszej pani, ale hołdem złożonym tej, która potrafi podnieść się mimo największych upokorzeń. Z kolei uhonorowana Oscarem „Fantastyczna kobieta” (2017) bez cienia sensacji, za to z dużą dozą empatii pozwalała wejść w buty osoby transpłciowej. Pochodzący z Chile reżyser przeszedł długą drogę od debiutanckiej „Świętej rodziny” (2005), bardzo zresztą „nieświętej”, aż do anglojęzycznego melodramatu z udziałem kobiecych gwiazd: Rachel Weisz i Rachel McAdams. Ich fizyczna atrakcyjność, tudzież sposób filmowania scen erotycznych, powściągliwy i sugestywny jednocześnie, uruchamiają wyobraźnię, lecz zawiodą tych, którzy oczekiwali by spełnienia swoich mokrych snów. W „Nieposłusznym” nade wszystko wybrzmiewa bowiem słodko-gorzki hymn o miłości, która przynosi ból, a zarazem uwalnia i otwiera.

W filmie tym Pieśń nad Pieśniami spotyka się z „Lovesong” zespołu The Cure, chcąc podkreślić, że bohaterki, choć czują podobnie, należą do dwóch zupełnie różnych światów. Pomost między nimi przeziła wcześniej pisarka Naomi Alderman,

TP Klub „TP” zaprasza

ZIELONA GÓRA – wtorek, 7 sierpnia, godz. 18.00

Spotkanie „Tischner czyta katechizm. Odpowiedź Bogu”. Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).



Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

| Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM

| Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM

| Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl



M2 FILMS

Kadr z filmu „Nieposłuszne”

wywodząca się ze środowiska ortodoksyjnych Żydów z londyńskiego Hendon. Z pomocą Rebekki Lenkiewicz, współscenarzystki „Idy”, Lelio zaadaptował jej powieść wydaną u nas nie tak dawno pod tytułem „Nieposłuszeństwo”, i właśnie tę podwójną obecność w tradycyjnej wspólnotie, równoczesne zadowolenie i wyobcowanie, odczuwa się w filmie na każdym kroku. Grana przez Weisz zbuntowana Ronit, pracująca jako fotograficzka w Nowym Jorku, kiedyś uciekła z tego świata. Tymczasem Esti (McAdams) stała się jego organiczną częścią, poślubiając wskazanego przez starszyznę chłopaka. Śmierć ojca Ronit, szanowanego rabina, staje się okazją do ponownego spotkania obu kobiet, lecz także symbolicznym dla nich końcem i początkiem. Podobnie jest z samym filmem, który domyka pewne drzwi, by za chwilę otworzyć inne.

Duch żydowskiego patriarchy unosi się nad „Nieposłusznymi” – i to w jego domu dochodzi do najbardziej istotnych momentów z życia Esti i Ronit. Twórcy nie demonizują jednak samej religii, ani nie egzotyzują jej obrzędów, pozwalając ortodoksyjnym wyznawcom zarówno na ludzkie słabości, jak i gesty wielkoduszne. W przeciwieństwie do filmu „Oczy szeroko otwarte” (2009) Haima Tabakmana, gdzie w ultrakonserwatywnej społeczności żydowskiej miłość homoseksualna skazana była na całkowitą klęskę, Lelio ukazuje judaizm z perspektywy bardziej postępowej i dopomina się o swobodniejszą, choć zarazem wnikliwszą odczytanie jego przykazań. Równocześnie sugeruje, że niezujący rabin, stojący ongiś na straży surowych obyczajów, miał dostęp do najgłębszych pokładów wiary, co staje się wyzwaniem dla jego duchowych spad-

kobierców. W tym sensie film Lelio daje się odczytywać jako minitraktat o dziedziczeniu, które nie może być li tylko mechanicznym przejściem schedy, ale wymaga jej przemyślenia i przepracowania, w zgodzie z własnym sumieniem. Tytułowe nieposłuszeństwo oznacza po prostu wolną wolę, o której słyszymy w otwierającym film kazaniu. I tu trzeba dodać, że scenariusz radzi sobie z tą prawdą raz lepiej, raz gorzej, czasem zachowując wymowne milczenie, to znów dopowiadając swoje przesłanie aż do końca.

Myliłby się ten, kto by sądził, iż opowieść o nieposłusznym tradycji kochankach, zamknięta klamrą przez dwie żydowskie uroczystości, to film wyłącznie o tłamszeniu kobiet przez religijny system. Esti nosi tradycyjną perukę, wypełnia małżeńskie obowiązki, a przy tym jest wykształcona i pracuje w szkole dla dziewcząt. Jej mąż Dowid (Alessandro Nivola), znawca Tory i nauczyciel w jesziewie, również w jakimś sensie okazuje się ofiarą patriarchalnej kultury. Tymczasem używająca życia, paląca jak smok, ubrana w skórzaną kurtkę marnotrawna córka rabina wcale nie jest tak wyluzowana, jak by się mogło wydawać. Na ile z powodu dziedzicznego obciążenia, na ile przez swe wykorzenienie – pozostaje sprawą dyskusyjną. Lelio, wrażliwy jak zawsze na problemy kobiet, ledwie szkicuje rysunki swoich postaci, wiele pozostawiając samym aktorkom. Ich czyste, ruchliwe twarze, często filmowane w zbliżeniach, opowiadają nam tu osobną historię, zakrywając i odkrywając tyle, ile trzeba. ©

NIEPOŚLUSZNE (*Disobedience*) – reż. Sebastián Lelio. Prod. Wielka Brytania/Irlandia/USA 2017. Dystryb. M2 Films. W kinach od 3 sierpnia.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [TV 4 – 10 VIII]

1. Nigdy cię tu nie było



Thriller, reż. Lynne Ramsay, USA/Francja/Wielka Brytania 2017, Cineman VOD

Film twórczyni „Musimy porozmawiać o Kevinie”, porównywany do „Taksówkarza” Scorsese’go, to mroczna podróż do wnętrza umysłu i zwyrodniałego świata współczesnej polityki. Charyzmatyczny Joaquin Phoenix został nagrodzony za swą rolę na festiwalu w Cannes, podobnie jak Ramsay za scenariusz.

2. Menashe



Komediodramat, reż. Joshua Z. Weinstein, USA 2017, Cinemax 2, 4 VIII, 20.30, 5 VIII, 10.50, 8 VIII, 20.30, 9 VIII, 11.55, 10 VIII, 22.20

W niezależnym debiucie nowojorski reżyser opowiada historię ojca żyjącego w chasydzkiej wspólnotie na Brooklynie. Po śmierci żony tytułowy bohater musi jak najszybciej wstąpić w nowy związek małżeński, w przeciwnym razie utraci prawa do opieki nad synem. Film przewartościowo problem ojcostwa w świecie tradycyjnie podzielonych ról.

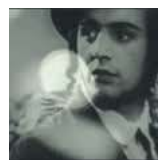
3. Dzień



Serial, reż. Giller Coulier, Dries Vos, Belgia 2018, odc. 1, 2, Ale kino+, 5 VIII, 20.10, całość na nc+ GO

Pewnego zimowego dnia w małym flamandzkim miasteczku dochodzi do napadu na bank. W każdym z dwunastu odcinków wydarzenia opowiedziane zostały naprzemiennie z dwóch perspektyw: policjantów negocjujących z porywaczami i przetrzymywanych przez nich zakładników.

4. Książę i dybuk



Dokumentalny, reż. Elwira Niewiera, Piotr Rosołowski, Niemcy/Polska 2017, Canal+ Discovery, 6 VIII, 19.00

Barwna biografia Michała Waszyńskiego długo czekała na sfilmowanie i w wielu miejscach ciągle pozostaje tajemnicą. Najpłodniejszy reżyser polskiego międzywojnia przez całe życie zmieniał tożsamości, a w swoich filmach pozostawił wiele znaczących tropów, które twórcy dokumentu próbują dziś odszyfrować.

JAN

Klata: Złe lato



ODESZŁA KORA, ODSZEDŁ BRYLEWSKI, ODSZEDŁ Stańko. Złe lato. Marazm burz pozornych ogarnia świat, jaki znaliśmy, burz marazm, po których tylko duszniej, głupiej, żadniej. Nie chcemy umierać za Gersdorf, trwa „dziwna wojna”, w której zwycięzca tylko jeden, i to chory. Na horyzoncie raczej tylko gorzej. Jakoweś fata nas pędzą w przepaść, co ujutną się zdaje, swojską, niegroźną, trochę nawet śmieszną – niby. Trybik po trybiku zegareczek rozmontowywany, teraz zaczną tykać w kierunku eksplozji.

Abstrakcje do nas nie przemawiają, gdy pełno w szkle. Tyle złego, co dobrego, nad Wisłę wylegają weekendowe

tłumy, długi weekend abdykacji od demokracji niby przed nami, ale jakby już nastawał. Nic to, najwyżej się wyjedzie do „jakiegoś normalnego kraju”, i po kłopotcie. Też dobrze. Nie ma takiej opcji, żeby nie było opcji. Alternatywy 4 kontratakuje.

Masywni mają rację: inercja się skrada, już się skradła nawet. W imię czego wychodzić z domów? Po co? Skoczyć do Biedronki, polecieć do Żabki? Przecież jest jak jest, czyli jak zawsze. Opozycji oczywiście nie ma, do tego akurat nader łatwo przywyknąć, to już oczywistość. Krwawy księżyc nad nami... ale też szybko zaszedł. Dramat z tym tragicznym brakiem protagonistów, wszyscy Polacy występują w monodramie. Młodziankowie w piecu gorejącym myślą, że to sauna, i dobrze im z tym. Mają bekę.

Pierwszy sezon dobiega końca, niebawem powinien zmienić się główny bohater, ale wcześniej zmieni konwencję, zmieni gatunek, zmieni zasady grania. Slapstick na serio już nie śmiesz, a przstrasza. W wakacje Prezes ma zawsze rację, a po wakacjach abdykacja, no i obchody, obchody, Polacy będą obchodzić swoją Niepodległość.

Dopóki nie skończy się internet, nic się nie zdarzy? ©

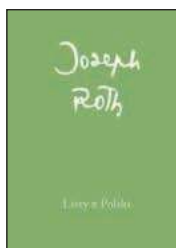
OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMiani.pl

Lektor: Inne spojrzenie



■ JOSEPH ROTH, LISTY Z POLSKI
przełożyła (wspaniale!) Małgorzata
Łukasiewicz, wstęp Krzysztof Czyżewski.
Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy
2018. Seria Dzieł zebranych Josepha Rotha

„REPREZENTATYWNA CZĘŚĆ ŻYCIA publicznego w Polsce rozgrywa się pomiędzy orkiestrą wojskową a mszą świętą”. To jakiś twitterowicz? Nie, Joseph Roth na łamach „Frankfurter Zeitung” dokładnie 90 lat temu. Niedługo obchody stulecia odzyskania niepodległości, zapewne też przy wtórce instrumentów dętych, muzyki marszowej i pobożnych pieśni. Wszystko w tonacji he-

roicznej. Może warto spojrzeć na tamte lata inaczej, oczami życziwego przybysza? Który sam pochodził z Galicji? Życzliwego – bo życziwy Polsce był autor „Marsza Radetzky’ego”. Zacytowane wyżej zdanie ma taki ciąg dalszy: „Bardzo ludzka, bardzo dramatyczna i bardzo bolesna historia tego kraju obfituje w godne uczczenia rocznice”. Empatia i pisarska uczciwość

nie pozwalają też Rothowi na pochopne uogólnienia (krytykuje za nie Alfreda Döblina). W każdym z korespondencyjnych felietonów – w sumie 14 tekstów z lat 1924-31 – skupia się na konkretnym temacie, miejscu, szczególe. Pejzaż Galicji i wielojęzyczny Lwów („Narodowa i językowa jednolitość może być siłą, narodowa i językowa wielorakość zawsze jest siłą. (...) Miasto jest kolorową plamą: białoczerwone, niebiesko-żółte i odrobinę czarno-żółte. Nie wiem doprawdy, komu by to mogło szkodzić” – cóż, wypada tylko westchnąć). Włókiennicza Łódź, handlująca czym popadnie Warszawa i galicyjskie zagłębie naftowe. Mniejszość ukraińska i mniejszość niemiecka (pisarz może przypominać o jej prawach bez obawy, że zostanie źle zrozumiany – Hitler nie doszedł jeszcze do władzy). Powstaje obraz kraju szukającego

dopiero swojej formy, trochę jakby niepewnego siebie. Szkicowany wbrew resentymantom i sloganom, zwłaszcza zaś „nienawistnym szablonom” związanym z pojęciem mentalności narodowej. O mistrzostwie Rotha-pisarza przypominają dwie miniaturowe obrazy „Małej polskiej stacyjki”. Druga – „Kaleki. Pogrzeb polskiego inwalidy” – stanowi najmocniejszy manifest antywojenny, jaki kiedykolwiek czytałem. Manifest bez manifestu: Roth opisuje po prostu ostatnią drogę 23-letniego Jana Kosa, który zastrzelił się na wiecu lwowskiego koła Związku Inwalidów Wojennych. Apokaliptyczny obraz konduktu – „ruin w marszu, pełzającego rumowiska, szpitali w pochodzie, wielkiej wędrówki kikutów, procesji szczątków” – zostanie z nami na zawsze. ©©

PAWEŁ

Bravo:

Pijmy belliniego



WYRAZEM POLSKIEJ MODERNIZACJI – I TO MIERZONEJ głęboko, nie tylko w kilometrach ścieżek rowerowych – może być to, jak z roku na rok kurczy się zakres tego, czego nie dajemy sobie zmonetyzować. W wielkiej amerykańskiej gazecie ukazała się całostronicowa reklama-manifest na cześć warszawskich powstańców. Zapłacił za nią koncern spożywczy produkujący pewien napój energetyczny. Trudno nie przypomnieć sobie zeszłorocznej wpadki producenta innego energetyku, który do reklamy użył powstańczych motywów w sposób prześmiewczy i miał z tego powodu tegie problemy wizerunkowe. Porzućmy nierozstrzygalne spory o sens tego zrywu (przez innych zwanego ślepą masakra) – zostaje tylko dylemat przed półką: cena ta sama, dwa dziesięćdziesiąt dziewięć, tylko którą markę wybrać?

Wybór skądinąd niełatwy, bo wszystkie działają tak samo i smakują tak samo obrzydliwie. To dla mnie niepojęte, jak bardzo trzeba siebie nie lubić, żeby na znużenie mięśni i drętwotę umysłu aplikować sobie świństwo z puszek, zamiast skorzystać z niezawodnej trójcy: kawa, prysznic, aperitif. W kwestii tego ostatniego Polska uczyniła również znaczne kroki do przodu, czy raczej: kolejny koncern uznał, że warto w nią zainwestować. Jak za dotknięciem różdżki parę lat temu nasze knajpy zaczęły świecić na pomarańczowo-różowo aperolem. Po dodaniu musującego wina i bąbelkowej wody mikstura ta poprawia, przynajmniej na chwilę, apetyt na obiad i na życie, byle nie przesadzić z lodem, co się u nas nagminnie zdarza. Co zabawne, zawojowała świat jako ikoniczny napitek z Wenecji – to tylko częściowo prawda, bo w tym mieście lubią, owszem, szprycery, ale ten nam najlepiej znany wcale nie jest jedyny. W porządnym barze zawsze zapytają was, czy nie chcecie go mieć z campari, boć to poważniejszy, starszy brat aperolu.

Na duszne, wilgotne popołudnia Wenecja ma inne jeszcze lekarstwo, wynalezione w legendarnym Harry's Barze, pełniącym w zeszłym stuleciu rolę luksusowej przechowalni dla anglosaskich pisarzy, z Hemingwayem na czele. Jego szef, Antonio Cipriani, zmiksował raz brzoskwinie o białym miąższu i dołączył szampana. Lekko różowawy kolor (dzięki skórce) przypominał mu ponoć róż występujący na obrazach Giovanniego Belliniego, stąd nazwa koktajlu – podobnie jak wynalezione przezeń danie z plasterków mrożonej surowej polędwicy wzięło nazwę od mięsnej czerwieni obrazów Vittore Carpaccia. Lubiłbym czasem zająć do lokalu, gdzie barmanowi wszystko kojarzy się z malarzami. – Podwójnego matejkę poproszę... nie, to zbyt ciężkie na upał, zrób mi czapskiego na soku pomarańczowym.

Rok mamy wybitnie brzoskwiniowy. Podzieliłem się zatem pomysłem na belliniego z naszą facebookową grupą, wywiązała się dyskusja, w której mój naczelny zasugerował, żeby pierwotny duet zastąpić kwartetem – dodając campari dla goryczy i cytrusów dla kwasowości, bowiem słoneczna brzoskwinia jest zbyt słodka. Z początku czułem opór, odzywał się we mnie strażnik świętego smaku – zupełnie jak zasuszony krytyk teatralny, który zrządzi na tę całą awangardę, że zamiast grać, jak autor napisał od pierwszej do ostatniej litery, reżyserzy bawią się w wycinanki i pastisze.

Szybko się jednak zreflektowałem, że wycinanki i pastisze to właśnie to, co czyni dobre jedzenie (aczkolwiek niekoniecznie dobrą literaturę czy teatr). W sukurs przyszedł mi tego samego dnia Trybunał Sprawiedliwości UE. Tak, tenże, który orzekał, że niezawisłość naszych sądów nie jest przesądzona, zatem ekstradycja podejrzanego do Polski nie musi odbyć się automatycznie. Musiał rozstrzygnąć jeszcze donioślejszą kwestię: czy smak może być „dziełem” w rozumieniu prawa autorskiego?

Rzecz wzięła się ze skargi holenderskiego producenta serków, że konkurent wprowadził ziołowy twarożek o tym samym smaku, przez co naruszył jego prawa autorskie. Potocznie nazywamy niejedno danie „dziełem sztuki” i jest to bardzo słuszna intuicja, jednak w świetle unijnego prawa, jak pisał rzecznik generalny Trybunału, dziełem może być tylko oryginalna ekspresja osobowości autora, którą możemy odbierać wzrokiem lub słuchem. Smak, węch i dotyk są dla prawnika zmysłami gorszego sortu. Zapewne dlatego, że doznania z nich płynące są „subiektywne”, nieprzekazywalne w języku, podczas gdy koń, jaki jest, każdy widzi. Dla mnie to akurat zaleta tychże doznań, więc cieszę się, że adwokaci zostawiają je w spokoju.

To, co istotne dla smaku, jest zawarte w chwili, która ma zbyt wiele wymiarów, aby dało się to podać do protokołu. „Poza urokami Harry's Baru / i czułościami Zanzibaru / była jeszcze ta droga / cicha i lotna jak motyl / któregoś dnia może lepiej ci to wytłumaczyć” – sepleni duch Hemingwaya do barmana w piosence Paolo Contego. Nie bądźmy jak on, wiemy, jak źle skończył – pijmy belliniego, choćby i z cytrusem, i nie próbujmy się przed nikim z niczego tłumaczyć. © P

*Skoro już mamy dobre brzoskwinie – te polskie, świeże, nie te zerwane niedojrzałe i przewiezione chłodnią z Grecji – to zaznajmy luksusu jak w Harry's Barze. Nawet mikser jest niepotrzebny, tylko że wtedy musimy obrać ze skórki. Kroimy miąższ w drobne kawałki do miski (z brzoskwinie na osobę), staramy się go rozbabrać jak najdrobniej widelcem (uwaga, będzie przyskać), potem tę pulpę przecieramy łyżką przez sito. Dolewamy **wino** w proporcji ok. 1:1. Jakże? Zbywa wam na szampanie? To dajcie, kto bogatemu zabroni. Ale dowolne musujące i raczej mocno wytrawne się nada (czyli raczej brut niż extra-dry), wcale zresztą niekoniecznie przereklamowane prosecco, które w wersji masowej bywa niegodne swojej ceny. Ważna sprawa! Biercie przykład z weneccjan, którzy do belliniego, jak i do spritzu używają zwykłych szklanek, nie kieliszków. Pijmy, nie celebруем!*





ZAKLINACZE ROŚLIN

Kew Gardens wysyłają do dziś ekspedycje w najdalsze zakątki globu. Już nie na chwałę Imperium i ku ucieście królewskich ogrodników. Teraz chodzi o ratowanie ginących gatunków.

DOROTA KOZIŃSKA

TO JESZCZE NIE JEST STRUMIEŃ ŚWIADOMOŚCI. NA RAZIE VIRGINIA Woolf uważnie patrzy na świat. Choć jej obserwacje wydają się z początku dziwnie chaotyczne, po kilku stronach opisy kolorów, światła i cieni, rytm kształtów i poruszeń zaczynają składać się w roziskrzoną słońcem impresjonistyczną całość.

W króciutkim opowiadaniu „Kew Gardens” wszystko dzieje się w pobliżu rabaty „w kształcie owalu”, z której „wznosiła się setka łodyg, w połowie wysokości rozszerzających się w sercowate albo językowształtne liście, na szczycie zaś rozkwitających w czerwone, niebieskie lub żółte płatki, poznaczone na powierzchni plamkami barw, a z mroku ich czerwonych, niebieskich albo żółtych gardzieli wyrastały proste słupki, szorstkie od złotego pyłku i lekko spłaszczone na końcach. Płatki były na tyle obfite, by rozwiewała je poranna bryza, a kiedy się poruszały, jeden przekazywał drugiemu czerwony, niebieski i żółty blask, płamiąc cał brązowej ziemi pod spodem najmisterniejszymi barwami”.

W okolicach mekki

Jest upalny lipcowy poranek w Londynie. Wokół owalnej rabaty – odmalowanej przez Woolf z zaskakująco niskiej, jakby owadziej perspektywy – krążą mężczyźni, kobiety i dzieci; wewnątrz, po liściu, nad drobinkami ziemi pełźnie ślimak, w pewnej chwili wstrzymany w mozolnej wędrówce przez kancistego pasikonika. Kiedy byłam w Kew Gardens po raz pierwszy, na rabacie rozkwitały całkiem inne, majowe kwiaty. Podczas mojej ostatniej wizyty w promieniach sierpniowego słońca



wiedły płatki mieniących się najmisterniejszymi barwami róż. A mimo to nie było wątpliwości, że poruszam się motyliłm zyg-zakiem po tym samym ogrodzie, który angielska pisarka sportretowała tuż po Wielkiej Wojnie, a który powstał w roku 1840, dzięki inicjatywie Królewskiego Towarzystwa Ogrodniczego.

Historia tego miejsca jest jednak znacznie dłuższa. Zaczęło się w roku 1299, kiedy król Edward I Długonogi przeniósł się z dworem do Sheen, na południe od Tamizy, w miejsce dzisiejszej londyńskiej dzielnicy Richmond. Wokół królewskiej rezydencji, z czasem porzuconej, wyrósł rozległy park myśliwski. Na początku XVI wieku Henryk VII kazał zbudować nowy pałac. W zagajnikach mnożyła się zwierzyna, a w sąsiedztwie Richmond Palace mnożyły się kolejne domostwa wpływowych dworzan, przy parku rozkwitła osada Kew, w zaciszu wiejskich posiadłości kwitły dworskie intrzygi, wzdłuż pastwisk i łąnów zbóż zakładano zaś rabaty coraz dziwniejszych roślin, sprowadzanych z zamorskich krajów przez bogatych właścicieli ziemskich.

W XVIII stuleciu, kiedy Londyn stał się mekką pisarzy, artystów i muzyków, ciągnących do stolicy w poszukiwaniu możnych patronów, arystokratom zrobiło się ciasno. Zaczęli uciekać na wieś i kupować nieruchomości od zasiedziały rezydentów.

Kew stało się modne, także wśród członków rodziny królewskiej. Księżę Walii Fryderyk Ludwik i jego żona Augusta sprawili sobie okazały pałac z egzotycznym ogrodem, w którym przez kilka sezonów zażywali rozkoszy letniego lata wraz z równie okazałą gromadką dziewięciorga progenitury. Po śmierci męża księżna wdowa zdecydowała się poszerzyć włości. Spro-



JUSTIN TALLIS / AFP / EAST NEWS

Orchidee w Królewskim Ogrodzie Botanicznym, zachodni Londyn, luty 2018 r.

kiem wypraw badawczych przywozili okazy nieznanych gatunków roślin. Delegowała z Kew botaników i personel ogrodniczy, który dzielił się swoimi doświadczeniami z plantatorami w koloniach. Doglądała eksportu nasion, sadzonek i plonów do krajów zamorskich. W 1868 r. doprowadziła do Kew linie kolejową.

W ubiegłym stuleciu Kew Gardens przetrwało dwie wielkie wojny, atak sufrażystek, które w 1913 r. puściły z dymem słynną herbaciarnię, Wielki Huragan roku 1987, którego ofiarą padło kilkaset drzew w arboretum, oraz kilka mniej lub bardziej poważnych kryzysów finansowych. Minione kilkanaście lat okazało się dla nich łaskawsze: w lipcu 2003 r. ogrody wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO; dziewięć lat temu hucznie obchodzono 250-lecie Royal Botanic Gardens; w maju 2018 r. ukończono renowację Temperate House, która pochłonęła ponad 40 mln funtów, przeznaczonych między innymi na wymontowanie, dokładne wymycie, naprawę i ponowną instalację blisko 70 tys. szklanych elementów budowli.

Zdobycze

Do Kew Gardens można przyjść po prostu na spacer, który zajmie cały dzień (ogrody rozpościerają się na obszarze 300 akrów, czyli ponad 120 hektarów) i uszczupli nasz budżet o 16 funtów. Z pewnością znajdą się miłośnicy leniwej włóczęgi, którzy przysiądą przy którejś z rabat, żeby poobserwować – wzorem Virginii Woolf – jak kropla rosy po sekundzie stanie się szarosrebrna, światło przysiadzie na liściu, „ujawniając schowane pod jego powierzchnią rozgałęziające się włókienka”, a potem przesunie się dalej i ogarnie blaskiem „wielkie zielone przestrzenie pod kopułami sercokształtnych i językocształtnych liści”.

Być może wystarczy im widok żerujących nad Tamizą królików albo stad aleksandret obrożnych – gadatliwych zielonych papug z czerwonym dziobem i obrózką wokół szyi, wywodzących się od pojedynczej pary, wypuszczonej na wolność przez roztargnionego londyńskiego hippisa w 1969 r. Być może rozpoczną i zakończą swoją wycieczkę w którejś z wiktoriańskich cieplarni, oszołomieni zapachem i bujną zielenią uwięzionego pod szkłem lasu deszczowego.

Warto jednak zapuścić się w południowo-wschodni zakątek ogrodu – ten najstarszy, noszący jeszcze znamiona XVIII-wiecznego sentymentalnego parku angielskiego. Znów, jak te dwie starsze panie z opowiadania Woolf, „pójść raczej tam albo tam, przypominając sobie orchidee, chińską pagodę i ptaki o szkarłatnych brzuskach”. Chińskiej pagody przeoczyć nie sposób: wybudował ją w 1762 r. szkocki architekt William Chambers, autor pierwotnego założenia ogrodów królewskich, w których wprowadził charakterystyczny dla chińskich rozwiązań nieregularny układ ścieżek oraz swobodne rozmieszczenie skupisk drzew. Budowla wznosi się na wysokość 50 metrów i składa się z dziesięciu ośmiobocznych kondygnacji z wystającymi dachami, które kiedyś były pokryte ceramicznymi płytkami i ozdobione rzeźbami wielkich smoków. Fama głosi, że smoki przepadły, bo były odlane ze złota i król utracjusz, Jerzy IV Hanowerski, opłacił nimi część swoich długów.

Prawda jest znacznie bardziej prozaiczna: figury ze złoczonego drewna po prostu zmruszały. Wkrótce zakończy się renowacja →

wadziła do pomocy Williama Aitona, szkockiego botanika i głównego ogrodnika Chelsea Physic Garden, w którym od blisko stu lat badano właściwości lecznicze roślin. Aiton założył w Kew małą Physick Garden, który stopniowo wchłonął obszar sąsiedniego parku myśliwskiego i rozrósł się do postaci swoistego laboratorium. Ogrodnicy pospołu z uczonymi pracowali nad rozwojem nowych odmian roślin ozdobnych – wspomagani przez angielskich architektów krajobrazu, którym powierzono pieczę nad estetyką przedsięwzięcia.

Nie zachodź, słoneczko!

Kryzys nadszedł w latach 20. XIX w., kiedy ogrody w Kew przegrały konkurencję z rosnącą liczbą arboretów i ogrodów botanicznych w innych częściach kraju. Trudno powiedzieć, jak potoczyłyby się dalsze losy posiadłości, gdyby nie William Cavendish, prezes Królewskiego Towarzystwa Ogrodniczego, wpływowy polityk partii wigów i zapalony hodowca bananów, który wpierw wystarał się o przekształcenie Kew w państwowy ogród botaniczny, a w 1844 r. rozpoczął prace przy budowie Palm House, jednej z ikon architektury wiktoriańskiej.

Palmiarnia, oddana do użytku cztery lata później – pierwsza zakrojona na tak wielką skalę konstrukcja z kutego żelaza i ręcznie dmuchanego szkła – okazała się zaledwie skromną zapowiedzią Temperate House, największej szklarni wzniesionej na Wyspach za panowania królowej Wiktorii. Władczyni Imperium, nad którym słońce nigdy nie zachodziło, zatroszczyła się o dalszy rozwój placówki. Rozsyłała po całym świecie *planthunters*, którzy z obarczonych często ogromnym ryzy-

⇒ pagody i miłośnicy pięknych widoków znów będą mogli wspiąć się na jej szczyt po 253 stopniach krętych schodów. Kto nie przepada za stylem orientalistycznym, może nacieszyć oko trzema ogrodowymi świątyniami projektu Chambersa: Świątynią Eola w formie tokańskiej rotundy z kopułą (przebudowaną w 1845 r. przez Decimusa Burtona), jońską Świątynią Aretuzy i wzniesioną w porządku doryckim Świątynią Bellony – ku pamięci żołnierzy poległych w wojnie siedmioletniej. Pozostałe atrakcje parku krajobrazowego niestety nie dotrwały do naszych czasów.

Najbardziej mi szkoda Jaskini Merlina, w rzeczywistości dość pokracznej drewnianej chaty krytej strzechą, w której do 1756 r. pomieszkiwał niejaki Stephen Duck, miejscowy poeta-naturalista – wraz z żoną Sarah Bigge, oficjalnie zatrudnioną przez zarząd ogrodów w charakterze „kobiety niezbędnej”. Nie zachował się także pseudoturecki meczet, oflankowany dwiema palmami o gipsowych pniach, zwieńczonych pióropuszem liści ze słomy i kolorowych wstążek.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że XVIII-wieczna arystokracja angielska zajmowała się tylko zaśmiecaniem swoich włości replikami starożytnych i orientalnych budowli. W 1775 r. do Kew Gardens trafiła prawdziwa żywa skamieniałość: okaz jurajskiego sagowca, przywieziony z afrykańskiego Wschodniego Przylądka przez Francisca Massona, królewskiego planthuntera i towarzysza Jamesa Cooka w jego wyprawach dookoła świata. Przodkowie samotnego sagowca z Kew byli kiedyś podstawą jadłospisu dinozaurów roślinożernych.

Wiele lat później zdobycz Massona sklasyfikowano jako *Encephalartos altensteinii* – na cześć niemieckiego kanclerza Karla von Stein zum Altenstein, który był także hojnym patronem nauk ścisłych. Okaz pielęgnowany w starej Palmiarni uchodzi za najstarszą roślinę doniczkową na świecie, choć zdaniem niektórych uczonych laur pierwszeństwa w tym względzie należy się sagowcowi z ogrodu przy rezydencji Lichtensteinów w czeskich Lednicach. Z pewnością jednak jest to sagowiec bardzo samotny – te pierwotne rośliny są dwupienne, czyli rozdzielnopłciowe. Masson sprowadził do Anglii osobnika męskiego, który kilka lat temu – ku zdumieniu botaników – wykształcił z rozpaczy żeńskie organy generatywne. Jak do tej pory bez dalszych konsekwencji.

Wyspa ocalenia

Kew Gardens do dziś zatrudniają wyspecjalizowanych planthunterów i wysyłają ich w ekspedycje do najdalszych zakątków globu – już nie na chwałę Imperium i ku ucieście królewskich ogrodników, tylko w szczytnej misji ratowania gatunków ginących.

Największymi osiągnięciami w tej dziedzinie może poszczycić się Carlos Magdalena, wieloletni pracownik Kew Gardens i absolwent miejscowej szkoły ogrodniczej, przesympatyczny brodacze o wyglądzie wędrownego kaznodziei, nazywany Mesjaszem albo Zaklinaczem Roślin. Po wielu latach prób zdołał nakłonić ostatni, męski okaz *Ramosmania rodriguesi*, niewielkiego drzewa z wyspy Rodrigues na Oceanie Indyjskim, do wydania kwiatów żeńskich, skutecznego zapylenia i zawiązania płodnych owoców. Przez krótki czas wyglądało, że przyroda zawdzięcza mu też ocalenie *Nymphaea thermarum* – najmniejszego na świecie grzybienia, czyli lilii wodnej – odkrytego w 1987 r. w Rwandzie i wymarłego wskutek katastrofy ekolo-





STEVE TULLEY / ALAMY / BEW



CHARLIE J. ERCILLA / ALAMY / BEW

*Białe róże (Rosa Lichfield Angel)
w ogrodzie różanym przed frontem
Palmiarni*

Obok: festiwal orchidei, luty 2018 r.

W herbarium grasuje
duch botanika
George'a Benthama,
który umila sobie
wieczność, tłukąc
pogrzebaczem
w metalową osłonę
kominka. **Kew Palace
nawiedzają zmarli
członkowie
rodziny królewskiej.**

gicznej w wyniszczonym wojną kraju. Magdalena zdołał rozmnożyć roślinę w niewoli, z nasion przywiezionych wcześniej z Afryki. Niestety, w styczniu 2014 r. ktoś wykradł pieczołowicie odchowany okaz z płytkiego stawu w Princess of Wales Conservatory. Sprawców nie odnaleziono.

Pracownicy Kew mają do opowiedzenia setki równie pięknych i smutnych historii. W ogrodach rośnie ponad 30 tys. gatunków roślin, zbiory herbarium liczą około 7 mln zasuszonych okazów, biblioteka – 750 tys. woluminów literatury specjalistycznej. Założony przeszło sto lat temu Ogród Wodny może się poszczycić jedną z największych na świecie kolekcji grzybieni, trzcin i traw marginalnych. To tam kobieta z opowiadania Virginii Woolf zapamiętała pierwszy pocałunek w kark. To ona była jedną z sześciu dziewczynek „siedzących przed sztalugami dwadzieścia lat temu, tam, na brzegu stawu, i malujących lilie wodne, pierwsze czerwone lilie wodne”, jakie widziała w życiu. W arboretum, zajmującym połowę powierzchni Kew Gardens, rośnie 14 tys. drzew najrozmaitszych gatunków i odmian wyhodowanych przez człowieka.

Studenci botaniki od przeszło półtora wieku uczą się rozpoznawania roślin w Herbaceous Grounds. Kolekcję orchidei w Princess of Wales Conservatory zaprojektowano w taki sposób, żeby rośliny kwitły naprzemiennie przez cały rok. Miłośnicy roślin ozdobnych mogą nacieszyć oko skrupulatnie dobranymi okazami w wydzielonych stanowiskach róż, rododendronów, azalii, bambusów, cisów, berberysów, bzów i magnolii.

W zakamarkach starych budowli czają się duchy. Robotnicy remontujący budynek Temperate House skarżyli się na zjawę Charliego Raffilla, dawnego kuratora, który próbował ich nastraszyć, trzaskając drzwiami i odkręcając kurki z wodą. W herbarium grasuje duch botanika George'a Benthama, który umila sobie wieczność, tłukąc pogrzebaczem w metalową osłonę kominka. Kew Palace nawiedzają zmarli członkowie rodziny królewskiej, między innymi czteroletni książę Octavius, który nie doczekał uroczystej ceremonii przebrania w pierwsze spodenki, w XVIII wieku urządzonej zwyczajowo po siódmym urodzinach, i dlatego snuje się po rezydencji w powłóczystej sukience, oświetlając sobie drogę ogarkiem.

Przymknąć i otworzyć oczy

„Eleanor, powiedz, czy ty czasem rozmyślasz o przeszłości?” – pyta żonę bohater opowiadania „Kew Gardens”. Żona odpowiada: „Czyż w parku, gdzie mężczyźni i kobiety leżą pod drzewami, myśli o przeszłości nie przychodzą same? Czyż oni nie są naszą przeszłością, wszystkim, co z niej pozostaje, ci mężczyźni i te kobiety, te duchy leżące pod drzewami... naszym szczęściem, naszą rzeczywistością?”

W rzeczy samej – w Kew Gardens wystarczy przymknąć oczy, żeby między gromadą poruszających się motyli i zygzakami turystów ujrzeć zjawy królów, dworzan i spiskowców, ogrodników i architektów, uczonych i odkrywców, artystów i pisarzy, szczęśliwych i zawiedzionych kochanków. A potem otworzyć oczy, jeszcze raz je przymknąć i zobaczyć duchy wymarłych ssgowców, paproci i widłaków, które zasiedlały ziemię, kiedy nic jeszcze nie wskazywało, że kiedykolwiek pojawią się na niej ludzie.

© DOROTA KOZIŃSKA

Wszystkie cytaty z opowiadania Virginii Woolf „Kew Gardens” w przekładzie Magdy Heydel.

STANISŁAW

Mancewicz: *Dokonał niemożliwego*



Z NAJWIĘKSZĄ UWAGĄ SŁUCHAMY WSZELKICH informacji o dokonaniach niemożliwych. „Dokonał niemożliwego” – tak zaczynają się wszystkie depesze dotyczące wydarzeń ze świata sportów ekstremalnych bądź medycyny estetycznej. Akurat przekroczenie niemożliwego w sporcie nas nie bierze. Odkąd objęliśmy

niczym nieskrępowane rządy nad osobistym podziałem godzin, uprawiamy wyłącznie wypoczynek bierny, podobnież w bierności poszukujemy relaksu i oczywiście po wielokroć dokonaliśmy w tych specjalnościach czynów całkowicie niemożliwych. Jeśli zaś idzie o medycynę estetyczną, nasze zainteresowanie można śmiało uznać za niestandardowe i pełne pasji. Wieści, że ten czy ów, ta lub owa dokonali w tej materii niemożliwego, przykuwają naszą uwagę zawsze, zwłaszcza rano. Oto dokonania niemożliwe w świecie medycyny estetycznej są korbą włączającą nasze czynności życiowe oraz, co oczywiste, są także mrugającym światełkiem w tunelu naszych własnych – za przeproszeniem – obkurczeń, zmniejszeń oraz sflaczeń.

Ostatnie wiadomości ze świata tzw. polityki naszego kraju brutalnie zakłóciły porządek naszych przemyśleń o dokonaniach teoretycznie niemożliwych. Zdarzenia te wepchnęły się swymi niesłychanymi implantami w świat nam znany, w którym jesteśmy uznanymi ekspertami. Oto prezydent kraju ogłosił swój autorski projekt referendum. Z wdzięczności dla swego zapleczka politycznego, które ten projekt wyrzuciło z odrzą

do wychodka, podpisał niekonstytucyjne ustawy autorstwa tegoż, za co – jak Bóg da – prezydent beknie, zanim się zestarzeje bądź wyrobi sobie papier świadczący o niepoczytalności. Podkreślmy grubo – zrobił to z wdzięczności. Jest to czyn na miarę zakrzywienia czasoprzestrzeni obciążkami. Słowem, dokonał on niemożliwego.

Innym brawurowym przykładem dokonania niemożliwego jest odkrycie, że facet niebędący posłem głosował ponad sto razy w parlamencie. Skutecznie. Wicemarszałek owego parlamentu publicznie oświadczył, że jest to zdarzenie całkowicie bez znaczenia, czym oczywiście także dokonał niemożliwego w tradycyjnie rozumianym ustroju opartym na delegacji, czyli wyborach powszechnych do – pardon – izby. Jeżeli ktoś miał jakiegokolwiek złudzenia dotyczące polskiego parlamentaryzmu, istniejącego rzekomo od 550 lat, powinien natychmiast pójść do krawca, by ten zdjął mu miarę na kaftan bezpieczeństwa bądź zapisał kulki na mole w głowie. Do aplikowania oczywiście dousznie.

Zerknijmy w inną stronę. Oto teoretycznie polityk tzw. teoretycznej lewicy, teoretycznie kandydat na prezydenta stolicy, gwałtownie i bez odwołania utracił poparcie SLD. Partii niesłychanie elastycznej, jeśli idzie o jakąkolwiek ideowość, i bardzo kompromisowej, jeśli idzie o dobór kadr. Zważmy, komu ta partia ostatnimi laty udzielała bezwarunkowego i nieodwoływalnego poparcia. Oto jest niewyobrażalny sukces w wydawałoby się prostym świecie poparcia i niepoparcia, znakomity przykład dokonania niemożliwego. Wejdźmy na koniec w detale omawianej tu utraty: oto powodem było nazwanie teoretycznego konkurenta w wyborach bardzo nieładnym słowem. Gdybyśmy mieli zająć się oceną użycia tego wyzwiska na poziomie teorii dobrego wychowania, musielibyśmy oczywiście decyzji SLD przyklasnąć. Ponieważ poza głoszoną teorią tzw. kultury osobistej nie ma w Polsce żadnej praktyki, a zwłaszcza w polityce, która jest w awangardzie chamstwa, decyzja ta wydaje nam się nietrafiona, świadczy o głuchocie, braku czucia pulsu i trendu. Jest to po prostu bardzo spóźniony zabieg medycyny estetycznej.

© P

BARTOSZ MINKIEWICZ



TYLKO **300** ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!



Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat
– możesz kupić krajową, ekonomiczną
prenumeratę wydania papierowego „TP”
w ofercie **POKOLENIA** za 300 zł rocznie.

Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją zgodnie
z ogólnymi zasadami zakupu opisanymi poniżej.

Kupując krajową prenumeratę przez stronę
tygodnikpowszechny.pl masz możliwość
zamówienia wydania specjalnego „TP”

„Polska od nowa” – z dostawą do domu!

■ Zastrzegamy sobie prawo skontaktowania się z wybranymi osobami
w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie
przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12
w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez
stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl,
na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta **POKOLENIA** – 300 zł na rok

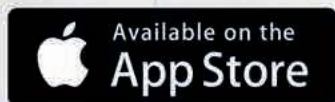
■ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl



Audiodelic

Ściągnij aplikację **Audiodelic**



lub



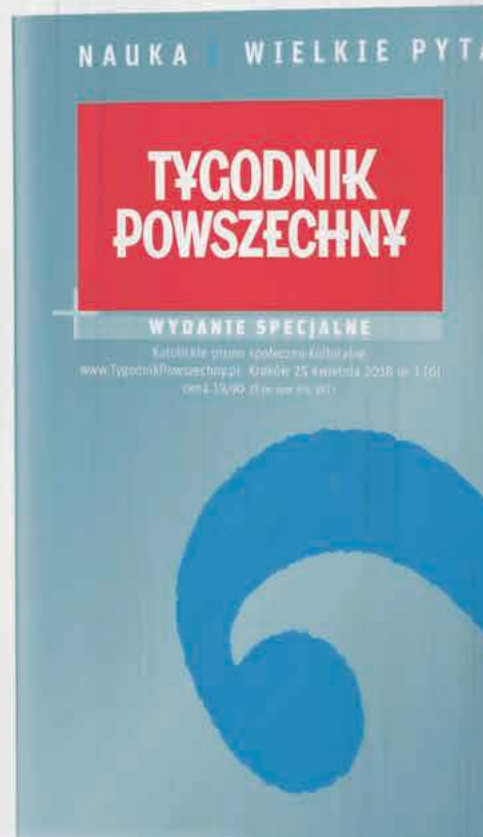
i weź, słuchaj!

najważniejszych, nagradzanych,
kanonicznych tekstów i wywiadów
z historii „Tygodnika Powszechnego”
czytanych przez profesjonalnych
lektorów.

Wśród autorów tekstów:

ks. Adam Boniecki, Andrzej Stasiuk,
Anna Goc, abp Józef Życiński, Łukasz Lamża,
Czesław Miłosz, Dorota Kozińska,
abp Grzegorz Ryś, Jerzy Pilch, Jerzy Turowicz,
ks. Józef Tischner, ks. Michał Heller,
Łukasz Kwiatek, Leszek Kołakowski,
Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński,
o. Ludwik Wiśniewski, Paweł Reszka,
Sławomir Mrozek, Stanisław Barańczak,
Stanisław Lem, Stefan Kisielewski,
Tadeusz Sławek, Wisława Szymborska,
Wojciech Nowicki, Wojciech Bonowicz.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



www.audiodelic.pl